



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

3—4 1992

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH



OD REDAKCJI	
Refleksje z końca 1992	1
List otwarty do Prezydenta	2
ZDZISŁAW OJRZYŃSKI	
Traktat, ale jaki?	4
HISTORIA	
STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA	
Polki w obronie Lwowa	7
ANTONI BYRTUS	
Armia „Karpaty” — 1939 r.	12
FELIKS CAŁY	
Gawęda przy ognisku harcerskim	17
STEFANIA CZARNIECKA	
Orzeł ze Lwowa	19
JANINA SOSNOWSKA	
Życie artystyczne we Lwowie	20
ZBIGNIEW SCHNEIGERT	
Obozy NKWD jeńców polskich z lat 1939—1941	24
RYSZARD BRYKOWSKI	
Kołomyja — początki miasta	30
WSPOMNIENIA	
BOLESŁAW OPAŁEK	
Wspominam Ojca ...	32
WIKTOR DZIULIKOWSKI	
Lwowskie kina	34
ZOFIA KUCHAR-RYPLIŃSKA	
Rodzina Kucharów	36
LESŁAW JEŻOWSKI	
Sakralny salon Stanisławowa	39
JAN STANISŁAW DOLIWA DOBRUCKI	
Studenckie wspomnienia	41
AKTUALNOŚCI	
DANUTA SKALSKA	
„Tylko wy Lwowi”... z „Pacalychą”	43
ANDRZEJ CHLIPALSKI	
Piękny dar	46
LEON POPEK	
Wołyński cmentarz	48
ANDRZEJ CHLIPALSKI	
Karpaty Wschodnie	50
JACEK E. WILCZUR	
50 rocznica utworzenia UPA	51
DANUTA NESPIAK	
Z prasy ukraińskiej	53
POLEMIKI	
WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI	
Spóźniona polemika z antagonistami politycznymi	54
RECENZJE	
LESŁAW JEŻOWSKI	
Trembowla ocalona od zapomnienia	55
Z ŻYCIA ODDZIAŁÓW	56
POSZUKIWANIA	57
KORRESPONDENCJA	58
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	60
LISTA OFIARODAWCÓW	62

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Lesław Flis, Wiesława Jeleńska-Hombek,

Danuta Nespiak, Stanisław Sławomir Nicieja — przewodniczący, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Zygmunt Antkowiak — z-ca red. naczelnego, Danuta Nespiak

Maria Iżewska — redaktor prowadzący, Irena Zaucha — asystent redaktora

ADRES REDAKCJI: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa — Wrocław, Rynek 7/9 tel. 44-88-93

WYDAWCA: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa

Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Refleksje z końca roku 1992

W wigilię św. Mikołaja usłyszałam z radia Wolna Europa (siła przyzwyczajenia, czasem jeszcze słucham), że mała Litwa w obliczu zwiększającej się fali uchodźców-rodaków z byłych republik ZSRR planuje umieszczenie ich w budynkach opuszczonych przez armię radziecką. Zaraz po tej informacji przypomniałam sobie dramatyczne wołanie Polki (chyba z obwodu kustanajskiego) w czasie obrad Komisji Problemowej „Pomoc Polakom na Wschodzie” na Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy 22 VIII 1992 w Krakowie. „Zabierzcie nas z Kazachstanu” — wołała ta Polka.

Wołanie, jak dotąd, pozostało bez echa. Błyszczący znanymi nazwiskami i spektakularny raczej Zjazd w eleganckim hotelu „Forum” w Krakowie nie powołał, mimo oczekiwania, organizacji skupiającej Polaków świata. Godzi się jednak wspomnieć, że wystosował apel do rządu RP o zagwarantowanie praw polskiej mniejszości w krajach postkomunistycznych. Góra urodziła mysz. Tymczasem „Polonia na Wschodzie” przyjmuje, że obowiązkiem kraju ojczystego jest wspomóc rodaków, którzy przez kilkadziesiąt lat trwania ustroju radzieckiego byli depozytariuszami polskości. Jak do tej pory może mówić jednak o rozczerowaniu. Dbając o zachowanie dyplomatycznej równowagi Polska wybiera ostrożność, a nie trudne do wypełnienia obietnice wobec rodaków na terenach byłego ZSRR” (cytat z Biuletynu Informacyjnego Biura Prasowego Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy „Opinie”, nr 4 z 22 VIII 92, s. 6).

W listopadzie podano nam list z prośbą o dostarczenie go Prezydentowi Lechowi Wałęsie. Myślę, że pismo to dotarło już do Belwederu. Cytuję ten list *in extenso*, czyli bez żadnych poprawek.

Wielce Szanowny Waś Panie Prezydencie

Wielce Szanowny Panie Prezydencie. Panie Walensa, zwracam się do was Pane z uprzejmą prośbą o pomoc powrotu do Polski. Ja Antoni — Anatol Wierzejski, ur. 14 IX 1938 r. m. Krasnojarsk na Sibiru. Mój dziadek Teodor Wierzejski i jego żona Julia Wierzejski po upadku powstania 1863 r. zostali zesłani na Sibir. Przeszło sto lat po powstaniu — powstancy są na Sibiru — jak długo mamy cierpieć to i za co!!!! Polska zapomniała — co? I. 1917 — ZSRR nie chciał dawać wizy powrotu do Polski. Sibir jest — II Katyń. 2. Komunistyczna Polska — robili wszystko, żeby Sibiracy nigdy nie wrócili. Teraz już inna sytuacja — co mamy robić Panie Prezydencie, zwracam się do Pana o pomoc wyjazdu do Polski, która już zapomniała o nas.

Alie w historię Polski jesteśmy zanotowani — 1863 — powstanie styczniowe 1831, 1794 r. i tak dalej i co?! A Poliak siedzi i czeka na Sibiru. Szkoda, że Wasz Sejm nie był na Sibiru w te dalekie czasy — 1917—52 r. Za czasu Stalina Sibir to nie jest Francja lub Amierika, Awstralia. Teraz ZSRR nie ma, wszędzie jest wojna, leje się krew, co dalej? Pracuje jako szlifierz spawac — liceum ogólny, mieszkam w hotelu robotniczym jeste samotny. Poliaków tutaj nie chcą! Proszę o pomoc, o powrót do Polski Z góry dziękuję. Proszę o odpowiedź. Proszę odpowiedzi Panie Walensa, wierzymy w Pana! (Adres do wiadomości redakcji „Semper Fidelis”) daty 1863—1938.

Myślę, że ta prośba o pomoc powinna być słyszana również w polskim Sejmie. Może głos tego prawnika polskich powstańców z 1863 r. poruszy sumienie lwowianina pana posła Jacka Kuronia, podobno opiekuna ubogich; może również pana posła Aleksandra Małachowskiego, popularnego rzecznika pokrzywdzonych z dawniejszej „Telewizji nocą” i „Rozmów o cierpieniu”. Może ten głos przebieje wrzawę parlamentarną, gdzie tyle pozerstwa i demagogii, tyle deklaracji, a tak mało odpowiedzialności za Polskę i Polaków ze Wschodu. Może wreszcie ten głos usłyszy również Klub Parlamentarny ZCHN i pan Marszałek Sejmu Wiesław Chrzanowski kierujący partią, która tak wiele obiecywała w kampanii wyborczej, m.in. że zajmie się mniejszością polską na Wschodzie. A jakie propozycje w tej sprawie ma rzecznik prasowy tej partii poseł wrocławski pan Ryszard Czarnecki? Bo to jest głos symbolizujący głosy tysięcy Polaków stamtąd — z Kazachstanu i Sybiru, z Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny, z Podola i Ziemi Lwowskiej, Stanisławowskiej i Tarnopolskiej.

Sądzę, że nie jesteśmy jeszcze tak obojętni i zmaturalizowani, żeby to wołanie skwitować wzruszeniem ramion i słowami: mamy kryzys, duże trudności, swoich biednych, dzieci z Jugosławii, umierającą służbę zdrowia itd., itd. Co nas obchodzi samotny wnuk powstańca z 1863 r., który chce przyjechać do Polski, bo — jak napisał — „Poliaków tutaj nie chcą”.

Będzie tragedią, jeżeli się okaże, że „Poliaków” tu w Polsce też nie chcą — tych z Sybiru i Kazachstanu, z Irkucka i Norylska. Kto tam do nich dotrze? To nie odległość Przemyśl-Lwów czy nawet Przemyśl-Berdyczów, bo tam jeszcze docieramy z naszymi niebogatymi darami.

Mamy przed sobą Nowy Rok 1993. Nie będzie on lepszy od starego, może będzie gorszy dla niejednej polskiej rodziny. Nie przynosi nadziei dla oświaty i kultury, która jest rdzeniem tożsamości narodowej. Nie zwalnia nas to jednak od odpowiedzialności za innych — bliższych i dalszych, zwłaszcza tych zza linii Ribbentrop-Mołotow, nas tzn. przede wszystkim parlament i rząd RP, za kształt polityki wschodniej, w której musi być zrealizowany postulat rzeczywistej, a nie werbalnej pomocy dla Polaków za wschodnią granicą.

Naszych Czytelników serdecznie przepraszamy, że ten numer, który w podwójnej objętości powinien ukazać się przed świętami Bożego Narodzenia, ukazuje się dopiero teraz. Wybaczcie! Nie jest łatwo wydawać w Polsce takie czasopismo, jak „Semper Fidelis”, mimo że redakcja pracuje społecznie, a Wy drodzy Czytelnicy wpłacacie na koszty jego druku spory grosz ze swoich niedużych przecież pensji czy emerytur. Serwitutów na razie w III Rzeczypospolitej nie mamy.

Dziękujemy Wam serdecznie i jesteśmy pewni, że nasze korespondencyjne kontakty i znajomości będą w tym roku tak samo żywe, jak w minionym 1992 r. Wpływa do nas wiele listów, których z braku miejsca często nie możemy publikować. Więc wybaczcie i przyjmijcie te spóźnione noworoczne życzenia — Szczęść Boże Wszystkim, którym droga jest Polska bez afer, korupcji, przekłamań, egoizmów partyjnych, zawiści, arogancji elit, braku odwagi ośrodków politycznych do określenia właściwych zasad postępowania w walce o prawa Polaków na Kresach — po prostu Rzeczypospolita stojąca na straży wartości moralnych, spadkobierczyni swego wielonarodowego i wielowyznaniowego dziedzictwa kulturalnego, otwarta dla wszystkich Polaków chcących powrócić z nieludzkiej ziemi.

Danuta Nespiak

LIST OTWARTY

DO

PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ LECHA WAŁĘSY

Szanowny Panie Prezydencie!

Towarzystwo nasze liczy 50 tysięcy członków zrzeszonych w 73 oddziałach, a więc więcej niż wszystkie rządzące Polską organizacje polityczne razem wzięte.

Mamy więc moralny i prawny tytuł do zabierania głosu w sprawach, których owe organizacje i ich przywódcy starannie unikają.

1. Wiadomo, że w latach 1939–1947 nacjonaści ukraińscy wymordowali około 500 000 polskich obywateli, głównie starców, kobiet i dzieci. Spalili tysiące polskich wsi i osiedli oraz groźbami zmusili do masowych wyjazdów z rodzinnej ziemi setki tysięcy rodaków.

W samym Lwowie między 1 a 6 lipca 1941 r. banderowcy wymordowali około 3 tysięcy Polaków i Żydów. Zbrodni dokonywano nie kulą rewolwerową, ale siekierami, piłami i łomami. W technice tortur i mordowania oprawcy hitlerowscy i stalinowscy mogliby pobierać od nich swoiste lekcje.

W związku z tym pytamy, dlaczego władze polskie włącznie z Panem Prezydentem zachowują w tej sprawie całkowite milczenie?

Pytamy, dlaczego nasze władze ograniczają stanowcze działania tylko do strony rosyjskiej dla wyjaśnienia okoliczności mordu przez NKWD kilkunastu tysięcy polskich oficerów, a nie podejmują żadnych działań wobec władz ukraińskich w związku z wymordowaniem przez UPA kilkuset tysięcy cywilnej ludności polskiej i zmuszenia do opuszczenia swej ojcowizny dalszych setek tysięcy.

Liczbę wymordowanych Polaków przez ukraińskich nacjonalistów potwierdził niedawno sam Prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk.

Nie ma zbrodni lepszych i gorszych. Każda zbrodnia budzi odrazę i powinna być ujawniona, a sprawcy napiętnowani. Nie można więc obecnie ujawniać tylko zbrodni stalinowskich, przemilczać zaś i ukrywać zbrodnie ludobójstwa nacjonalistów ukraińskich. Za taką cenę przyjaźni się nie zbuduje. Wiadomo, że depolonizacja Ziemi Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej była w znacznej mierze wynikiem terroru zastosowanego przez UPA. Dziś, po 50 latach od tamtych wydarzeń, członkowie dawnej UPA organizują swoje zjazdy (m.in. w Polsce), stawiają pomniki swym przywódcom i nazywają ulice ich imionami. Dzieje się to na rodzinnej ziemi ich bezbronnych ofiar przy całkowitej bierności władz polskich. Dla przykładu Prokuratura Rejonowa w Bartoszycach 10.03.1992 r. odmówiła wszczęcia dochodzenia w sprawie zjazdu członków UPA w Górowie Iławeckim.

Pytamy, czy władze te zachowałyby się równie biernie, gdyby ulicom miast niemieckich patronowali Eichmann, Himmler lub Goebels, ulicom miast rosyjskich Beria i Mołotow, a zjazdy kombatanów SS odbywałyby się w Polsce?

2. W dniu 3 maja 1992 r. przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie wojsko III Rzeczypospolitej oddało hołd Poległemu Bohaterowi. Żołnierz ten zginął w obronie Lwowa i Ziemi Lwowskiej, a szczątki jego przywieziono do Warszawy z Cmentarza Orląt we Lwowie w 1925 r.

Cmentarz ten — najwspanialsza wojenna nekropolia II Rzeczypospolitej nie może dzwignąć się z ruin wskutek lokalnych trudności. Dlaczego zatem władze polskie nie dołożą starań, aby problem odbudowy rozwiązać na szczeblu rządowym? Jest też skandalem, aby polskie Campo Santo odbudowywało obecnie kilkunastu lwowskich emerytów, przy obojętności i braku pomocy ze strony polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej.

W czasie wspomnianych trzeciomajowych uroczystości przy Grobie Obrońcy Lwowa Pan Prezydent śpiewał „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”... Kilkanaście dni później, 18 V br. — w rocznicę zdobycia Monte Cassino przez żołnierzy V Kresowej Dywizji Piechoty, którzy szli do swego Lwowa, Stanisławowa czy Drohobycza przez Italię z wypisanym na wojskowych legitymacjach hasłem „Nie ma Polski bez Wilna i Lwowa” — podpisał Pan Prezydent traktat z Ukrainą, w którym rzeka się praw do Lwowa i Ziemi Lwowskiej. Jak więc godzi Pan Prezydent ten czyn ze słowami śpiewanej wcześniej Roty?

Jest Pan pierwszym politykiem w naszych tysiącletnich dziejach, który jako Głowa Państwa oficjalnie wyrzekł się praw polskiego narodu do części ojcowizny i do Najwierniejszego Miasta bez konsultacji z narodem i wbrew polskiej racji stanu. Nie chodzi tu oczywiście o odbieranie siłą zagrabionych ziem, ale o zgłoszenie moralnego prawa do ich posiadania. Podobne prawa zgłosili m.in. Rumuni wobec Ukrainy i Japończycy wobec Rosji. Przemoc nie może być sankcjonowana i tolerowana. Mamy nadzieję, że kiedyś historia właściwie oceni Pańskie działanie w tej kwestii.

Nasze stanowisko w tej sprawie wyraziliśmy w liście otwartym do byłego premiera Olszewskiego, którego to listu „wolna” prasa polska ze strachu nie opublikowała. Pozwalamy sobie przedstawić niewielki jego fragment.

Konsekwencją II wojny światowej dla okupanta niemieckiego była utrata części jego terytorium. Okupant sowiecki za taki sam zbrodniczy napad wzbogacił się połową terytorium swojej ofiary. Dzisiejsza niepodległa Ukraina jest państwem korzystającym ze stalinowskich zdobyczy. W jej posiadaniu oprócz zagarniętego terytorium jest mienie stanowiące od pokoleń własność obywateli polskich i narodu polskiego. W szczególności w posiadaniu państwa ukraińskiego są zagrabione przez Sowietów polskie dobra kultury (biblioteki, galerie, dzieła sztuki i architektury). W posiadaniu tym jest również mienie obywateli polskich, wysiedlonych, wygnanych lub zmuszonych do wyjazdu, a także polskie mienie publiczne (zakłady przemysłowe i inne obiekty użyteczności).

Wypadałoby się z tego rozliczyć!

Tymczasem władze polskie wykazują w tej sprawie brak zainteresowania, a władze Ukrainy postępują tak, jakby się nigdy nic nie stało.

W tej sytuacji czynności podpisania i ratyfikacji traktatu oznaczają usankcjonowanie paktu Ribbentrop-Mołotow oraz usankcjonowanie odrzuconych przez legalne władze RP na Uchodźctwie układów jałtańskich. Oznaczają także, „że składana przez setki lat danina krwi w obronie ziemi ojczystej, patriotyzm i wierność — to resentymenty i wartości przebrzmiałe, a ludobójstwo, przemoc i gwałt to czynniki prawotwórcze”.

Wobec nierozliczenia krzywd za spalone wsie i wymordowaną ludność, niezwrócenia zagrabionej własności i nieustalenia odszkodowań — apelujemy jednocześnie do polskiego parlamentu o nieratyfikowanie traktatu. Zwracamy też uwagę na fakt, że przesiedleńcy z Ziem Wschodnich nie otrzymali stosownych rekompensat materialnych wskutek braku zainteresowania tym problemem wszystkich kolejnych polskich rządów. Uważamy, że nie ma podstaw ku temu, aby polski podatnik był obciążany kosztami rabunku mienia przez sowieckiego agresora. Dlatego każdej osobie, która ma tytuł prawny do mienia pozostawionego na Wschodzie, powinny być stworzone możliwości jego przywrócenia. Niech dana osoba sama zadecyduje, co ma z tym uczynić. Wymaga to uznania za nieważne układów zawartych przez PKWN w 1944 r., z pominięciem legalnego rządu polskiego, oraz dokonania nowych uzgodnień z rządami Ukrainy, Białorusi i Litwy. Osobom, które zrezygnują z prawa własności pozostawionego mienia, należy zaoferować przejęcie konkretnych nieruchomości w obecnej Polsce. Chowanie głowy w piasek i udawanie przez władze, że problem nie istnieje, sprawy nie rozwiązuje, a władze kompromituje.

3. Zwracamy uwagę Pana Prezydenta na fakt, że ludność polska na Ziemiach Wschodnich jest traktowana przez władze polskie gorzej niż rodacy osiedleni w państwach zachodnich. Dyskryminacja przejawia się między innymi w kwestii potwierdzenia obywatelstwa i przyznawania polskich paszportów.

Polak zamieszkały na Zachodzie może zgłosić się do polskich władz z prośbą o wydanie polskiego paszportu i po uiszczeniu stosownej opłaty w dewizach sprawę na ogół załatwia pozytywnie. Polak na Wschodzie, który do 1944 r. był polskim żołnierzem, został potem wywieziony na Sybir i po latach, po powrocie z zesłania do rodzinnego miasta, nie może wyjechać do obecnej Polski, gdyż ma trudności w potwierdzeniu obywatelstwa i uzyskaniu paszportu.

Pytamy Pana Prezydenta, w jakim momencie rodak ten utracił polskie obywatelstwo? Czy w chwili aresztowania, na zesłaniu, czy po powrocie?

Domagamy się potwierdzenia Polakom zamieszkałym na Wschodzie ich przynależności do naszego narodu, bo nikt im tego prawa nigdy nie odebrał.

Równie niewłaściwe jest traktowanie przedstawicieli organizacji polskich na Wschodzie w porównaniu z przedstawicielami Polonii z Zachodu. Przedstawiciele Polonii amerykańskiej czy brytyjskiej mają otwarte drzwi nie tylko do urzędów polskich, ale do salonów Belwederu czy Rady Ministrów. Przykładem są wizyty pp. Moskala, Jeziorańskiego i Brzezińskiego. Przedstawiciele organizacji polskich na Wschodzie mają te drzwi mocno zatrzaśnięte. Wystarczy porównać, ile razy Pan Prezydent, premierzy i ministrowie przyjmowali wyżej wspomniane osoby, a ile razy przyjęli p. Stanisława Czerkasa — prezesa Towarzystwa Kultury Ziemi Lwowskiej, czy p. Emilię Chmielową — prezesa Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie.

Negatywnym przykładem może być Zjazd Polaków i Polonii w Krakowie w lecie br., na który prezes Towarzystwa Kultury Polskiej ze Lwowa w ogóle nie został zaproszony. Znana była też sprawa niewpuszczenia delegacji polskiej ze Lwowa wiosną tego roku do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mimo wcześniej ustalonego terminu.

Odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obciążamy w głównej mierze resort Spraw Zagranicznych, szczególnie zaś ministra Skubiszewskiego. Nadeszła pora, aby profesor Skubiszewski wrócił do pracy naukowej, a tekę Spraw Zagranicznych powierzono osobie znającej problematykę wschodnią. Polacy z Ziemi Lwowskiej, jak i z pozostałych Kresów Wschodnich czują głęboki żal do władz III Rzeczypospolitej za sposób ich traktowania. Żal ten jest w pełni zasadny, gdyż poza panią Marszałek Grzeszkowiak chyba żaden z polityków polskich nie raczył ich odwiedzić, poznać warunki, w jakich egzystują, oraz ich troski.

Ten ostatni zarzut dotyczy również Pana Prezydenta.

LIST POWYŻSZY UCHWALONY ZOSTAŁ NA WALNYM ZJEŹDZIE PREZESÓW KLUBÓW I ODDZIAŁÓW TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W DNIACH 7-8 LISTOPADA BR. W BRZEGU NAD ODRĄ.

ZDZISŁAW OJRZYŃSKI

Traktat, ale jaki?

To, że 18 maja br. został zawarty traktat z Ukrainą, wiemy wszyscy. Ale z jego treścią zapoznaliśmy się niedawno. Ponieważ jest to dla nas sprawa wielkiej wagi, przeto przedstawimy kilka z 21 artykułów podpisanych przez naszego i ukraińskiego prezydenta. Traktat został zawarty na 15 lat, po tym terminie ma być przedłużany każdorazowo o dalszych 5 lat, jeżeli żadna ze stron nie wypowie go. Traktat został ratyfikowany przez parlament ukraiński we wrześniu br. Za ratyfikacją opowiedziało się 263 deputowanych, 25 było przeciw, 2 wstrzymało się, a 53 nie wiedziało, co zrobić, i nie wyraziło swej opinii. Przeciwnicy ratyfikacji jako powód podawali brak potępienia przez Sejm akcji Wisła oraz podporządkowanie hierarchii grekokatolickiej w Polsce prymasowi Glempowi.

W burzliwej dyskusji powiedziano, że rzymsko-katolicy otrzymali na Ukrainie 70 kościołów, podczas gdy „Polacy spalili w Polsce trzy cerkwie”. Był również głos, że za śpiewanie w Polsce ukraińskich piosenek stosuje się represje.

Artykuł 2. Strony uważają za nienaruszalną istniejącą i wytyczoną w terenie granicę między nimi i potwierdzają, że nie mają wobec siebie żadnych roszczeń terytorialnych oraz nie będą takich roszczeń wysuwać w przyszłości.

A oto nasuwające się refleksje po przeczytaniu nie ratyfikowanego jeszcze przez Sejm RP traktatu.

Dzisiejsza Ukraina jest sukcesorem zdobyczy dokonanych przez Stalina przy aprobachie Hitlera na terenach II RP, położonych na zachód od Zbrucza. Linia wyznaczona przez Ribbentropa i Mołotowa, która stanowi dzisiejszą oficjalną granicę, nie zaspokaja jednak ani Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), ani powstałego 17 października br. Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów (KUN).

Przewodnicząca KUN, Jarosława Stećko, oświadczyła bowiem, że będzie uznawała istniejące granice, ale byłoby lepiej, gdyby były one wyznaczone wyłącznie etnograficznie.



УКРАЇНСКА НАЦІОНАЛЬНА ПАРТІЯ ВІДСТОЮЄ ПРАВО
УКРАЇНСЬКОГО НАРОДУ НА НЕЗАЛЕЖНЕ ДЕРЖАВНЕ ІСНУВАННЯ
І ПРОГОЛОШУЄ СВОЮ МЕТОЮ ВІДНОВЛЕННЯ
УКРАЇНСЬКОЇ ДЕРЖАВИ В ЕТНІЧНИХ КОРДОНАХ.

(Із Програми Української Національної Партії)

My chyba możemy się zgodzić na taką propozycję, gdyż Jarosława Stećko nie zna realiów ukraińskich w Polsce. Sądzi chyba, że w Polsce mieszkają miliony jej rodaków, skupionych od Przemyśla po Kraków oraz w Chełmszczyźnie i Lubelszczyźnie.

Tymczasem prawda jest inna. Według przeprowadzonego w 1988 r. spisu dokonanego przez bizantyjsko-ukraińsko-katolicki (grekokatolicki) zakon bazylianów mieszka w Polsce 41 355 osób i 339 rodzin wyznawców tego obrządku (przypuśćmy nawet, że wszyscy są Ukraińcami!)*. Jeżeli do tego dodamy Ukraińców bezwyznaniowych oraz prawosławnych – nawet drugie tyle – to liczebność ukraińskiej mniejszości w Polsce nie osiąga 100 000 osób.

Dodatkowym potwierdzeniem tej liczby był udział w głosowaniu do polskiego parlamentu. Ukraińcy nie zdołali wprowadzić swego przedstawiciela do Sejmu, gdyż głosowało tylko niecałe 29 000 osób. Chcielibyśmy tu zaznaczyć, że choć Ukraińcy mieszkają w różnych rejonach Polski (np. w okolicy Szczecina, Białegostoku, Legnicy, Wrocławia i Przemyśla), głosy ich obliczano łącznie.

Ale jeszcze w sprawie granic. Często spotykamy publikowane mapy Ukrainy obejmujące części terytorium Rzeczypospolitej. Dziwne, że w tej sprawie nikt nie protestuje – nawet nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Artykuł 11. 1. Strony, zgodnie z ogólnie obowiązującymi standardami międzynarodowymi dotyczącymi ochrony mniejszości narodowych, uznają prawo członków mniejszości polskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Rzeczypospolitej Polskiej, indywidualnie lub wspólnie z innymi członkami danej mniejszości, do zachowania, wyrażania i rozwijania swojej tożsamości etnicznej, kulturowej, językowej i religijnej bez jakiegokolwiek dyskryminacji i w warunkach pełnej równości wobec prawa. Strony podejmą niezbędne działania w celu realizacji tego prawa, w szczególności prawa do:

- nauczania i uczenia się języka ojczystego i w języku ojczystym, swobodnego posługiwania się nim, dostępu, rozpowszechniania i wymiany informacji w tym języku;

- zakładania i utrzymywania własnych instytucji i stowarzyszeń oświatowych, kulturalnych i religijnych;
- wyznawania i praktykowania swej religii;
- używania imion i nazwisk w brzmieniu przyjętym dla języka ojczystego;
- ustanawiania i utrzymywania nie zakłóconych kontaktów między sobą w obrębie kraju zamieszkania, jak również przez granice.

2. Strony potwierdzają, że przynależność do mniejszości narodowej jest sprawą indywidualnego wyboru osoby i że nie mogą z tego wynikać dla niej żadne niekorzystne następstwa. Każda ze Stron będzie chroniła na swoim terytorium tożsamość narodową mniejszości drugiej Strony przed jakimkolwiek działaniem zagrażającym tej tożsamości i tworzyła warunki dla jej umacniania.

3. Każda osoba należąca do mniejszości polskiej na Ukrainie oraz ukraińskiej w Rzeczypospolitej Polskiej jest zobowiązana jak każdy obywatel do lojalności wobec Państwa swego zamieszkania, kierując się ustawodawstwem tego Państwa.

Mniejszość ukraińska w Polsce cieszy się pełnią praw obywatelskich – ma własne szkoły, dostęp do szkół wyższych, własną prasę, własne organizacje i fundacje. W Polsce istnieje pełna swoboda językowa i religijna, poparta dużymi dotacjami państwowymi. I tak w 1990 r. Ukraińcy otrzymali 5 414 000 000 zł (według przewodniczącego Związku Ukraińców w Polsce p. Jerzego Rejta), w następnym zaś 1 422 730 000 zł („Nasze Słowo” z 9 II 1992 r.).

Ukraińcy, ocaleni „Akcją Wisła”, otrzymali od państwa dobrze prosperujące gospodarstwa i nie wyrażają dziś chęci powrotu na dawne tereny. Trzeba tu przypomnieć, że w tych czasach którym epilogiem była „Akcja Wisła”, za odmowę dania żywności, udzielenia schronienia, „za obronę polskich sąsiadów”, za niewłączenie się do szeregów UPA Ukraińcom groziła śmierć z ręki własnych rodaków.

Sytuacja naszych rodaków za linią Ribbentrop-Mołotow jest trudna i całkiem inna. W parlamencie ukraińskim Polacy nie mają swego przedstawiciela (bynajmniej nie dlatego, że nie chcą głosować!), liczba szkół nie zaspokaja potrzeb, mają duże trudności w organizowaniu się (tak np. dopiero w tym roku na osobistą interwencję wicemarszałka Senatu RP pani Alicji Grześkowiak Polacy otrzymali we Lwowie lokal dla swej organizacji). Otwierane przy dużej pomocy charytatywnej płynącej z Polski rzymsko-katolickie kościoły są często jedynymi ośrodkami polskiego języka i kultury.

O dotacjach ze strony państwa ukraińskiego nie ma na razie mowy.

Artykuł 13. 1. Opierając się na pozytywnych wartościach wielowiekowego wspólnego dziedzictwa kulturowego Polski i Ukrainy i ich wkładu do cywilizacji europejskiej, Strony będą sprzyjać współpracy w dziedzinie kultury, nauki i oświaty przestrzegając światowych i europejskich standardów określonych w szczególności w konwencjach UNESCO, Europejskiej Konwencji Kulturalnej z 1953 roku, i dokumentach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w tym Krakowskiego Sympozjum na temat Dziedzictwa Kulturalnego Państw Uczestniczących w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

2. W celu wzajemnego upowszechniania wiedzy o narodowym dorobku w dziedzinie kultury, nauki i oświaty, a także dążąc do promocji nowych osiągnięć w tej dziedzinie, każda ze Stron na podstawie odrębnych umów będzie powoływać na terytorium drugiej Strony – przy jej szerokim poparciu dla tej działalności – ośrodki informacji i kultury. Strony będą także ułatwiać rozpowszechnianie prasy, druków i materiałów audiowizualnych drugiej Strony oraz współdziałać w dziedzinie radia, telewizji i agencji prasowych.

3. Strony będą rozszerzać wymianę kulturalną w różnych formach oraz będą sprzyjać współpracy między instytucjami i stowarzyszeniami kulturalnymi, w tym związkami twórczymi, a także bezpośrednim kontaktom między twórcami.

4. Strony będą zapewniać należytą ochronę prawną, materialną i inną znajdującym się na ich terytoriach wartościom, zabytkom i obiektom związanym z dziedzictwem kulturalnym i historycznym drugiej Strony, jak również będą działać na rzecz ich ujawniania, zachowania, scalania, wprowadzania do obiegu kulturalnego, w tym tworzenia swobodnego dostępu do nich. Ponadto Strony zgodnie z normami powszechnego prawa międzynarodowego, porozumieniami dwustronnymi i innymi standardami międzynarodowymi będą zmierzać do ujawnienia i zwrotu dóbr kulturalnych i historycznych, które zaginęły, zostały bezprawnie wywiezione lub w inny nielegalny sposób znalazły się na terytorium drugiej Strony.

* Dmytro Blazejowskyj, *Schematism of the Ukrainian Catholic Church a Survey of the Church in Diaspora, commissioned by the Synod of Ukrainian Catholic Bishops in commemoration of the Millenium of Christianity in Ukraine, Rome 1988, s. 930–985.*

W pięknym wstępie do tego artykułu mowa jest o wielowiekowym dziedzictwie kulturowym Polski i Ukrainy oraz ich wkładu do europejskiej cywilizacji.

Choć trudno ustalić przedział czasowy, w którym to wszystko się działo, artykuł ten jest bardzo ważny w chwili obecnej.

W czwartym punkcie tegoż traktatu sformułowano warunki współpracy. Mają być podjęte wysiłki dotyczące zwrotu dóbr kulturalnych i historycznych, ale tylko takich, „które zaginęły, zostały bezprawnie wywiezione lub w inny nielegalny sposób znalazły się na terytorium drugiej Strony”.

Wobec tego, jak należy interpretować możliwość powrotu naszych historycznych i kulturowych wartości zza linii Ribbentrop-Mołotow, skoro one nigdy nie były uważane za zaginione, ani też w żaden inny nielegalny sposób nie znalazły się na terenie obecnego państwa ukraińskiego?

Patrząc przez pryzmat tego artykułu można się spodziewać, że powrót polskich skarbów narodowych z dziedziny kultury, sztuki i historii z terenów Kresów Wschodnich II RP nigdy nie nastąpi ze względu na brak podstaw prawnych.

Dodatkowym argumentem do zatrzymania narodowych pamiątek jest dołączanie do twórców urodzonych na tych terenach „obywatelstwa ukraińskiego”. Czy nie za dużo tych przywłaszczeń?

Można mieć obawy, że powtórzy się sytuacja z „rewindykacją” ze Związku Radzieckiego, który w 1926 r. przerwał działania mające na celu zwrot polskich skarbów narodowych.

c.d.n.

ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
Środowisko Obszaru III – Lwów Okręg Dolnośląski
8 sierpnia 1992 r. przesłał do Urzędu do Spraw Kombatantkich w Warszawie następujące pismo

Historia poucza nas, że było wielu takich Polaków, którzy instytucje naszych wrogów wykorzystywali dla dobra naszego narodu. Do takich można też zaliczyć byłych żołnierzy Armii Krajowej na terenach Małopolski Wschodniej i Wołynia, którzy po jej rozbiciu przez NKWD, w sytuacji totalnego zagrożenia eksterminacji ludności polskiej przez paramilitarne bojówki OUN-UPA podjęli z nimi walkę wykorzystując sformowane przez sowiecką komendanturę brygady antyterrorystyczne, tzn. istriebitelne bataliony.

Obecnie wielu tym obrońcom ludności polskiej grozi niesława i pozbawienie praw kombatantkich tylko dlatego, że ta formacja podlegała formalnie NKWD, a brak dostatecznej wiedzy u większości członków komisji rozpatrujących te sprawy nie pozwala im tych faktów należycie ocenić.

W załączeniu przesyłamy opinię Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, którego osąd w tej sprawie jest wysoce miarodajny i z którym się solidaryzujemy.

OŚWIADCZENIE

Zarząd Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów w sprawie tzw. istriebitelnych batalionów i kontrowersji w ocenie udziału w nich Polaków oświadcza, co następuje.

Faszyzm przejawiał się na Kresach Wschodnich II RP w najbardziej barbarzyńskiej formie, w zbrodniczej ludobójczej działalności paramilitarnych organizacji OUN-UPA i współdziałających z nimi formacji ukraińsko-niemieckich. Bojówki UPA dokonywały masowych morderstw bezbronnej wiejskiej ludności polskiej. Ludność ta skupiała się w wielotysięcznych obozach uchodźców, które stanowiły dla nich bazy samoobrony. W tych bazach powstały paramilitarne oddziały zwane w literaturze: „Ośrodkami Samoobrony Wiejskiej”, „Społecznymi Organizacjami Samoobrony”, „Oddziałami Samoobrony” lub wręcz „Samoobroną”. Podstawowym zadaniem tych jednostek była walka z bojówkami UPA. Jednostki te zostały objęte pieczęcią Armii Krajowej, jej pomocą w zaopatrzeniu w broń i kadrę dowódczą, a następnie w czasie akcji OSZ (odtworzenie sił zbrojnych) zostały wcielone do AK i włączone w akcję „Burza”.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej rozkazem gen. Filipkowskiego oddziały AK działające na terenie III Obszaru AK zostały formalnie rozwiązane. Po aresztowaniu i internowaniu całego

składu Komendy Obszaru nastąpiły masowe aresztowania żołnierzy AK, jak też przymusowy pobór do polskiego wojska, dowodzonego wówczas głównie przez oficerów radzieckich i będącego pod nadzorem NKWD. Polskie osady, które obroniły się przed napaściami UPA, pozbawione mężczyzn zdolnych do walki stawały się łatwym łupem banderowców, toteż Oddziały Samoobrony nie mogły być rozwiązane. Zagrożenie ze strony UPA nie tylko nie zmalało, lecz pokaźnie wzrosło, jako że Niemcy dobroili i wzmocnili kadrowo bojówki UPA do celów dywersji na tyłach frontu. W Oddziałach Samoobrony Wiejskiej służyło w tym czasie około 50 000 ludzi w różnym wieku, często młodociani. Tak duży ich stan udało się utrzymać dzięki możliwości skierowania części poborowej młodzieży do służby zastępczej w brygadach antyterrorystycznych zwalczających UPA na tyłach frontu. W brygadach tych, nazwanych przez „wojenkomaty” – „istriebitelnymi batalionami” (w polskiej literaturze – „batalionami szturmowymi”), służyło 22 796 żołnierzy, tj. niemal połowa członków Samoobrony Wiejskiej.

Oprócz korzyści wynikających z utrzymania odpowiedniego stanu liczebnego Samoobrony, dodatkową korzyścią była częściowa jej legalizacja, co zwiększało jej operatywność. Oddziały te wykonywały następujące zadania: zwalczanie niemiecko-ukraińskich oddziałów dywersyjnych, pełnienie warty w systemie samoobrony przed bojówkami UPA i odpieranie ich ataków, konwojowanie ludności polskiej na stacje kolejowe, zaopatrywanie obozów uchodźców w żywność, ochrona nabożeństw w kościołach i konduktów pogrzebowych. Żołnierze ci uratowali życie wielu polskim rodzinom, wielu z nich w tych walkach z UPA poległo, przysługuje im pełne prawo do czci i chwały.

Bataliony szturmowe były początkowo całkowicie opanowane przez Polaków. Wzbudzało to nieufność u funkcjonariuszy NKWD, wprowadzili oni tam swoich konfidentów, aby wreszcie po wyrugowaniu z nich Polaków zmienić ich charakter. Równolegle jednak postępowała ekspatriacja ludności polskiej, czemu towarzyszyło w sposób naturalny rozwiązywanie się oddziałów Samoobrony. Oddziały te spełniły więc rolę ariergardy Armii Krajowej w osłonie wypieranej ludności polskiej z tych ziem.

Podsumowując stwierdzamy, że żołnierze polscy w batalionach szturmowych walczyli po stronie aliantów z faszystowskimi formacjami niemiecko-ukraińskimi w obronie ludności polskiej; współdziałali z naszymi wówczas sojusznikami zgodnie z rozkazami GK AK; wykorzystywali do tych celów wszystkie możliwe środki działania, a szczególne warunki, w jakich znalazła się polska ludność kresowa, nadają temu współdziałaniu wymiar wyższej konieczności.

Przewodniczący Zarządu Stowarzyszenia
mgr inż. Szczepan Siewierka

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

Z *Archiwum Łyczakowskiego*

Polki w obronie Lwowa (sanitariuszki, kurierki, samarytanki)

W listopadowym zeszycie „Żinki” z 1935 r. (ukraińskim dwutygodniku kobiecym) zamieszczono artykuł Mileny Rudnickiej pt. *Lwiwskie żinoctwo podczas lystopadowoho pereworotu*. Autorka pisze tam z goryczą o „nieprzygotowaniu kobiet ukraińskich do zadań narodowych” i zarzuca ukraińskiemu ośrodkowi dyspozycji politycznej nieumiejętność wykorzystania kobiecej ofiarności. Tezą artykułu jest, iż inaczej było z Polkami. Autorka widziała je, jak nieustraszone przechodziły przez linie bojowe, przenosiły wieści, rozdawały „Placówkę” – pismo Naczelnego Dowództwa Obrony Lwowa, opatrywały i wносиły rannych pod gradem kul, „podsycaly ducha buntu i oporu”.

„To nie kłamstwo i frazes – konkludowała M. Rudnicka – że Lwów odebrała nam polska kobieta i polskie dziecko, lecz bolesna prawda”¹. Oczywiście, jak to się zdarza w tekstach publicystycznych, jest tu wiele przesady. Ale wygłoszona w tym artykule teza dotyka fenomenu polskich kobiet.

Przez dziesięciolecia wybijania się narodu na niepodległość kobiety polskie uczestniczyły w tym dziele w wymiarze imponującym, i to nie tylko w tych momentach najbardziej dramatycznych – tak plastycznie uchwyconych w twórczości epickiej i wizjonerskiej, jak choćby w Grottgerowskiej *Brance* czy *Pożegnaniu*, ale przede wszystkim w codziennej, żmudnej pracy, w krzątaniu pod sztandarem organizacji narodowej. Jedne zbierały datki narodowe, gromadziły fundusze, urządziły nabożeństwa w intencji ojczyzny, inne przechowywały broń, szyły odzienie i bieliznę, sporządzały przybory szpitalne, kwaterowały śpieszących na pola bitewne, ukrywały uciekinierów i zdekonspirowanych spiskowców, opiekowały się więźniami, ułatwiali im ucieczkę, pielęgnowały rannych i chorych w lazaretach, a wszystkie wysyłały mężów, ojców, synów i braci na plac boju. Nie wahały się naruszyć swego spokoju i porzucić wygody domu rodzinnego, przerwać studia, opuścić warsztat pracy zawodowej, by z całym poczuciem doniosłości chwili poświęcić swe siły i życie służbie ojczyzny. Częstość za swą postawę i czyny zapłaciły cenę najwyższą.

W walkach o Lwów w latach 1918–1920 Polki były nie tylko samarytankami, sanitariuszkami i kurierkami. Tworzyły też całkowicie żeńskie bojowe plutony w ramach tzw. Ochotniczej Legii Kobiet, której organizatorami byli m.in. kpt. Wit Sulimirski i znana lwowska emancypantka Wiktoria Hozerowa². Legionistki walczyły z karabinami w ręku, były zdyscyplinowane i odważne. Rekrutowały się z przeróż-

nych sfer. Obok słuchaczek uniwersytetu konduktorki, obok panienek z tzw. dobrych domów robotnice i córki dozorców. Tajemnicy ich nazwisk strzegł nieraz pseudonim. Na przykład w rozkazie 12 Dowództwa Obrony Lwowa wyraża się uznanie tajemnicznej „Jan-ce”. Kto i kiedy rozszyfruje wreszcie ten pseudonim?

Mimo nie kwestionowanych faktów świadczących o roli Polek w walce o niepodległość ojczyzny, niezwykle rzadko można spotkać mogiły kobiece na cmentarzach wojskowych. Cmentarz Obrońców Lwowa należy tu do chlubnych wyjątków. Spoczywa tam 66 młodych dziewcząt i kobiet. Kornel Makuszyński we właściwej mu stylistyce tak skomentował ten fakt. „Gdzie indziej, w każdym innym mieście, na takim cmentarzu leżeliby w koleżeństwie złotym przynajmniej chłopcy. We Lwowie jest inaczej. Oczywiście! Tu leżą i panienki słodkie, i kobiety serdeczne, pomordowane, na pozycji poległe, albo tyfusem pobite; lwice i wilczyce, a z pozoru anioły. Modrookie, co obłędem niezmierniej miłości dotknięte, Polską obłąkane, serca swoje różom purpurowym podobne w serca bohaterów największych zmieniły”³.

Śród kobiet spoczywających na Cmentarzu Obrońców Lwowa niewątpliwie największej popularności i sławy dostąpiła Maria Dulębianka (1861–1919) – malarka, literatka, publicystka, emancypantka, organizatorka wielu akcji i przedsięwzięć obywatelskich w Galicji⁴. Urodzona w Krakowie, najbardziej ofiarne lata swego życia oddała Lwowowi. Pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Młodość spędziła w Krakowie, gdzie ukończyła pensję Maliszewskiej i studiowała malarstwo pod kierunkiem samego mistrza Jana Matejki, a później Wojciecha Gersona w Warszawie i Carolusa Duranda w Paryżu. W jej twórczości malarskiej ujawniły się różne style i tendencje. Zostawiła w swym dorobku wiele portretów o fotograficznej wręcz dokładności i poetyckich pejzaży. Preferowała jednak wyraźnie tematykę dziecięcą. Namalowała wiele obrazów i akwael przedstawiających twarze ubogich dzieci, sierot o smutnych oczach, pogodzonych z nieszczęściem i nędzą. Niektóre z nich eksponowane są w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

Okolo 1900 r. Dulębianka zaprzyjaźniła się z Konopnicką i od tego momentu rozpoczął się nowy rozdział w jej biografii. Gdybyśmy szukali analogii, to można snuć porównanie do przełomu, jaki nastąpił w życiu Seweryna Goszczyńskiego po zetknięciu się z Andrzejem Towiańskim. Wielka przyjaźń z Konopnicką stała się dla Dulębianki ostoją i osłoda życia,

dźwignią wewnętrznego doskonalenia się, bodźcem do pracy obywatelskiej. Poczęła krzewić kult autorki *Roty* i coraz mocniej angażować się w walkę z plagami i krzywdami społecznymi. Ta niezwykła przyjaźń przyczyniła się do zahamowania talentu i twórczości artystycznej Dulębianki. Na długie lata zajęła się ratowaniem zdrowia Konopnickiej. Organizowała jej wyjazdy do sanatoriów i na różnego rodzaju leczenia klimatyczne. Bez wahania przerywała swe prace, gdy tylko zachodziła potrzeba opieki nad Konopnicką. Dlatego przestano widywać jej obrazy na wystawach. Coraz rzadziej pisała swe artykuły, choć o jej zdolnościach publicystycznych tak oryginalnie świadczyła cięta odprawa, jaką dała w „Prawdzie” ówczesnym przeciwnikom pracy zawodowej kobiet. Wreszcie zupełnie zamilkła jako malarka i nowelistka.

Śmierć Konopnickiej w 1910 r. była dla Dulębianki wstrząsem, ale także podniętą do spotęgowania działalności obywatelskiej. Była organizatorką wręcz gigantycznego pogrzebu Konopnickiej we Lwowie, który zamienił się w wielką manifestację patriotyczną.

Lata 1908–1919 to okres najintensywniejszej działalności politycznej i społecznej Dulębianki. Stała się wówczas czołową polską emancypantką. Redagowała „Głos Kobiet” – dodatek do „Kurierza Lwowskiego”. Reprezentowała polski ruch kobiecy na zjazdach międzynarodowych. Walczyła o dopuszczenie kobiet do szkół wszystkich rodzajów. Była w Polsce prekursorką walki o prawa wyborcze kobiet. Redagowane przez nią odezwy bulwersowały konserwatywną opinię mieszczańską. Wygłosiła niezliczoną ilość przemówień na wiecach, zebraniach i zjazdach. Była autorką setek odczytów na szlaku od Krakowa do Czerniowca pod granicą rumuńską. Budowała etos pracy. „Praca dostojnym ubogiego czyni” – wygłosiła na ten temat dziesiątki odczytów i gawęd. Zwalczała egoizm narodowy, będąc gorącą orędowniczką niepodległości Polski, nawoływała do ugody i współpracy z Ukraińcami.

Gdy w listopadzie 1918 r. doszło do ukraińskiego zamachu stanu we Lwowie, Dulębianka wspólnie z prof. Antonim Cieszyńskim przystąpiła do organizacji polskiej służby sanitarnej, dając kolejne dowody niezwyklej ofiarności.

26 stycznia 1919 r. Dulębianka i równie ofiarna sanitariuszka, wybitnie zasłużona w okresie obrony Lwowa Teodozja z domu Smarzewska, hrabina Dzieduszycka (1882–1919), wyruszyły jako delegatki Naczelnego Tymczasowego Komitetu Rządowego, któremu przewodniczył hrabia Aleksander Skarbek, w niebezpieczną podróż do Stanisławowa, Kołomyi, Czortkowa, Mikuliniec, Tarnopola i Złoczowa. Miały za zadanie zlustrować obozy dla internowanych, poznać panujące tam warunki i ulżyć cierpieniom jeńców polskich więzionych przez Ukraińców oraz nękanym głodem i epidemiami. Był to czas niezwykle ostrych mrozów. Podróż odbywały końmi wśród zasp śnieżnych, narażane stale na niebezpieczeństwo, które zawsze może spotkać kobiety przebijające się przez niestabilizowany obszar frontowy, wypełniony częstokroć niedyscyplinowanym wojskiem. W wyprawie tej uczestniczyła również żona lwowskiego lekarza – Maria Opieńska-Blauth.

Po wielu przejściach, nocach spędzonych w brudnych małomiasteczkowych karczmach i na kwaterach u przypadkowych ludzi wysłanniczki zlustrowały wszystkie znajdujące się po drodze obozy. 16 lutego 1919 r. dotarły do Mikuliniec, gdzie w zrujnowanych salach pałacu hrabiów Reyów na barłogach ze słomy w gorące leżało kilkudziesięciu jeńców polskich chorych na tyfus plamisty. Oprócz przywiezionej skromnej ilości lekarstw wysłanniczki mogły zaopiarować chorym tylko słowa pociechy. 23 lutego powróciły do Lwowa, alarmując polską opinię publiczną dramatyczną sytuacją chorych jeńców, zwłaszcza w Kosaczowie i Mikulinicach, i przedłożyły odpowiednie sprawozdania Naczelnemu Tymczasowemu Komitetowi Rządowemu oraz Misji Koalicyjnej gen. Barthelemy'ego. Wysłanniczki przywoziły ze sobą wieści o doli rodaków i setki listów od ojców i synów rozdzielonych od rodzin zawieruchą wojenną. Witano je we Lwowie entuzjastycznie, jak bohaterki. Niestety kilka dni później wszystkie trzy zostały złamane tyfusem plamistym, którym zaraziły się w Mikulinicach. 7 marca 1919 r. zmarła Dulębianka, a dzień później zatrzymało się serce Teodozji Dzieduszyckiej.

Wiadomość o śmierci bohaterskich sanitariuszek okryła żałobą Lwów. Ze szczególnym żalem żegnano Dulębiankę. Przez prasę przeszła fala nekrologów i wspomnień. „Była ze spisu – czytamy w jednym z nich – a serce miała najczulsze na ludzką niedolę. Postawa jej była mężna i bohaterska, gdy walczyć trzeba było w imię wielkiej idei, a pełna była najgorętszego współczucia i ofiarności dla wszelkiej biedoty, gdy trzeba było jej użyć”⁵.

Pogrzeb Dulębianki 10 marca 1919 r. był jedną z największych manifestacji żałobnych we Lwowie. Wzięły w niej udział zwłaszcza nieprzebrane rzesze kobiet i organizacje kobiece, które Dulębianka tworzyła. Uczestniczyli w pogrzebie również weterani powstania 1863 r., lwowskie środowiska artystyczne i dziennikarskie, magistrat lwowski z prezydentem Józefem Neumanem, a także reprezentanci Rady Narodowej Ukraińskiej dr Lew Hankewycz, prof. Studziński, dr Fedak oraz reprezentacja „Wperedu”. Modły nad trumną odprawił ks. kanonik Badien przy asyście liczного duchowieństwa. Zwłoki Dulębianki złożono początkowo w grobowcu, w którym spoczywała Konopnicka, przywołując na pamięć tę niezwykłą przyjaźń dwóch wielkich Polek.

Cmentarz Łyczakowski był miejscem, gdzie wygłaszano częstokroć wspaniałe mowy pogrzebowe, będące perłami polskiej sztuki krasomówczej. Oto fragmenty mowy wybitnej działaczki polskiego ruchu kobiecego, Wiktorii Hozerowej, nad otwartą mogiłą Dulębianki:

Oto znowu przed nami ofiara na ołtarzu służby narodowej – i to jedna z najkosztowniejszych. W cudny bowiem kształt zwarło się to życie przebogate; w kształt urny wykutej w ojczystym granicie, w której gorzał najczystszy płomień patriotyzmu, wiary w wartość i zwycięstwo dobra i sprawiedliwości – i prawdziwa miłość Chrystusowa. Dobrze, jasno i ciepło było nam wszystkim przy tym płomieniu. Wskazywał i rozświetlał drogę zawsze krótką i prostą, bo niesłychanie prawą i czystą – ofiarnej działalności obywatelskiej na rzecz Ojczyzny [...] Sztukę umiłowaną w młodości, ona, artystka z Bożej łaski, porzuciwszy dla trudów dnia

codziennego w narodowej służbie, osiągnęła najwyższe dostojenstwo — stwarzając arcydzieło z życia samego. Zaprzeczenie wszelkiej bierności i płomień czynu. Żywy protest przeciw krzywdzie. [...] Typ najpiękniejszej kobiety Polki — duma narodu. Czemuż w tej chwili, gdy życie Jej tak Ojczyźnie potrzebne, że niemal konieczne, zabiera nam ją Bóg?

Czemuż pada przed progiem znojnego życia, nie doczekawszy pieśni dożynek, w pełnej krasie jesieni, w wolnej, szczęśliwej Polsce? Mamy prawo zapytać się Jej słowami ks. Kamińskiego „Na Boga! Larum grają! Wojna! Nieprzyjacieli w granicach, a ty się nie zrywasz?” Nauczyliśmy się już słuchać mowy grobów. Słyszymy prawie jej odpowiedź: „Umierać musi, co ma żyć. Umiera ciało, żyje duch. Niech śmierć moja nie rodzi zwątpień i łez, lecz bohaterstwo życia! Sursum corda!”⁶.

Następnego dnia pochowano Teodozję Dzieduszycką, pierwotnie w grobowcu rodzinnym. W pogrzebie tym uczestniczyli m.in. gen. Tadeusz Rozwadowski, bryg. Czesław Mączyński i delegacja ukraińska z Lwem Hankewyczem na czele⁷.

8 maja 1927 r. ekshumowano ciała Dulębianki i Dzieduszyckiej i w niezwykle uroczysty sposób złożono je na Cmentarzu Obrońców Lwowa na polu II, w grobach nr 62 i 63⁸.

Spośród 66 kobiet pochowanych na Cmentarzu Obrońców Lwowa biografia Dulębianki jest najbardziej wielowątkowa. Działała ona bowiem na wielu polach i dożyła wieku dojrzałego. Inne pochowane tam kobiety — sanitariuszki i kurierki — częstokroć nie przekroczyły nawet progu dziewczęcości, gdy kula przecinała ich życie, niwecząc marzenia oraz topiąc w grobie nadzieje i prognozy rodziców. Stąd ich biografie są krótkie, jak ich życie, częstokroć zamykające się w jednym zdaniu, w kilku datach, bo żaden kronikarz nie zdążył nawet odnotować ich czynów. Jakże często gasły gdzieś na opuszczonej bądź zdziśiatkowanej pozycji frontowej, w ciemnym zaułku lub w bramie ulicznej, a ich poświęcenie i bohaterstwo pokrywał pył anonimowości. Nie ma dziś, po prawie siedemdziesięciu latach, możliwości odtworzenia pełnych biografii bohaterskich obrończyni Lwowa. Trzeba jednak stwierdzić, iż niektóre sanitariuszki i kurierki obrosły swoistą legendą i w archiwach zostały zapisane ich czyny.

Jedną z najsłynniejszych kurerek z czasów obrony Lwowa była Felicja Bolesława Sulimirska. Urodziła się 19 listopada 1897 r. w Samborze. Była absolwentką Gimnazjum Sióstr Nazaretanek we Lwowie, mającego swą siedzibę przy ulicy Unii Lubelskiej 9. Od pierwszych dni walk o Lwów wyróżniała się niezwykłą odwagą i męstwem tym bardziej godnym podziwu, że zostawiła po sobie w szkole pamięć dziewczyny delikatnej, a nawet lękliwej, czego dowodem była obawa wejścia do ciemnego pokoju. Przez pierwsze trzy tygodnie listopada 1918 r. była kurierką podejmującą się najbardziej ryzykownych przejść przez przecinające miasto linie frontu. Podlegała Komendzie „Sokoła-Macierzy”. 21 listopada 1918 r. na ulicy Fredry, przeprowadzając dwóch oficerów, została śmiertelnie ugodzona kulą ukraińską. Przenoszona przez lekarzy — Mirosława Ogórka (1875—1921), spoczywającego również na Łyczakowie, i Kazimierza Zawadzkiego — do punktu pomocy na Senatorską, została ugodzona przez strzelca wyborowego jeszcze jednym pociskiem. Zmarła po 36 godzi-

nach walki o jej życie w szpitalu na politechnice, odmawiając w ostatnich chwilach jakby litanie nazw miast polskich: Warszawa, Poznań, Kraków, Wilno, Lwów ... Pochowano ją na polu II, w grobie nr 55.

We Lwowie kultywowano pamięć Felicji Sulimirskiej, odznaczonej Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych i Krzyżem Obrony Lwowa. „Z własnej pracy w latach 30-tych w Gimnazjum i Liceum Sióstr Nazaretanek we Lwowie — wspomina Helena Pazyrzyna — pamiętam doskonale tablicę pamiątkową poświęconą jej pamięci, wmurowaną po lewej stronie od wejścia do rozległej sieni szkoły, przed którą rokrocznie odbywała się żałobna akademii listopadowa. Gościem szkoły był wtedy stale zapraszany na tę podniosłą uroczystość ojciec Felicji — gen. Tadeusz Sulimirski”⁹.

A oto wiersz poświęcony pamięci Felicji Sulimirskiej autorki ukrywającej się pod pseudonimem „Genciana”.

Zdaje się z ramion skrzydła wyrosły!

Czyżby się z wichrem zbratała?

Aż na Tatr szczyty pragnienia ją niosły,

Jak orle ... dzika i śmiała! ...

Ni nocy prześpi. Ni głowy skłoni ...

Naraz w żołnierza urosła! ...

Od snów i marzeń dziewczęcych stroni ...

Tak dumnie główkę podniosła.

Jak lis przebiegła ... jak ryś zuchwała,

Z wiatrem iść pragnie w zawody.

By przejść przez linie — w tem myśl jej cała,

Ni skwar ją strzyma — ni lody.

Dziewczko Polko! — Skąd twa moc ... siła?

O, jakież pragnień twych światy?

„Żołnierzem jam się dziś narodziła!

Ojczyźnie składam snów kwiaty!”

Jakaż wyżynna ... snadź gna ją siła!

Zanim do miasta dobiegła —

Kula śmiertelna w nią ugodziła,

Na posterunku poległa! ...¹⁰

Należy dodać, iż Felicja Sulimirska pochodziła z dobrze zasłużonej dla Polski patriotycznej rodziny lwowskiej. Jej ojciec, Tadeusz Sulimirski, był generałem brygady Wojska Polskiego, wuj zaś kapitan Wit Sulimirski to przemysłowiec, nafciarz, ziemianin, prezes Klubu Demokratycznego we Lwowie, wzięty do niewoli przez Rosjan zbiegł z niej w 1916 r. i utworzył w stolicy Galicji organizację „Orzeł Biały”. Był też organizatorem Małopolskiej Straży Obywatelskiej oraz wspomagał Aleksandrę Bitschan-Zagórską w tworzeniu Ochotniczej Ligi Kobiet. W czasie listopadowych walk o Lwów stał na czele Komendy Uzupełnień¹¹. Stryjeczny brat Felicji, Witold Sulimirski, legionista, wachmistrz 1 pułku szwoleżerów, ppor. 6 pułku ułanów kaniowskich, poległ śmiercią bohaterską w zwycięskiej szarży pod Zaslawem na Wołyniu 23 września 1920 r. w 21 wiośnie życia¹². Spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim w grobowcu rodzinnym (pole 1), na którego ścianie umieszczono piękny relief przedstawiający konia pochylonego nad leżącym na ziemi zabitym ułanem.

Jedną z najbardziej ofiarnych i wszechobecnych kurerek w okresie obrony Lwowa była Wanda Lechowin. Pochodziła z okolic Drohobycza, gdzie urodziła się 9 listopada 1895 r. jako córka wiejskiego

kowała i niemieckiej kolonistki. Nazywano ją dość powszechnie „kurierką Wandą”. Należała do Milicji Kobiecej, a później do Ochotniczej Legii Kobiet. Złapana przez Ukraińców w trakcie przechodzenia przez linię frontu była przez trzy miesiące więziona i torturami zmuszana do zeznań. Zbieg okoliczności umożliwił jej ucieczkę z niewoli. Po wojnie zdała egzamin maturalny i pracowała solidnie jako urzędniczka. Niestety w więzieniu nabawiła się choroby płuc. Śmierć przyszła w 1927 r. Początkowo pochowano ją na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, lecz w 1928 r., w dziesiątą rocznicę walk o Lwów, przeniesiono jej zwłoki na cmentarz Orląt i pochowano na polu XX, w grobie nr 1886¹³.

Należy również szczególnie wyróżnić trzy sanitariuszki pochowane w katakumbach Cmentarza Obrońców Lwowa. Pierwszą z nich była Antonina Bieganówna (1895–1918) – urzędniczka namiestnictwa, która z narażeniem życia niosła pomoc ran-nym podczas walk na ulicach Sykstuskiej, Kraszewskiego i Leona Sapiehy. Nie ustrzegł jej znak Czerwonego Krzyża. Padła 16 listopada 1918 r. w pobliżu pałacu Sapiehów.

Podobny los spotkał Stefanię Franiszynównę (1900–1918) – z zawodu buchalterkę, która 29 grudnia pełniąc obowiązki samarytańskie dostała śmiertelną kulę na Persenkówce. Zmarła dnia następnego z upływu krwi w szpitalu na politechnice. Na Persenkówce, w miejscu gdzie rozegrał się szczególnie krwawy bój, padła jedna z najbardziej doświadczonych polskich sanitariuszek Janina Prus-Niewiadomska (1895–1919). Była córką Macieja i Zofii z Radwanów. W 1914 roku jako uczennica szkoły wydziałowej zgłosiła się do służby w Legionach. Po ukończeniu kursów sanitarnych wraz z kilkoma koleżankami została odkomenderowana do 2 brygady jako sanitariuszka i wraz z tym oddziałem przeszła całą kampanię karpacką. W lutym 1915 r. rozkazem komend austriackich wszystkie sanitariuszki wraz z „siostrą Wandą” – bo taki nosiła pseudonim – zostały usunięte z Legionów. Rozpoczęła się wówczas wędrówka po szpitalach epidemicznych i czekanie na moment powrotu do Legionów.

Zimą 1916 r. powołano ją do legionowego szpitala w Lublinie, a stamtąd do oddziału legionowego w szpitalu ujazdowskim w Warszawie. Gdy dotarły do niej wieści o zajęciu Lwowa przez Ukraińców, zapragnęła dostać się do rodzinnego miasta. Po otrzymaniu zezwolenia przybyła pociągiem sanitarnym do Lwowa w pierwszych dniach stycznia 1919 r. Na własną prośbę przydzielono ją do polowych patroli sanitarnych. 6 stycznia 1919 r. rozgorzał bój o Persenkówkę, która w ciągu dnia przechodziła z rąk do rąk. Niewiadomska poszła w pierwszych szeregach atakujących i w chwili, gdy opatrywała ранnego żołnierza, dostała kulę w samo serce. W miejscu, na którym poległa, wzniesiono później znany pomnik według projektu Rudolfa Indrucha¹⁴.

A oto w układzie alfabetycznym wykaz pozostałych kobiet spoczywających na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Mimo wieloletnich wysiłków o niektórych z nich poza nazwiskiem nie mogłem nic więcej ustalić. Za tymi nazwiskami kryje się wiele

poświęcenia sprawie ojczyzny, cierpienia i anonimowego bohaterstwa. (Oznaczenia: p – pole, g – nr grobu.)

- Baczyńska Helena – brak danych, p. XXI, g. 1937
 Bordun Anna, ur. 1901, zmarła z ran 19 XI 1918, p. III, g. 180
 Brutelówna Helena, ur. 31 VII 1899 w Żydaczowie, harcerka, sanitariuszka, ratowała rannych na Górze Stracenia, zmarła z ran 12 stycznia 1919 r., p. III, g. 150
 Brzozowska Teresa, ur. 1898 w Zamościu, szer., w listopadzie 1918 r., dwukrotnie ranna, zmarła 26 sierpnia 1928 r., p. XXI, g. 1901
 Cholewa Zofia, ur. 1899 we Lwowie, szer. Ochotniczej Legii Kobiet, poległa 19 marca 1919 r. Towarzyszki broni niosły na swych ramionach prostą, z białych desek zbitą trumnę, za którą szli rodzice i narzeczony ranny w głowę, p. X, g. 704.
 Chudecka Ludwika, ur. 1891 w Targowisku pow. Bochnia, sanitariuszka operująca na Górze Stracenia, zmarła 10 lutego 1919 r., p. III, g. 181
 Cwetowa Helena – brak danych, p. XIII, g. 974
 Ćwiczynska Anna – brak danych, p. XIV, g. 1121
 Dernacek Lidia – lat 14, pochowana 10 października 1939 r., p. III
 Gajewska-Zaczka Wiktoria, ur. 1884 w Lubieniu, sanitariuszka, zmarła 4 kwietnia 1936 r. (według zapisu w księgach cmentarnych zmarła 4 kwietnia 1935 r.), p. XXVI, g. 2138
 Gurska-Pobóg Xawera, ur. 18 stycznia 1861 r. w Kutyszczach pow. Brody, walczyła na Odc. V (Szkoła Sienkiewicza), służba pomocnicza, zmarła 2 września 1936, p. XXVII, g. 2172
 Haboń Józefa (ps. Józef Balzer), ur. 1896 r. w Wiedniu, zgłosiła się na ochotnika na najbardziej niebezpieczne pozycje – nie do służby pomocniczej. Zawsze w pierwszej linii, przetrwała najcięższe chwile na placówce Bema. Tam padła ugodzona kulą ekrazytową w głowę 10 listopada 1918 r. Przy boku jej walczył zawsze 14-letni nieznany z nazwiska ochotnik, który również poległ na posterunku, p. XII, g. 843
 Jabłońska Stanisława – brak danych, p. XV, g. 1324
 Jastrzębska Maria – brak danych, p. XI, g. 774
 Karłowicz Janina, ur. 24 kwietnia 1882 r. we Lwowie, inżynier, nauczycielka, dyrektorka szkoły gospodarczej w Snopkowie, prowadziła stanowisko opatrunkowe w Snopkowie, pracowała w szpitalu politechniki, służba sanitarna i pomocnicza, zmarła 7 stycznia 1937 r., p. XXVIII, g. 2244
 Jaworczykowska-Karpowowa Mieczysława – brak danych, p. XVII, g. 1547
 Korn Maria – brak danych, p. XIV, g. 1142
 Kornaszewska Ida, ur. 19 września 1898 w Załuczu, abiturientka seminarium nauczycielskiego, 16–22 listopada służba pomocnicza (Milicja Obywatelska), służba wartownicza przy większych obiektach oraz częściowa służba wywiadowcza, łączniczka na zagrożonych odcinkach. Zmarła z ran 17 kwietnia 1919 r., p. III, g. 179
 Kotowska Helena Felicja, ur. 9 maja 1899 r., urzędniczka, sanitariuszka, walczyła na Odc. VI – Zamarstynów – Żółkiewska, poległa 21 listopada 1918 r., odznaczona Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Obrony Lwowa. Pochowana początkowo na cmentarzu Zamarstynowskim, ekshumowana i pochowana na Cmentarzu Obrońców Lwowa 27 lutego 1936 r., p. VIII, g. 591
 Kozak Michalina, zm. 9 listopada 1918 r. – brak innych danych, p. XV, g. 1299
 Kozakowa Maria – brak danych, p. XI, g. 813
 Kozłowska Stefania – lat 17, modystka, sanitariuszka, szer., poległa 31 stycznia 1919 r. na Persenkówce, katakumba IV
 Krąpcówna Ksawera (Wera), zwłoki przywieziono z Krzemieńca i pochowano 11 marca 1933 r., innych informacji brak, p. VIII, g. 556
 Langerówna Stanisława, ur. 9 listopada 1893 r. w Żółkwi, harcerka, 2–22 listopada w polskiej służbie sanitarnej i na stanowisku opatrunkowym Teatyńska 4, sanitariuszka. Pogrzeb 2 kwietnia 1938 r. z domu żałoby przy ulicy Ossolińskich 11, p. XXVIII, g. 2209
 Linke Stanisława, zm. 21 września 1930 r. – innych danych brak, p. XXIV, g. 2051

Łozińska Eugenia — brak danych, p. XI, g. 815
 Maryniakówna Aleksandra (Olga), ur. 14 listopada 1898 r., greko-katoliczka, sanitariuszka placówki opatrunkowej w Zakładzie Braci Albertynów będącej pod ciągłym ostrzałem w Cytadeli, niezwykle ofiarna, wyróżniona w rozkazie komendanta Cz. Mączyńskiego za bohaterstwo pod gradem kul opatrująca potrzebujących pomocy, ranna 14 listopada 1918 r. Zmarła w czasie przewozu z Góry Stracenia do szpitala. 18 listopada trafiona pociskiem ukraińskim na wozie. Odznaczona Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Obrony Lwowa. Pochowana początkowo na cmentarzu Kleparowskim, 19 marca 1926 r. jej prochy przewieziono na cmentarz Orłąt, p. III, g. 174
 Matuszkiewicz Maria Stefania, lat 49, zm. 27 kwietnia 1939 r. przy ulicy Kilińskiego 15 — innych danych brak, p. XXIX, g. 2289
 Michalik Helena, ur. 5 maja 1897 we Lwowie, służyła w Żandarmerii Obrony Lwowa, w Ekspozyturze Głównej — służba kancelaryjna, zmarła 28 lutego 1920 r., p. XXIV, g. 2079
 Miechońska Antonina — ur. 1865 i Maria — ur. 1900 — zginęły 6 listopada 1918 r., p. II, g. 57
 Nawratil Janina — brak danych, p. XVIII, g. 1701
 Nieznany Żołnierz — kobieta — brak danych, p. III, g. 148
 To ją miał na myśli Stanisław Obrzud pisząc wiersz *Pogrzeb legionistki*:
 Dwa koniki, wóz chłopski, a na nim trumienka
 Z jasnych tarcic sosnowych, toporem ciosana,
 Wianuszkami polnych kwiatów uboga ubrana —
 Tak się w podróż ostatnią wybrała panienka.
 Za trumną ani matka mdleje zapłakana,
 Ni ojciec mężnie idzie, choć mu serce pęka,
 Ni brat, ni narzeczony ... Nikt! ... Tylko broń szczęka,
 Którą rota kobieca niesie zadumana.
 I tylko lwowskie słońce na wieko tej trumny
 Swoje łzy promieniste spod stóp Bożych roni,
 Tylko wiatr jak pies za tym wozem goni
 I skomleniem objawia swój ból bezrozumny.
 Dwa koniki, wóz chłopski, a na nim trumienka,
 Tak się w podróż ostatnią wybrała panienka.
 Ogibowska Jadwiga, ur. 31 marca 1906 r. we Lwowie, ucz. gimn., harcerka, pełniła służbę pomocniczą na Odc. V (Szkoła Sienkiewicza), zmarła 9 stycznia 1928 r., p. XX, g. 1885
 Olchowicz Katarzyna, ur. 1861 r. w Brodach, zm. 9 listopada 1918 r. od postrzału, p. XV, g. 1296
 Szczerbowska-Juszkiewiczowa Paleolog Helena, ur. 13 listopada

1889 r. w Romnie pow. Rudki, urzędniczką, kurierką, zm. 27 września 1938 r., p. XX, g. 1855
 Paradowska Maria — brak danych, p. XIII, g. 1059
 Paszkowska Maria — brak danych, p. V, g. 292
 Pilikowska Janina Stefania, zm. 25 marca 1931 — innych danych brak, p. XXIV, g. 2081
 Planetówna Karolina, ur. 1900 r., szer. 2 p. strzelców lwowskich, walczyła na Odc. III w sektorze Bema. Wysłana na patrol wraz z koleżanką (nazwisko nieznane) została zamordowana po ciężkich torturach w Maliczkowicach 8 grudnia 1918 r. Początkowo pochowana na cmentarzu w Glinnej, następnie przeniesiona do Lwowa. Odznaczona Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Obrony Lwowa, p. III, g. 178
 Reischer Maria — brak danych, p. XI, g. 805
 Rogayska Jadwiga, ur. 1896, kurierka, zm. 12 maja 1921, p. I, g. 24
 Sawicka Amalia Zofia — lat 30, według ksiąg cmentarnych zmarła 31 marca 1931 r., pochowana na Cmentarzu Obrońców Lwowa 30 kwietnia 1932 r., innych danych brak, p. XXIV, g. 2063
 Ostrowska-Schaff Maria, ur. 1879 r. we Lwowie, zmarła z ran 9 listopada 1918 r., innych danych brak, p. XIV, g. 1228
 Schikówna Maria, ur. 1897 r. w Mierzwicy pow. Żółkiew, zm. 6 listopada 1918 r., innych danych brak, p. XII, g. 842
 Skibniewska Helena — brak danych, p. II, g. 54
 Stachówna Bronisława — brak danych, p. XI, g. 806
 Swornik Emilia — brak danych, p. X, g. 773
 Szeremeta Julia — brak danych, p. XVIII, g. 1656
 Tołłoczko Halina, najmłodsza córka Adama i Olgi z domu Żmijewej (Rosjanki), ur. w 1894 r. w Moskwie. Posiadała liczne rodzeństwo: sześciu braci i trzy siostry. Adam Tołłoczko, chroniąc swoje dzieci przed rusyfikacją, przeniósł się z Moskwy do Brzuchowic pod Lwowem. Kształcił synów na Politechnice Lwowskiej. Według przekazów rodzinnych Halina studiowała na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego u prof. Rydygiera. Nie wiadomo, czy studia ukończyła. Była jedną z organizatorek Ochotniczej Legii Kobiet. Zmarła 22 marca 1919 r., pochowana początkowo na starej części Cmentarza Łyczakowskiego, 8 maja 1927 r. jej szczątki ekshumowano i wspólnie z prochami Dulebianki i Teodozji Dzieduszyckiej złożono na Cmentarzu Obrońców Lwowa, p. II, g. 56. O patriotycznej atmosferze, w której wychowywała się Halina, świadczą wspomnienia o jej ojcu, Adamie Tołłoczce (1842–1929). Już w Moskwie jego dom stanowił jeden ze znaczących ośrodków polskości, gdzie spotykali się działacze niepodległościowi i intelektualiści. Gdy Tołłoczko zakupił willę w Brzuchowicach, znalazł w niej schronienie Józef Piłsud-



ski. Oto fragment wspomnień siostry Haliny Tołłoczko — Heleny: „Prawie bezpośrednio po swej szczęśliwej ucieczce z więziennej celi w szpitalu w Petersburgu w r. 1901, Józef Piłsudski wybrał na wypoczynek skromny dom rodziców naszych w Brzuchowicach koło Lwowa. Pragnął, jak się sam wyraził przed naszym ojcem, wypocząć w ciszy wiejskiej i uspokoić skołatanie zdrowie i nerwy wśród ludzi mu wiernych [...] Nielegalna literatura przechowywana była u nas. [...] W szkołach byliśmy jeszcze, ale dobrze pamiętamy tajemnicze rozmowy, jakichś ludzi, pakunki, cała prawdziwa konspiracja”. Taki był dom, w którym wyrosła Halina Tołłoczko

Treczakówna Julia — brak danych, p. XI, g. 772

Trzcinańska Ewa, córka Justyny i Jana, pracownika Banku Hipotecznego we Lwowie, urodzona 24 grudnia 1899 r. we Lwowie, ucz. I Seminarium Nauczycielskiego we Lwowie, harcerka, kurierka, związana głównie z Odc. III, rozstrzelana przez patrol ukraiński w Mikłaszowie, 28 listopada 1918 r., gdy próbowała przedostać się do swej siostry Józefy Trzcinańskiej — nauczycielki i działaczki oświatowej w Czarnuszewicach 30 km od Lwowa, odznaczona Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Obrony Lwowa. Zwłoki przewieziono z Biłki Szlacheckiej na Cmentarz Obrońców Lwowa 28 lutego 1933 r. p. VIII, g. 523

Urne Maria — brak danych, p. XVIII, g. 1595

Walter Maria — brak danych, p. XIII, g. 991

Wąsowicz Dunin Leokadia — brak danych, p. XX, g. 1879

Weigel z Góreckich Helena, zm. 27 czerwca 1929 r., innych danych brak, p. XX, g. 1913

Wernerowa Helena, lat 43, zm. w szpitalu powszechnym, pochowana 11 kwietnia 1934 r., innych danych brak, p. XXVI, g. 2148

Zarembianka Helena — brak danych, k. III, g. 149¹⁵

Spośród wielu kurierek i sanitariuszek, które przeżyły walki o Lwów, należy wymienić przede wszystkim Stanisławę Klimkowską-Bieńkowską, absolwentkę krakowskiej ASP, znaną malarzkę mieszkającą obecnie w Szczecinie. Podczas obrony Lwowa była trzykrotnie ranna, pod silnym ostrzałem wyniosła z pola walki na Persenkówce śmiertelnie ранego, legendarnego, 12-letniego Antosia Petrykiewicza. Sławnymi kurierkami i sanitariuszkami były też Wanda Hermanówna, Maria Prokopowiczówna, Antonina Mokłowska, Zofia Dziunikowska, Karolina Kusznir, Stanisława Paleolog, Helena Gorzycka (Jagienka) i Stanisława Żulińska-Lupińska. Spośród kobiet, które walczyły z bronią w ręku, nie sposób pominąć Helenę Bujwidównę (później Jurgielewiczową) — peowiaczkę, studentkę uniwersytetu, biorącą na równi ze swymi kolegami udział w krańcowo ryzykanckich wypadach. Uważano ją za znakomitą snajperkę.

Przypisy w archiwum redakcji SF.

ANTONI BYRTUS

Armia „Karpaty” — 1939 r. Druga Brygada Górską w Nowym Sączu

Wydarzenia tragicznego września 1939 r. przedstawiam w skrócie obejmującym operacje frontowe, w których brałem bezpośredni udział jako dowódca drużyny strzeleckiej w stopniu plt. podchor. rezerwy.

W dniu ogłoszenia mobilizacji, tj. 31 sierpnia 1939 r., opuściłem Stanisławów, gdzie odbywałem praktykę zawodową w Banku Polskim, skierowany tam przez uczelnię — Akademię Handlu Zagranicznego we Lwowie. O godzinie 22³⁰ zameldowałem się w 1 PSP w Nowym Sączu. Po oddaniu karty mobilizacyjnej przywdziałem mundur polowy, z którym się rozstałem dopiero po powrocie do Lwowa — 30 listopada 1939 r.

Następnego dnia — 1 września 1939 r. — wysłuchałem orędzia prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego. W tym dniu pełniłem funkcję dowódcy warty. Podczas kontrolowania posterunków w rejonie placu koszarowego o godzinie 8-mej znalazłem się pod ogniem niemieckiego samolotu zwiadowczego, który ostrzelał bez skutku formujące się na placu jednostki frontowe.

2 IX (sobota) — Przydzielony zostałem do 6-tej kompanii kpt. Włodzimierza Winiarskiego, wchodzącej w skład grupy operacyjnej mjr. Bolesława Miłka. W tym zgrupowaniu brałem udział we wszystkich działaniach bojowych na szlaku od Tymbarku do Krosna, tj. 9 IX 1939 r. Mój przydział — drużyna do zadań zwiadowczych, obserwacyjnych i ubezpieczeniowych, nie wyłączając bojowych.

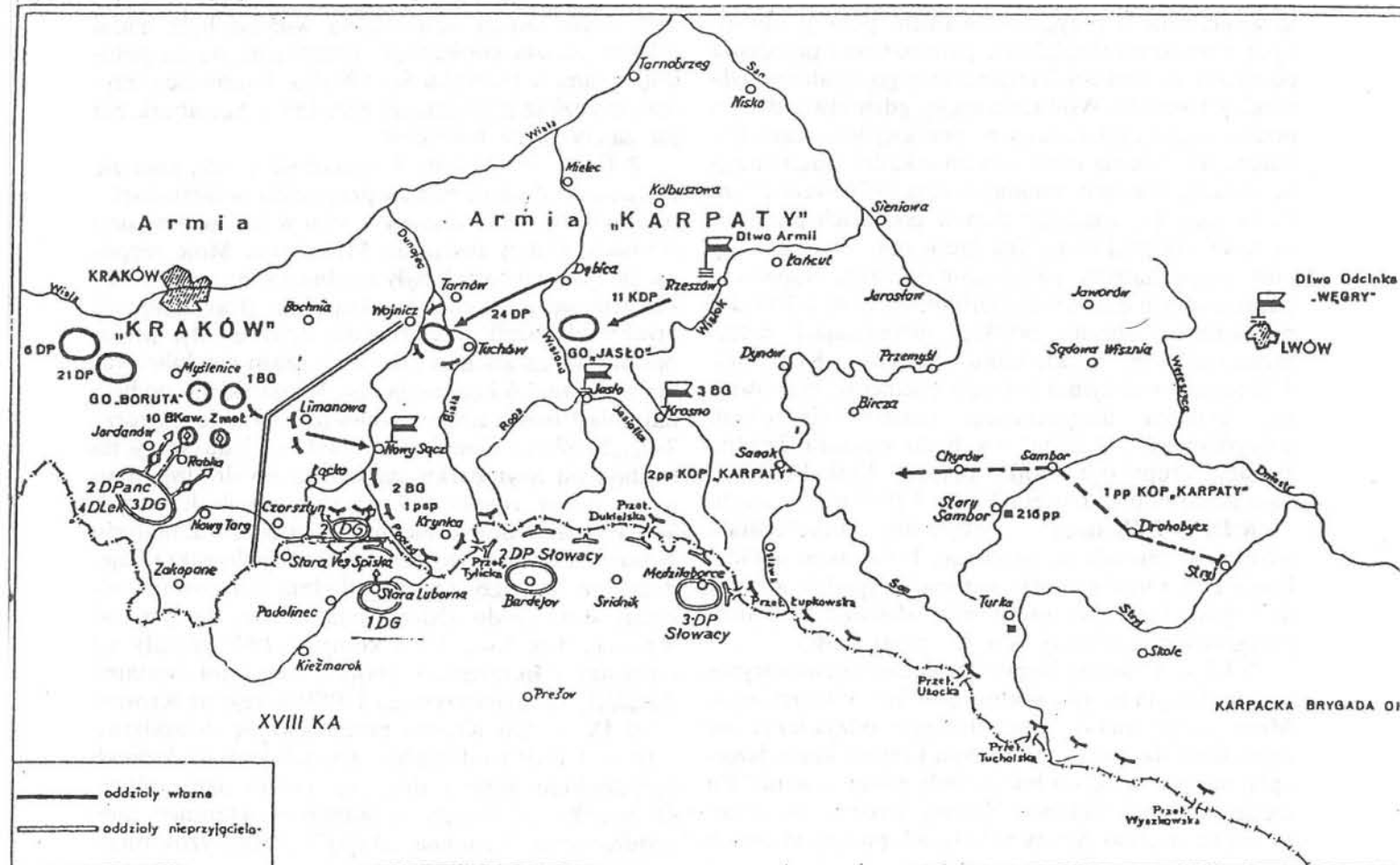
3 IX — Grupa mjr. Miłka została skierowana na ptn. zachód w rejon Tymbarku celem zamknięcia szosy z tego kierunku. Kompania kpt. Winiarskiego obsadziła wzgórze „Piekiełko”. Batalion 4 PSP por. Jerzego Wołoszyna obsadził wzgórze na zachód od Limanowej. Batalion ten nie miał broni ppanc.,

środków łączności ani taboru. Kompania 4 1 PSP por. Mikołaja Macha stanęła w Limanowej (odwód).

4 IX — Otrzymane meldunki n. lotnictwa awizowały o ciężkiej sytuacji w dniu 3 IX pod Kłodnem i Obidzą, a 4 IX pod Wietrzną, gdzie według relacji kpt. Wróblewskiego, dowódcy oddziału „Roman”, dwudniowy opór pochłonął ok. 50% zabitych i rannych. W sumie przed prawym skrzydłem Armii „Karpaty”, osłanianym tylko przez dwa bataliony uderzył, posuwający się na Nowy Sącz, taran niemiecki 2-giej Dyw. Górskiej gen. por. Feursteina. To skłoniło gen. Orlik-Łukoskiego do wydania rozkazu wycofania grupy mjr. Miłka nocą 4—5 IX do Nowego Sącza celem organizacji obrony miasta.

5 IX — Północną część miasta przejął do obrony kpt. Winiarski. W godzinach popołudniowych od zachodu na pozycje obronne 4 kompanii por. Macha natarły niemieckie zagony zmotoryzowane, próbując zająć miasto z marszu. Zostały jednak w kontrataku odrzucone. Rozpoczęło się silne ostrzeliwanie miasta. Wybuchły pożary, mocno ucierpiała ludność cywilna, a w plutonach zanotowano straty, głównie w 6 kompanii Winiarskiego. W mojej drużynie — trzech zabitych i jeden ranny. Strzelanina z ckm i kb trwała do zmierzchu. Dowódca 2 BG płk. Stawarz widząc niki możliwości utrzymania linii obrony Popradu i Dunajca wydał rozkaz wycofania nocą 2 BG w rejon Grybowa, a następnie 9 km do Bobowej.

6 IX — Od rana grupa mjr. Miłka obsadzała odcinek Bobowej (z 6 kompanią kpt. Winiarskiego, wyposażoną w broń maszynową). W Wilczyskach przygotowywał się do obrony batalion por. Wołoszyna, utrzymujący łączność z batalionem 1 pp KOP „Karpaty” w Polnej. W odwodzie pozostała 4 kompania por. Macha z plutonem moździerzy por. Kuli.



Działania 4 września



Działania 8 września

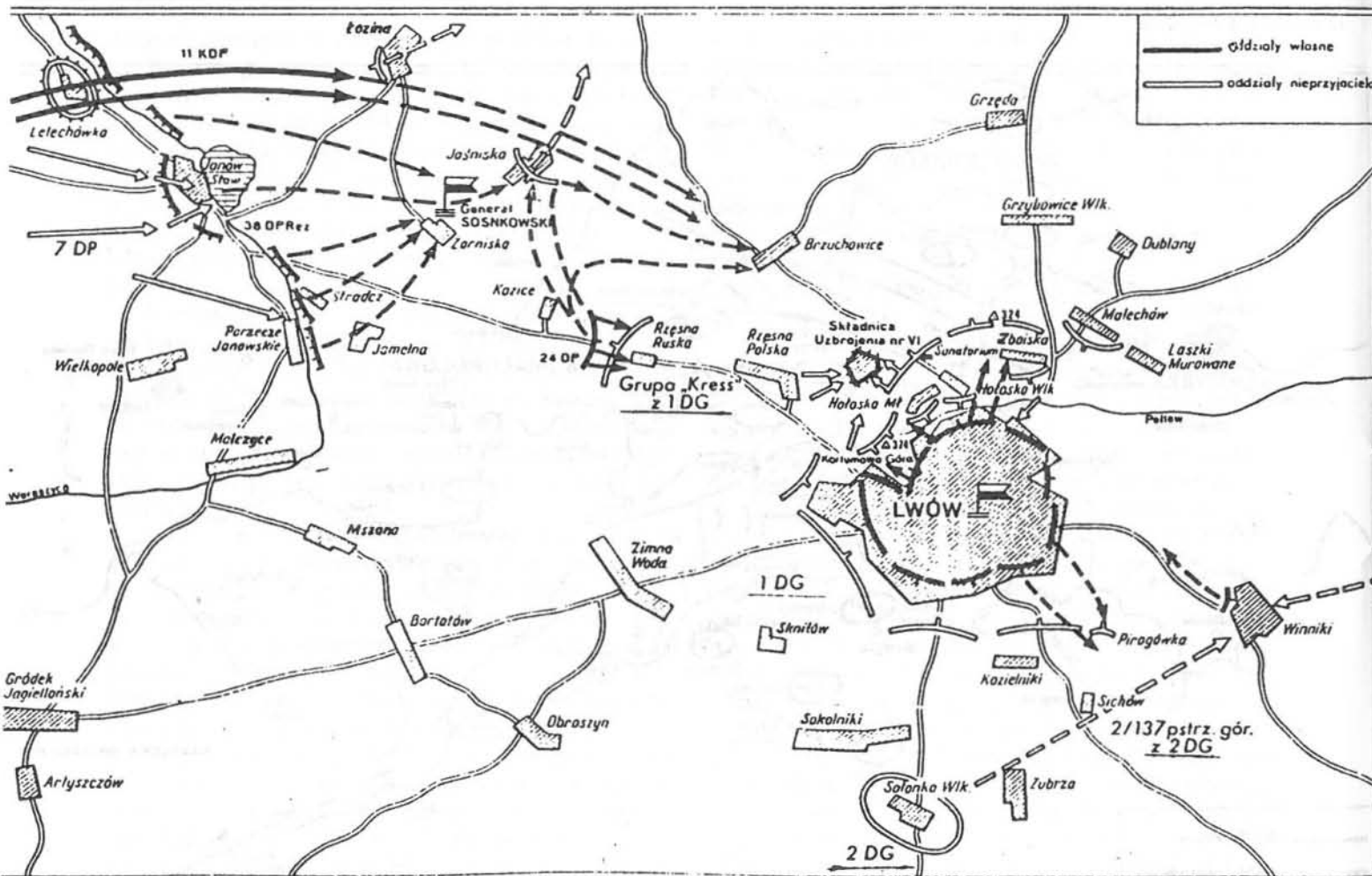
Równocześnie z przygotowywaniem pozycji obronnych wzmocniono działalność patrolowania przedpola od strony zachodniej. Terenem mojego działania była szosa w kierunku Woli Łużańskiej, gdzie stwierdziłem przesuwające się kolumny niemieckiej kawalerii. Pomocne okazały się meldunki 56 eskadry obserwacyjnej o ruchu kolumny zmotoryzowanej z Nowego Sącza na Gorlice. Tego samego dnia w godzinach popołudniowych wtargnął na pozycje grupy mjr. Miłka armijny pułk rozpoznawczy pancerno-motorowy, wspierany huraganowym ogniem artylerii niemieckiej 2 DG. Po przełamaniu obrony polskiej nieprzyjaciół zaczął przesuwać się w kierunku Stróżnej. Kontratak 4 kompanii wstrzymał natarcie Niemców. Wznowione działania nieprzyjaciela między Grybowem a wzgórzem 779 „Chęlm” trwały do wieczora. Trudną sytuację grupy mjr. Miłka pogłębił brak kontaktu (łączności) z dowództwem 2 BG i 1 PSP w Gorlicach.

6 IX – 7 IX nocą – Grupa mjr. Miłka została okrążona i musiała się przebijać. Tymczasem w Goricach gen. Orlik-Łukoski nakazał brygadzie odwrót do rejonu Jasła (bez grupy mjr. Miłka) z zadaniem przygotowania obrony Krosna przez 2 BG.

7 IX — O świcie niemiecka kolumna zmotoryzowana uderzyła na tyły 6 kompanii kpt. Winiarskiego. Mimo zmęczenia i nieregularnego odżywiania się zapął do walki (poza nielicznymi przypadkami dezercji) i morale szarego żołnierza były godne uznania. Po dwugodzinnych walkach Niemcy wycofali się przez Polną na wschód. Straty w ludziach po obu stronach

8 IX — Zachodziła konieczność przebijania się plutonami. Zaskoczenie nieprzyjaciela w Szymbarku powiodło się mimo rosnących strat w ludziach po obu stronach. Dalszy marsz do Małastowa. Moje rozpoznanie i innych patroli były zgodne. Grupa mjr. Miłka znalazła się ponownie w okrążeniu. Brak amunicji przekreślił wszelkie poczynania bojowe. Mjr Miłek postanowił poczekać w lasach do czasu ustabilizowania się frontu. 6 kompania kpt. Winiarskiego podjęła natomiast marsz ubezpieczony przez Polną, wzgórze 747, „Maślana Góra”, „Jelenia Góra” do szosy na wschód od Szymbarku, zabierając po drodze zagubione grupy żołnierzy z batalionu poległego por. Wołoszyna. Nocą kompania dotarła do Żmigrodu Nowego, zabierając nadal zagubione jednostki i pojedynczych żołnierzy. Około południa sformowane oddziały dotarły do Odrzykonia (5 km na pñ. od Krosna). Tak więc 4 i 6 komp. 1 PSP zdołały się wydostać z okrążenia i, chociaż z dużymi stratami, dołączyły do macierzystego 1 PSP w rejonie Krosna.

9 IX – Do Krosna przesunęło się dowództwo 2 BG i 1 PSP z oddziałami specjalnymi, do których przydzielono mnie z drużyną mocno uszczuploną. O zmroku od strony południowej wtargnęła nie spodziewanie kolumna „Lang” zmotoryzowanego



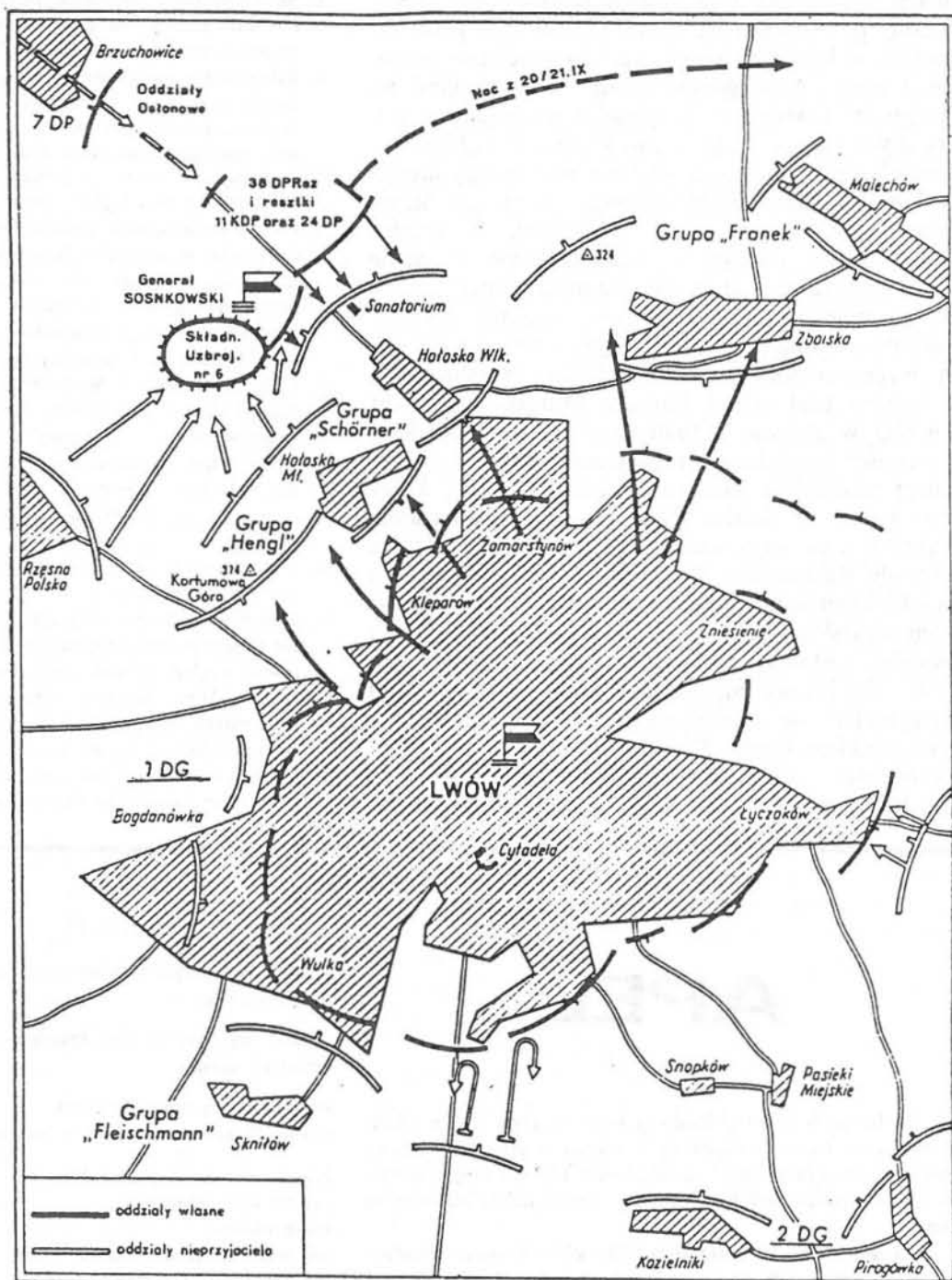
Działania 18 września

oddziału pościgowego „Wintergerst” z 1 DG, biorąc po krótkiej walce do niewoli część dowództwa 2 BG z kancelarią, środkami transportu i łączności. Tak skończyła szlak bojowy 2 BG. W mieście trwał nadal opór oddziałów specjalnych brygady wspólnie z moją drużyną.

9 – 10 IX – Grupy rozbitych jednostek przedarły się w kierunku na płd. wschód, gdzie dołączyły do ewakuacyjnych transportów wojskowych zmierzających przez Ustrzyki Dolne, Sambor, Stryj, Żydaczów, Chodorów do Brzeżan. Tutaj znajdował się Ośrodek Zapasowy 21 Dywizji Piechoty Górskiej. Po sformułowaniu pułku pod dowództwem płk. Bezgi jednostka ta wyruszyła marszem na zachód na linię tworzącego się przyczółka nad rzeką Stryj pod dowództwem generała brygady Stefana Dembińskiego. Tragicznego dnia **17 września (niedziela)** doszła nas

przysiębiająca wiadomość o zdrazieckim napadzie ZSRR na Polskę. Rozkaz marszałka E. Rydza Śmigłego – wymarsz jednostek frontowych do Rumunii i na Węgry. Pułk nasz w szyku bojowym osiągnął dorzecze rzek Dniestr i Stryja. Wyznaczony na dowódcę szpicy w sile plutonu stoczyłem przed Żydaczowem bitwę na rozwidleniu dróg Mikołajów – Żydaczów, Stryj na Przełęcz Użocką, z oddziałem rozpoznawczym niemieckiej 57 DP. Ranny wraz z trzema żołnierzami plutonu zostałem odwieziony do szpitala polowego w Żydaczowie. Pułk nocą odszedł do granicy węgierskiej. Lekarz wojskowy przekazał rannych pani doktor (wdowie po miejscowym lekarzu), sam zaś z pułkiem odszedł na Węgry.

20 IX – Do Żydaczowa wkroczyły oddziały Armii Czerwonej, przywożąc 3 rannych „krasnoarmiejców”. Trzy dni później przewieziono mnie na



Działania 20 września

operację prawej ręki do Szpitala Powszechnego w Stryju. W pierwszych dniach października zaraziłem się dudem brzuszny od rannych żołnierzy radzieckich. Chorymi rekonwalescentami Armii Polskiej zainteresowali się oficerowie NKWD, przeprowadzając z nami „kombatanckie rozmowy”.

28 IX — Wypisano grupę dwudziestu ozdrowieńców polskich, nie wydając nam żadnego zaświadczenia. Wyprowadzono nas na podwórze szpitalne, skąd pod konwojem wywieziono do Kałusza. Tu odbyło się pierwsze nekające przesłuchanie nocne, przeprowadzone przez oficera śledczego NKWD. Tematem były sprawy polityczne, socjalne, narodowościowe, szczególnie zaś wojskowe (stopień wojskowy, specjalność, wywiad, wykształcenie i wiele innych). Kolejnymi etapami były — Stanisławów, Tarnopol, Kamieniec Podolski i Winnica. Stąd po dwóch dniach wracaliśmy tym samym szlakiem do Stryja. Metody przesłuchań nie różniły się niczym jedne od drugich. Z każdego „spotkania” sporządzano protokoły, którego treść porównywano z zeznaniami na następnym postoju. W przypadku niezgodności podawanych faktów traktowano je jako nie „blagonadziejne” i były podstawą wydzielenia z grupy (aresztowania). Z dwudziestoosobowej grupy do Stryja wróciło nas łącznie ze mną siedmiu. W drodze powrotnej na postoju w Stanisławowie w czasie przesłuchania naraziłem się „sledowateliowi”, za co ukarał mnie „noclegiem” w zaszczurzonej piwnicy. Następnego dnia przemarzniętego i z wysoką gorączką wyprowadzono mnie na dalsze przesłuchanie, w którym brał udział tłumacz Margoszes i oficer NKWD w stopniu lejtnanta, człowiek o powierzchowności względnie sympatycznej. Margoszes był synem właściciela garbarni w Stanisławowie, który miał konto w Banku Polskim, gdzie odbywałem praktykę w czasie ostatnich wakacji 1939 r. Pracując w dziale Rachunków Bieżących (Żyro) załatwiałem go jako klienta. Dzięki jego pozytywnej opinii i badaniom lekarskim, które wykazały zaawansowany stan choroby, zostałem zwolniony i zaopatrzony w „proпуск”. Do bramy odprowadził mnie Margoszes. Tu zatrzymałem się u państwa Uramów (p. Uram był pracownikiem Banku Polskiego), którzy udzielili mi schronienia i zadbali o pomoc lekarską. Był to dzień moich urodzin — 11 listopada. Po powrocie do

zdrowia wyjechałem 24 XI do Stryja po odbiór zaświadczenia pobytu w Szpitalu Powszechnym. Wstąpiłem też do sióstr, aby dowiedzieć się o losie pozostałych kolegów. 28 XI wyjechałem do Lwowa. Na pożegnanie siostry wręczyły mi dwie paczki z bielizną oficerską, które utraciłem w wyniku konfliktu z „pasażerami” w pociągu.

Zadania i przyczyny załamania się obrony odcinka „Słowacja”

Odcinek „Słowacja” długości 150 km zlecony do obrony Armii „Karpaty”, dowodzonej przez gen. dyw. Kazimierza Fabrycego, sięgał na zachodzie do miejscowości Czorsztyn, a na wschodzie granicy węgierskiej. Przecinany sześcioma dolinami, z których dwie wyprowadzały na tyły armii z rejonu Łupkowa na Sanok i Przemyśl, druga na Lesko, Chyrów i Przemyśl, stwarzały one dla nieprzyjaciela dogodne warunki wyboru miejsca uderzenia, okrążenia i zniszczenia jednej z najsłabiej uzbrojonych armii polskiej.

1. Armia „Karpaty” powstała 11 lipca 1939 r., a więc zbyt późno, aby zabezpieczyć na najważniejszym obszarze operacyjnym prawe skrzydło Armii „Kraków”.
2. Była jedną z najsłabszych armii polskich (dwie brygady — 24 bataliony i prawie bez artylerii).
3. Walczyła batalionami i kompaniami i z trudem powstrzymywała natarcia niemieckich 1 DG i 2 DG.
4. W dniu 1 IX armia nie posiadała planu łączności. Do jego opracowania przystąpiono dopiero 28 VIII 1939 r.
5. Prace fortyfikacyjne i zniszczeniowe na przełęczach nie doszły do skutku ze względów finansowych.
6. Armia dysponowała tylko dwoma eskadrami: 31 eskadrą rozpoznawczą — 9 samolotów typu „Karaś”, 56 eskadrą obserwacyjną — 7 samolotów typu R—XIII i plutonem łącznikowym — 3 samoloty typu RWD—8.
7. 1 IX na lotnisku w Moderówce k. Jasła zostały zniszczone przez Luftwafę 23 samoloty bojowe typu RWD—8.
8. Przydzielone Armii „Karpaty” 24 DP i 11 KDP nie reprezentujące pełnej zdolności bojowej, weszły na pozycje obronne, gdy było już za późno — po utracie górnego Dunajca.
9. Armia nie dysponowała odwodami zdolnymi do działań obronnych.
10. Sprawa wycofania się nie była uregulowana w planach operacyjnych na obszarze Armii „Karpaty”.
11. Główne rzeki terenu operacyjnego armii — Dunajec i San — nie stanowiły istotnej przeszkody nacierającemu nieprzyjacielowi ze względu na niski poziom wody spowodowany posuchą.
12. Słabość Armii „Karpaty” wynikała z małej liczby jednostek regularnych (8 batalionów, 1 bateria i 2—4 kompanie saperów). Większość, bo aż 16 Batalionów Obrony Narodowej (oprócz dwóch), nie nadawała się w ogóle do użycia na polu walki, lecz jedynie do służby wartowniczej.

ROMANA GRUBER-ZYCHOWA

Cmentarz Łyczakowski

Pochylonych krzyży nikt już nie podniesie, nawet czarne grobowce przegryzie czas ...

Drzewa wypijają ostatnie krople umarłych oczu...

Jedynie melancholia Zaduszek
zawsze ta sama — zwiędłym liściem zadymi...

Kości nieznanych pradziadów
zawsze będą wiązały
nasze imiona
jak mocne korzenie starych drzew
wiążą najwyższe gałęzie
z ziemią rodzinną.

APEL

Spółeczny Komitet Odbudowy Kościoła rzym.-kat. w Malechowie koło Lwowa zwraca się z prośbą o pomoc finansową i wsparcie akcji ratowania kościoła, wokół którego zorganizowała się grupa mieszkających tam Polaków. Wpłaty należy kierować na konto:

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek-Ratusz nr 7/9, PKO IV/O Wrocław 93549—99192—132, z dopiskiem „Odbudowa kościoła w Malechowie”.

Gawęda przy ognisku harcerskim urządzonym 10 listopada 1991 r. przez Wrocławską Chorągiew ZHP we Wrocławiu „Na Grobli”, na zakończenie uroczystości otwarcia wystawy „Harcerstwo lwowskie i wrocławskie do roku 1939”

Poproszono mnie o poprowadzenie gawędy na temat Ochotniczej Harcerskiej Kompanii Obrony Lwowa w 1939 r., ponieważ na terenie działania naszej Wrocławskiej Chorągwi ZHP jestem jedynym przedstawicielem tej kompanii.

Okolo 57 lat temu w VIII Gimnazjum we Lwowie nasz opiekun I Lwowskiej Drużyny Harcerskiej prof. Różycki, wspólnie z dyrektorem Hodbodem zorganizowali spotkanie młodzieży z 90-letnim wówczas uczestnikiem powstania styczniowego, weteranem walk w 1863 r. Było to wówczas dla mnie prawdziwe spotkanie z historią, nie zapomniane do dziś. Nie przypuszczałem wówczas, że przyjdzie czas, kiedy i ja wystąpię w podobnej roli. Taka niestety jest nasza polska historia, że każde pokolenie „wachało prochu”.

Mam nadzieję, że moje pokolenie jest już ostatnim wojującym pokoleniem, że następne walczyć będą już tylko na polu ekonomicznym. Myślę, że mam większe podstawy do takiej nadziei niż mój ojciec, który uważał I wojnę światową za ostatnią wojnę. Uważał, że po czterech latach walk za cesarza Franciszka Józefa i następnych dwóch o swą rodzinną Rzeszę Polską, o Lwów z Ukraińcami i Polskę z bolszewikami już wywojował trwały pokój.

Niestety, przyszedł rok 1939. Lwowskie pułki walczyły na zachodzie Polski. We Lwowie pozostała garstka wojska, a Niemcy nagłym uderzeniem od strony Słowacji usiłovali z marszu zająć miasto. Wdarli się w zachodnią jego część. Zająli Kulparków, Bogdanówkę, Lewandówkę, Gródeckie i doszli aż do kościoła św. Elżbiety, a od północy pod Wzgórza Kleparowskie. Zostali odrzuceni przez formacje ochotnicze na przedpolu miasta i nie wpuszczeni pomimo licznych ataków. Lwowa broniła garstka wojska i ochotnicy, wśród których harcerze byli w pierwszym szeregu.

Jeszcze przed 1 września 1939 r. zorganizowano pogotowie harcerskie, osobno harcerzy i harcerek, a w dniu wybuchu wojny rozpoczęto zgrupowanie harcerzy: 2 IX zorganizowano harcerskie punkty obserwacyjne przeciwlotnicze, 5 IX hm. por. Zbigniew Czekański rozpoczął formowanie I Ochotniczej Kompanii Harcerskiej. Dowódcą 1 plutonu został hm. por. Stanisław Tereszkiewicz, dowódcą 2 plutonu – phm. Tadeusz Drechsler, dowódcą 3 plutonu – phm. podchorąży Władysław Jagiełło (ten, którego śmierć pod Monte Casino opisuje Melchior Wańkowicz), szefem kompanii – Zdzisław Jurajda.

Przydzielono mnie do I drużyny w 1 plutonie, której drużynowym był phm. Kazimierz Fabiś, a jego zastępcą Zbigniew Nartowski.

Nasza kompania weszła w skład II ochotniczego batalionu dowodzonego przez mjr. Majewskiego.

I batalion strzelecki, złożony przede wszystkim z jednostek obrony narodowej, dowodzony przez kpt. Zielińskiego i nasz batalion II tworzyły Ochotniczą Brygadę Obrony Lwowa, dowodzoną przez ppłk. dypl. Greffnera. Jednostka ta w jednych źródłach nazywana samodzielną brygadą, w innych pułkiem, wchodziła prawdopodobnie w skład 19 pp, jak było naprawdę wypowiedzą się historycy.

II ochotniczy batalion składał się z I kompanii harcerskiej dowodzonej przez hm. por. Zbigniewa Czekańskiego (który w czerwcu 1941 r. został zamordowany w sowieckim więzieniu w Brygidkach we Lwowie), II kompanii strzeleckiej (był w niej mój młodszy brat Władysław) i III kompanii – złożonej w przeważnej części z członków szkolnego PW oraz z pewnej liczby kadetów i harcerzy, dla których brakło miejsca w I kompanii.

Zakwaterowano nas w szkole im. Marii Magdaleny, gdzie por. Czekański, wykładowca ze Szkoły Kadetów, odbywał z nami przyspieszone zajęcia z taktyki bojowej kompanii. Stąd też wychodziliśmy na patrole zwiadowcze na Wzgórza Kleparowskie, Zamartynów i Hołosko, a także na likwidację punktów dywersyjnych. Po ostrzale artyleryjskim szkoły przeniesiono nas do piwnic biblioteki politechnicznej, skąd wymaszerowywaliśmy na nasz odcinek frontu w północnej stronie miasta.

Chronologia wydarzeń miesza mi się niestety, fakty i ich umiejscowienie też. Dlatego właśnie starałem się swe wspomnienia, jakie migawkowo nasuwa mi pamięć, uporządkować i ułożyć w jakieś obrazy. Oto niektóre z nich.

1. Jesteśmy w dużej sali w szkole Marii Magdaleny. Porucznik przeprowadza szkolenie. Przed budynkiem jest studnia z pompą i kobiety stoją w kolejce po wodę. Niemiecka artyleria, mająca dobre informacje podawane przez wszechobecną piątą kolumnę, ostrzeliwuje Lwów. Kilka pocisków wybucha w okolicy studni. Popłoch. Kobiety uciekają. Pozostają zabite i ranne. Słyszę komendę „schronić ranne”. Wybiegam i wspólnie z drugim żołnierzem dźwigamy tęą kobietę do środka. Ona broni się, krzyczy, nie pozwala się nieść, ale wnosimy ją siłą. Skrwawiona noga wlecze się za nią. Układamy raną, noga strzaskana w kolanie wisi na ścięgnach. Co z tym robić? Jesteśmy po kursach pierwszej pomocy, ale wszystko z głowy wywietrzało. Gorączkowo radzimy się wzajemnie. Wiążę jej udo, żeby zmniejszyć upływ krwi. Odcinam nożem wiszący kikut. Kobieta jest w szoku. Chyba nie czuje bólu. Więcej martwi się podartą spódnicą niż nogą. Wokół koledzy mają podobne problemy. Zjawia się lekarz. Kobietę zabierają do szpitala. Zabierają też najmłodszego spośród nas: siedzącego na parapecie okiennym dosięgnął odłamek, niestety śmiertelnie.

2. Późnym wieczorem któregoś z początkowych dni podchorąży Jagiełło wyprowadza grupkę doraźnych ochotników na patrol, na likwidację punktu dywersyjnego w okolicy górnej ulicy Zadwórzeńskiej. Nadeszła wiadomość, że ze strychu ktoś strzelał do przechodzących żołnierzy. Podchodzimy do wskazanego domu. Kilku wbiega po schodach na strych. Zamieszanie, krzyki, strzały. Ja jestem po drugiej stronie w bramie z moim Lebelem wycelowanym w okienka strychowe. Jeden z dywersantów ukraińskich wypada przez okno. Zlikwidowana została 4-osobowa obsługa LKM-u. Mamy jednego ranego.

3. Dostałem jednogodzinną przepustkę do domu (oryginał tej przepustki znajduje się w Przeworsku u hm. Tereszkiewicza, wraz z listą członków naszej kompanii i innymi dokumentami. Nasz dowódca plutonu przechował je z narażeniem życia – dziś kserokopie znajdują się na naszej harcerskiej wystawie). Idę na ul. Zadwórzeńską 23, gdzie schroniła się moja matka z małą siostrą i najmłodszym bratem. Opuściła mieszkanie przy ul. Miejskiej 69 na Lewandówce, wystraszona przez ataki niemieckie, i przebywała u znajomej rodziny Franczuków. Dowiaduję się, że mój brat, o dwa lata młodszy, Władysław, też był na przepustce. Jest w batalionie ochotniczym i stacjonuje przy ul. Pełczyńskiej w gmachu ZEOL-u, bierze również udział w walkach z Niemcami. Poka-

zał się syn gospodarzy Józek Franczuk, najstarszy z nas, też ochotnik w którejś kompanii.

4. Leżymy w długim szeregu-tyralierze w poprzek skłonu w sadzie w Hołosku. Pogoda piękna, ciepło. Leżę pod gruszą. Pyszne duże gruszki leżą obok. Jem i staram się przezwyciężyć łakomstwo, bo wiem, że są już wśród nas chorujący na rozstrój żołądka. Poniżej sadu jest pole obsadzone kapustą, a za kapustą łąka porośnięta wysoką trawą, poprzecinana rowami obrzeżonymi szuwarami i trzciną. Jesień była sucha, więc i rowy prawie suche. W pewnym momencie porucznik stwierdził patrząc przez lornetkę, że w kapuscie są Niemcy. Czołgają się. Ich hełmy odróżniają się od kapusty, bo są w ruchu. Padają ciche rozkazy: „Lewe skrzydło leżącej tyraliery do tego drzewa, prawe od porucznika w prawo, reszta to centrum. Na sygnał oba skrzydła zaatakują kapustę”. Ja jestem w centrum i na sygnał porucznika strzelam. Skrzydła poszły ... Niemcy nie odpowiadają, przyduszeni ogniem karabinowym, wystraszeni wrzaskiem „hurra” i pędzącymi z obu stron polskimi żołnierzami. Wystrzeliłem raz w kapustę, drugi raz do Niemca, który będąc blisko szuwarów usiłował cofnąć się do rowów. Dalej strzelać nie mogłem, bo nasi zabiegli mi drogę i znaleźli się na linii strzału. My z centrum pobiegliśmy też. Wpadłem w kapustę prosto na kłęczącego wielkiego niemieckiego żołnierza, który z rękami w górę wrzeszczał: „Kamerad, Kamerad”. Ledwie się powstrzymałem, żeby go w rozpędzie nie przekłuć. Trąciłem go: „Wstawaj!” Wstał. W tym czasie było już po wszystkim. Niemcy zaskoczeni nie strzelali, część wycofała się na łąkę, część dostała się do niewoli. U nas było dwu rannych — jeden od odłamków swojego własnego granatu, na które biegnąc nastąpił. I tak miał wielkie szczęście. Jeden Niemiec został zabity, drugi ranny. Ja swemu jeńcowi zabrałem karabinek, maskę, pas z ładownicami i coś tam jeszcze. Wszystko to oczywiście niosłem, on zaś nie obciążony, ale z duszą na ramieniu szedł przede mną na górę, do porucznika. Porucznik draba przejął, a mnie zbeształ za to, że objuczyłem się jak wielbłąd. Od tego dnia miałem maskę przeciwgazową, z której byłem bardzo dumny, lekki karabin i dużo naboji. Lebela postawiłem pod gruszą i tam zapomniany pozostał.

5. W jednym z nocnych obchodów byłem świadkiem (chyba na rogatce Zamarstynowskiej) marszu sporej grupy naszego pięknego, ale zmęczonego wojska. Szli wprost na nas. Ich oficer opowiadał naszemu, że przedarli się przez Niemców, ale główna ich część została odcięta od Lwowa.

6. Wracamy ze zwiadu przez Ogród Jezuicki. Wszędzie pełno wojska z okolic Wileńszczyzny. Chyba tabory. Małe wózki konne z charakterystycznymi pałakami. Wynędniali, zbiedzeni żołnierze mówiący śpiewnym wileńskim akcentem. Wynędniałe konie. W kilku miejscach okopana artyleria.

7. Leżymy pod obstrzałem. Przed nami w dole w sporej odległości pojawiają się dwa niemieckie czołgi. Pną się zboczem ku nam. Porucznik podaje do tyłu meldunek. Nasza artyleria z tyłów strzela. Za trzecim razem celnie. Jeden chyba trafiony, bo staje. Drugi wycofuje się.

8. Wypad na Zboiska. Teren wiejski, z rzadka zabudowany ładnymi parterowymi domkami. Domy puste. Nigdzie nie widać człowieka. Nagle ostrzy ostrzał z broni maszynowej i następnie artyleryjski. Chowamy się za osłonami terenowymi. Dłuższy czas nie mogliśmy się ruszyć. W końcu wycofaliśmy się. Tam został ranny w nogę por. Tereszkiewicz. Był to jeden z ostatnich dni walki. Por. Tereszkiewicz musiał udać się do szpitala, który mieścił się wówczas w głównym budynku politechniki. Zastąpił go na jeden dzień por. Tyburski.

9. Stoję wieczorem na warcie przy wejściu do biblioteki politechnicznej. Przechodzi koło mnie poprzedzany przez żołnierza z dzwonkiem nasz ksiądz kapelan — też ochotnik — Jan Kwiatkowski, mój były ksiądz katecheta z liceum, z Hostią, widocznie do chorego lub rannego. Prezentuję broń. Ksiądz zatrzymuje się, odsuwa mój karabin, każe uklęknąć, głaska mnie po głowie. Nazwał mnie po imieniu i pobłogosławił. Wiele lat później dowiedziałem się, że ten ksiądz-patriota za działalność w AK wiele wycierpiał od Niemców, a następnie od naszego UB. Szczegółów niestety nie znam. Wiem tylko, że w latach sześćdziesiątych zmarł w Krakowie.

10. Obraz najtragiczniejszy. Ostatni dzień walki. Wróciliśmy około południa do budynku biblioteki. Zebraliśmy się wszyscy na dziedzińcu i jakiś oficer, już nie pamiętam kto, przemawiał do nas. Chwalił nas za dzielność i dziękował za wierną służbę Ojczyźnie, oznajmił o kapitulacji Lwowa, który poddaje się wojskom radzieckim. Powiedział, że rozwiązuje jednostkę i każdy może robić, co chce. Możemy grupkami przedzierać się na Rumunię lub wracać do domów. Mamy przebrać się po cywilnemu, nie dać się wziąć do niewoli i pamiętać, że jeszcze możemy się przydać Ojczyźnie. Otwarto magazyny, każdy mógł sobie wziąć, co chciał. Akta kancelaryjne zostały spalone. Szok był ogromny. Był też płacz, ja również nie mogłem powstrzymać łez. Niewielu było chętnych, by brać cokolwiek. Wziąłem dwie pary skarpet na drogę, bo myślałem o marszu na Zaleszczyki.

Poszedłem do matki na ulicę Zadwórzeńską 23. Był już tam Józek Franczuk. Wszyscy wiedzieli o kapitulacji. Atmosfera była straszna. Przebraliśmy się w cywilne ubrania i czekaliśmy na mego brata Władysława, żeby pójść razem. Pobiegłem jeszcze pod bibliotekę politechniczną, by szukać kolegów na wspólny marsz. Bramę już zamknięto, nikogo nie spotkałem. Wracając, koło szkoły Marii Magdaleny widziałem taki obrazek: dwu drabów rzuciło się na porucznika WP, zelżyli go i jeden uderzył go w twarz, żądając pistoletu. Porucznik był zaskoczony, ale zdołał odskoczyć, dobył pistoletu i jednego zabił, drugi uciekł. Napastnicy krzyczeli po ukraińsku. Poszedłem wzdłuż ulicy Sapiehy po stronie politechniki. Gdy byłem w okolicy jej głównej bramy, od strony ulicy Kopernika wjechały pierwsze oddziały radzieckie. Jechali na koniach. Ich wygląd przeczył moim dotychczasowym wyobrażeniom o wojsku. Konie nie dobrane ani pod względem wzrostu, ani maści. Byli w szarych szynelach, w szarych czapkach jak kapuzy ze spiczastym czubkiem. Trzymali długie karabiny gotowe do strzału. Przed nimi jechało

dwóch cywilów z czerwonymi opaskami, którzy na zmianę krzyczeli po polsku i ukraińsku, z wyraźnym akcentem żydowskim do ludzi wychylających się z okien: „Zamykać okna, bo strzelamy” – i rzeczywiście strzelali do tych, którzy na czas nie zdążyli zamknąć okna. Wszystko to sprawiało niesamowite wrażenie.

Mego brata Władka nie było jeszcze w domu. Przyszedł natomiast brat młodszy Józka – Tolek. Szykowaliśmy się na Zaleszczyki. Wszyscy domownicy prosili nas i perswadowali, żeby nie iść, bo już za późno. Nie wierzyliśmy. Uwierzyliśmy dopiero Władkowi, który od swoich władz wojskowych przyniósł wiadomość, że już nie ma wolnej drogi i nie przejdziemy. I tak zostaliśmy.

STEFANIA CZARNIECKA

Orzeł ze Lwowa

„Srebrny Orzeł” – fragment sztandaru wyhaftowany w 1944 r. przez siostry zakonne św. Teresy we Lwowie, przewieziony w ukryciu przez granicę polsko-rosyjską, przechowywany przez 27 lat w wawelskim muzeum – ożył i ukazał się moim oczom, jak gdyby dopiero wyszedł spod rąk hafciarek. Patrząc na niego ożyły wspomnienia.

Było nas troje, każde z nas miało swój przydział funkcyjny w Armii Krajowej, ale mimo przyjaźni, jaka nas łączyła, sfera naszych działań w konspiracji była ze zrozumiałych względów objęta tajemnicą. Nasze pseudonimy poznaliśmy dopiero w czasie operacji „Burza”. Maryla Rutkowska miała pseudonim „Ruta”, Stach Stangret „Graniń”, a ja – „Krywań”.

Owiani gorącym uczuciem patriotyzmu chcieliśmy skonkretyzować je w pięknym artystycznym dziele – w sztandarze, który postanowiliśmy wręczyć tym, którzy podjęli walkę zbrojną o wyzwolenie Ojczyzny. Decyzja ta była wyłącznie naszą – nazwijmy to – „prywatną” sprawą. Nie informowaliśmy o naszych zamiarach swoich dowódców z obawy, że nam nie zezwolą na podjęcie tego ryzyka powiększającego możliwość dekonspiracji.

Piętrzyły się przed nami trudności. Jak w warunkach terroru okupacyjnego zrealizować dzieło, do którego nie mieliśmy żadnego przygotowania? Jaki ma być ten sztandar? Jakie materiały i środki są potrzebne? Kto wykona ten sztandar? I jak to wszystko utrzymać w tajemnicy?

Zaczęliśmy z Marylką systematycznie penetrować lwowski bazar, na który lwowiaczy wynosili wszystko, co im jeszcze zostało. W wyniku żmudnych poszukiwań zdobyliśmy biały i czerwony rypsy, złote frędzle, a nawet naramienniki generalskie, z których wyprute nici posłużyły do wyhaftowania poszczególnych elementów sztandaru. Zakupy ukryliśmy przed rodziną.

We Lwowie przy ulicy Leona Sapiehy siostry zakonne św. Teresy prowadziły przed wojną znaną w całej Polsce pracownię akcesoriów sakralnych. Prowadziły również szkołę, do której uczęszczałam w pierwszych latach mojej nauki. Dzięki tej wcześniejszej znajomości mogłam przekroczyć barierę nieufności ze strony zakonnic i wtajemniczyć je w nasze zamiary. Zakonnice z zapałem zaangażowały się w tę pracę, zdając sobie sprawę z wielkiego ryzyka. Jak było ono duże i groźne, świadczą o tym dzieje martyrologii przedstawione np. w książce Stanisława Pempela *ZWZ-AK we Lwowie, rok 1939–1945*.

Długie były narady i dyskusje nad projektem graficznym sztandaru, w czym dzielnie pomagały nam siostry, dysponowały bowiem sporym księgozbiorem zawierającym przydatne nam katalogi i albumy. Nie wiedząc, jakiej jednostce ten sztandar wręczymy, staraliśmy się, by treść symboli sztandaru miała charakter ogólny, uniwersalny. Zdecydowaliśmy się na takie symbole i hasła, które najpełniej odzwierciedlały powszechne uczucia, a więc „Orzeł”

W 1990 r. – dzięki staraniom grupy częstochowskiej w składzie druhów Sławomira Wilka, Józefa Dźwigalskiego, Gustawa Burtana i Zygmunta Jaworskiego – odbył się pierwszy zjazd byłych żołnierzy I Ochotniczej Harcerskiej Kompanii Obrony Lwowa 1939 r. Nie byłem na tym zjeździe, lecz dopiero na drugim w maju 1991 r., odnaleziony dzięki ogłoszeniu w „Semper Fidelis”. 12 maja 1991 r. na Jasnej Górze złożyliśmy plakietkę metalową dla upamiętnienia naszej kompanii. Uhonorowano nas Krzyżami Obrony Lwowa 1939.

Za rok, w maju 1992 r. ma się odbyć kolejne spotkanie, niestety w mniejszym gronie, bo ubył nasz nie odwołany druh – sekretarz kręgu – Józef Dźwigalski. Odnalazł się natomiast w dalekim Londynie jeszcze jeden z nas – druh Mieczysław Diakun – też dzięki „Semper Fidelis”.

Moim marzeniem jest dożyć spotkania naszego kręgu w Lwowskiej Katedrze.

i „Matka Boska Częstochowska” oraz napisy: „Prowadź nas Orle Biały z Podziemia do Wolności” i „Bóg Honor Ojczyzna”. Haft był piękny, siostry dosłownie go wypieściły.

Dni radości i oczekiwania wolności Lwowa były niestety krótkie. Po terrorze niemieckim nastąpił terror sowiecki, a wytęsknione polskie wojsko gorzko nas rozczarowało. NKWD aresztowało mnie 5 stycznia 1945 r. – a więc było więzienie, ciężkie przesłuchania, a potem łagier z perspektywą zsyłki na Sybir. Staś zginął tragicznie.

Sztandar ukryła Marylka. Wyjeżdżając do Polski podzieliła go (z uwagi na możliwość rewizji) na dwie części. Część zawierającą „Orla” przewiozła przez granicę, ukrywając ją we własnym bagażu, drugą część „z Matką Boską” powierzyła innej koleżance, do której nie udało się, mimo poszukiwań w Polsce, dotrzeć. Pozostał więc tylko „Orzeł”, którego Marylka przechowywała przez 20 lat u siebie w Zakopanem.



ORZEŁ WYHAFTOWANY
WE LWOWIE W 1944 r.



Lata miały i wciąż nie było warunków na spełnienie naszych marzeń, by oddać „Orla” tym, dla których był przeznaczony.

W 1965 r. Marylka w porozumieniu ze mną oddała „Orla” w depozyt do Zbioru Sztuki na Wawelu. Lata miały, stawałyśmy się coraz starsze i traciłyśmy nadzieję na jakąkolwiek zmianę sytuacji za naszego życia.

A wolność przyszła. Po półwiekowej zwłoce dotarł „Orzeł” do tych, dla których był przeznaczony. Powstał Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, a w jego ramach Środowisko Lwowskie III Obszaru AK. Zostałam członkiem tego Związku. Za namową i pomocą pana Ryszarda Merkla, przewodniczącego Środowiska Lwowskiego AK we Wrocławiu, wycofałyśmy „Orla” z depozytu.

W imieniu tych wszystkich, którzy się do powstania tego sztandaru przyczynili, Marylka i ja przekazałyśmy Środowisku AK ten sztandar z życzeniami, aby po wsze czasy głosił chwałę naszej Niepodległości.

Podobnie jak w odbudowanym Zamku Królewskim zawarte są szczątki starego zamku dając nam poczucie jego autentyczności, tak i tu „Orzeł” rodem ze Lwowa – część sztandaru, z którym związały się uczucia i przeżycia żołnierzy Armii Krajowej z tamtych lat – będzie symbolem odradzania się ducha Orląt Lwowskich.

Życie artystyczne we Lwowie w czasie pierwszej okupacji sowieckiej

12 IX 1939 r. — 22 VI 1941 r.

Krótki okres między wrześniem 1939 r. a czerwcem 1941 r. w historii Lwowa na podstawie takiej literatury, jak: powieść Juliana Strykowskiego *Wielki strach*, wspomnienia Aleksandra Wata i Oli Watowej, pielęgniarzki Wandy Ossowskiej, generała Klemensa Rudnickiego czy Michała Borowicza, przedstawia się jako nieznaną przedsionkę piekła. W niezwykle trudnej sytuacji znaleźli się wszyscy lwowianie, także artyści zarówno ci na stałe związani ze Lwowem, jak również ogromna liczba przybyszów z całej Polski zaskoczonych tam przez armię radziecką i pozbawionych możliwości dalszej ucieczki. W ich biografiach okres ten kwitowany jest krótką informacją lub całkowicie pomijany. Jak wciąż drażliwe są sprawy związane z tamtymi wydarzeniami, świadczy, nadal do końca nie wyjaśniona i co jakiś czas przypominana, sprawa Tadeusza Boya Żeleńskiego, której poświęcony został duży artykuł B. Winklowej w jednym z tegorocznych numerów „Kultury Niezależnej”¹. Nie chodzi jednak o sprawę personalną, te, jeżeli w ogóle będzie to kiedyś możliwe, muszą jeszcze poczekać. Na razie konieczne wydaje się zarysowanie obrazu ogólnej sytuacji, a to z tego względu, że właśnie tam, we Lwowie, polscy artyści po raz pierwszy zetknęli się bezpośrednio z wymogami stawianymi sztuce przez państwo totalitarne, co — jak można sądzić — nie pozostało bez wpływu na ich dalszą, już powojenną działalność, choć są to sprawy trudne do ustalenia przy dzisiejszym stanie wiedzy.

Wspomniany artykuł B. Winklowej o Boyu kończy zdanie, w którym mowa, że nadszedł „wreszcie czas na rozpoczęcie rzeczowej dyskusji na temat postawy polskiej inteligencji we Lwowie, w latach okupacji sowieckiej”. Aby podjąć taką dyskusję, włączając w to również artystów plastyków, trzeba na wstępie ustalić podstawowe fakty, przebadac istniejące źródła — pamiętniki, listy, dokumenty, wciąż jeszcze nie ujawnione i nie opublikowane. W tej sytuacji materiałem, od którego należałoby zacząć, jest prasa codzienna, czyli „Czerwony Sztandar”, który — jak się okazało — również nie był pod tym kątem przejrzany, o czym świadczą błędy w datowaniu wystaw i określaniu ich miejsca w ukazujących się publikacjach. Obraz, jaki się ze szpalt tej gazety wyłania, daleko odbiegł od rzeczywistości znanej ze wspomnień. Była to charakterystyczna dla języka propagandy fikcja, doskonale ilustrująca tezę Aleksandra Wata o podstawowej funkcji „realizmu socjalistycznego, którą jest odwrócenie języka”, a przede wszystkim „oderwanie słów i ich wartości od rzeczy normalnych”, stworzenie świata słów sakralnych, nie podlegających konfrontacji z rzeczywistością².

Wiadomości zaczerpnięte z gazety trzeba poddać demistyfikacji. Dotarcie do interesującej nas rzeczywistości życia artystycznego trzeba zacząć od przywołania atmosfery ówczesnego Lwowa, która udzieli-

ła się wszystkim mieszkańcom i była później wspomniana jako swoisty fenomen. Miasto gwałtownie się zmieniło. Zalał je tłum uciekinierów z zachodnich województw i ogromna rzesza funkcjonariuszy napływających wraz z armią radziecką. Napływała też ludność okolicznych wsi i miasteczek, szukająca we Lwowie schronienia, zarobku, handlująca, politykująca i czekająca na nowe porządki. Generał Klemens Rudnicki, który przedostał się do Lwowa w listopadzie 1939 r. w celu nawiązania kontaktów z pozostałymi tam oficerami, zanotował w spisywanych na gorąco wspomnieniach: „Jest wprost nie do wiary, jak można wyglądać miasta w ciągu półtora miesiąca zupełnie zmienić. To już nie pogodny, piękny, zachodni Lwów, ale coś, przeciwko czemu wszystko się w człowieku burzy. Niby ten sam, zniszczeń wojennych żadnych, a jednak inny — Azja. Na ulicach i gmachach ogromne transparenty z hasłami propagandowymi w rodzaju: »Proletariusze wszystkich krajów łączcie się« itp. Ogromne portrety Lenina i Stalina uśmiechają się do przechodniów, głośniki bez przerwy ryczą muzyką lub przemówieniami”³. Malarz Aleksander Rafałowski odnosił podobne wrażenia i po latach wspominał: „Znałem Lwów sprzed wojny. Piękne to miasto, o wznoszących się pagórkowato ulicach, pełne zieleni, jakże inny teraz obraz przedstawiało. Nie widać wznoszących się ulic, nie widać bruku — roje ludzkie je zaległy. Z rzadka jedynie dochodzi do uszu śpiewny akcent lwowian. Miasto zaległy tłumy przybyszów z całej Polski. [...] Dużo już tu wisi transparentów, portretów i aktualnych dekoracji”⁴. I jeszcze obraz zaczerpnięty z *Przygód człowieka myślącego* Marii Dąbrowskiej: „Wracał przez Lwów jeszcze wciąż pokryty grubymi zwałami brudnego śniegu, pod którymi znikły i jezdnie, i chodniki. Przerzedzone gromady uchodźców, odzianych w jesienne palta, skostniałe z zimna snują się po zlodowaciałych, wyślizganych zaspach bezradnie, skrętnie albo wyczekująco. Z różnych stron miasta słychać ryki głośników, z najbliższego huczy rześka marszowa pieśń: »Jesli zawtra wajna, jesli zawtra w pachod bud' siewodnia k pachodu gatow«”⁵.

Smutek, głód, strach, zmęczenie, brak pieniędzy, mieszkania i przede wszystkim nadziei to była codzienność. Jakże inaczej obraz miasta przedstawiali ówcześni entuzjaści nowego systemu. W rocznicę zajęcia Lwowa przez armię radziecką „Czerwony Sztandar” opublikował *Poemat kolektywny ku czci wyzwolenia*, którego fragment pióra Lucjana Szenwalda tak opiewał Lwów:

Miasto, co było niegdyś płuc i serc wędzarnią,
Przedsiębiorstwem grabarza, poczwarną drukarnią,
Między walcami, której żywe ludzkie ciało
Płaszczyło się i w suchą liczbę zamieniało,
To miasto się napętnia o błękitnym świetle
Falą wesolą, której na imię jest życie⁶.

W tej atmosferze chaosu, strachu i euforii – szczerzej lub udawanej, ludzie byli wciągani przez straszną maszynę, dobrze zawczasu przygotowaną. Już 17 września 1939 r. zaczęła ukazywać się gazeta codzienna „Słowo żołnierza”, rozdawana ludności i wśród wojska polskiego, aby w końcu września przekształcić się w osławiony „Czerwony Sztandar” – organ władz partyjnych i administracyjnych Ukrainy Zachodniej⁷. Aparat urzędniczy wyższego szczebla wymieniono w ciągu dosłownie kilku dni, wprowadzając z góry przygotowanych ludzi, głównie Ukraińców, ale nie tylko, np. dyrektorem Ossolineum został Jerzy Borejsza⁸. Wkrótce pojawiły się na ulicach Lwowa pomniki. Na Włach Hetmańskich obok Sobieskiego stanęła wykonana z drewna i betonu konstrukcja gloryfikująca Związek Radziecki⁹. W połowie 1940 r. zapowiedziano szybkie ustawienie pomnika Stalina przy wejściu do Parku Stryjskiego i pomnika Lenina przed Teatrem Wielkim. Ogród Kościuszki miała uświetnić rzeźba przedstawiająca obu razem. Place i ulice chciano ozdobić postumentami przedstawiającymi grupy osób, np. sportowiec, dzieci z piłką i lotnik-spadochroniarz¹⁰. W związku z 60 urodzinami Klimienta J. Woroszyłowa niepropietrowska pracownia rzeźb i pomników przygotowała 50 rzeźb przedstawiających pierwszego marszałka Związku Radzieckiego wysokości 2,5 m oraz 25 jego popiersi, które rozesłano do Lwowa, Kiszyniowa, Stanisławowa, Białego Potoku i innych miast nowych obwodów i republik¹¹. Malowane wizerunki nowych przywódców wyższego i niższego szczebla pojawiły się na murach miasta natychmiast po wkroczeniu armii. Malowanie tych portretów stało się też podstawowym źródłem zarobku dla licznej rzeszy artystów. Wspominał o tym Aleksander Rafałowski, który po ucieczce z Warszawy w pierw zatrzymał się w Kowlu, spotkał tam swych partyjnych kolegów – Daszewskiego, Szenwalda, Wasilewską, organizujących już nowe związki zawodowe, oddelegowany im do pomocy oficer polityczny rozdawał zamówienia na portrety Lenina. Wykonywano je w błyskawicznym tempie metodą wcierek, czyli wcierania prawie suchym pędzlem małej ilości farby w płótno, w pierw jednym tonem zarysowując kontur głowy, a potem drugim nadając jej plastykę i wydobywając światłocień. Polscy artyści nauczyli się tych sposobów od radzieckich kolegów po fachu, przybyłych wraz z Armią Czerwoną¹². Później we Lwowie przy wcierkach pracowali nie tylko artyści, ale wszyscy, którzy zdołali zdobyć zamówienia na te dzieła. Były one przeważnie rozdysponowywane przez Związek Artystów, którego losy nie są do końca wyjaśnione. Trudno nawet ustalić, jak brzmiała nazwa w nowych warunkach. Według jednych źródeł był to Związek Artystów Miasta Lwowa, inni mówią o lwowskim oddziale Związku Artystów Ukrainy lub o Związku Artystów Ukrainy Zachodniej. Sądząc z nagłówka na katalogu wystawy lwowskiej grafiki w 1940 r. nazwa ta brzmiała „Związek Radzieckich Artystów Ukrainy – Orgkomitet miasta Lwowa”. Zapewne sformułowanie nowej organizacji nigdy nie zostało zakończone. Początkowo wszystko odbywało się tak samo jak w Związku Literatów¹³, tzn. bez formalnego roz-

wiązania starej struktury powołano Komitet Organizacyjny (Orgkomitet) nowej, w przypadku plastyków nawet siedziba była ta sama. Literatów jednak już we wrześniu 1940 r. zaczęto oficjalnie przyjmować do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy¹⁴, do czego nie doszło chyba nigdy w Związku Artystów.

Napływ gwałtownie potrzebujących pomocy uchodźców z Warszawy i Krakowa oraz stale pogarszająca się sytuacja materialna lwowskich artystów spowodowały, że do Związku zapisywali się również ci, którzy do niego nie należeli przed wojną, ponieważ łączyło się to z określoną postawą artystyczną i polityczną. Zapisy wiązały się z przymusową rejestracją zarządzoną przez nowe władze. Była to pułapka, w którą złapali się prawie wszyscy, zmuszeni do ujawnienia się z powodu braku środków do życia. Na tej podstawie dokonywano aresztowań i wywózek. Nie zarejestrowali się tylko nieliczni, zdecydowani przedostać się na stronę niemiecką, jak np. Maria Dąbrowska. Zapisanie się na listę związkową było rodzajem akceptacji *status quo*, w konsekwencji zaś prowadziło do konieczności udziału w wystawach i innych zbiorowych przedsięwzięciach, ale też łączyło się z korzyściami w postaci przydziału stołówki czy kartek oraz możliwością pracy zarobkowej. Na czele Orgkomitetu stanął ukraiński artysta Michał Dmytrenko, wedle relacji uczestników tamtych wydarzeń, przychylny Polakom. W okresach wzmożonych wywózek, np. w czasie zajęcia Besarabii, pozwalał on wielu zagrożonym artystom, którzy bali się wracać do domu, nocować w lokalu Związku¹⁵.

Już w październiku 1939 r. zaczęły przyjeżdżać do Lwowa delegacje artystów z innych miast Ukrainy, a także z Moskwy i Leningradu. Goście wygłaszali odczyty na temat sztuki radzieckiej i udzielali wskazówek dotyczących organizacji Związku. Jedno z pierwszych takich spotkań opisał Stefan Nałęcz. Przyjechał wówczas do Lwowa i wygłosił referat towarzysz Braun – kierownik Sekcji Sztuk Plastycznych obwodu odesskiego. Przedstawił warunki pracy i rolę sztuki w Związku Radzieckim, gdzie zwyciężył realizm socjalistyczny. „Sztuka to prawda – pisał Nałęcz – a prawda musi mieć ideę i treść. [...] Dziś w kolchozach i fabrykach, w mieszkaniach robotników i inteligencji spotyka się obrazy lub ich reprodukcje. Każdy włościanin, każdy czerwonoarmista zna i ceni takie nazwiska, jak Leonardo da Vinci, Rafael i Rembrandt”¹⁶. Na zakończenie spotkania jednogłośnie uchwalono rezolucję stwierdzającą, że wszyscy pracownicy sztuki „staną do wyborów, by przez ten akt dać wyraz swej woli przyłączenia Zachodniej Ukrainy do Związku Radzieckiego”. Według oceny dziennikarza sala w dawnej siedzibie Związku była przepełniona: „Nie widziano tu chyba nigdy dotąd – entuzjazmował się Nałęcz – tylu tak tłumnie zebranych jedną myślą i pragnieniem zespolonych malarzy, rzeźbiarzy i architektów”. Podczas innego zebrania z okazji przyjazdu delegacji artystów radzieckich lwowianie zaprezentowali w salach Związku swoją twórczość, „bieżący” – tak zwano uchodźców – nie brali w niej udziału, bo po prostu nie mieli jeszcze żadnych prac. Pokaz ten spotkał się jednak z krytyką ze strony gości¹⁷.

Polacy próbowali dyskutować z przedstawianymi im dogmatami nowej sztuki. Do bardzo niebezpiecznej sytuacji doszło w związku z tym w Moskwie, w czasie otwarcia wystawy sztuki Ukrainy Zachodniej w salach Muzeum Sztuki Zachodniej. Jego dyrektor A. I. Leonow napisał wstęp do katalogu, rozpoczynając słowami: „Wielkie wyzwolenie dzieło naszej znakomitej Czerwonej Armii na terenach Zachodniej Ukrainy spełniło wielkie marzenie narodu Zachodniej Ukrainy o swoim zjednoczeniu z ukraińskimi i rosyjskimi braćmi”¹⁸. Dalej można się było dowiedzieć, że sztuka Ukrainy Zachodniej miała silny wpływ na polską sztukę i na przyjeżdżających z zachodu twórców, ukraińscy artyści natomiast nie poddali się ich zgubnym wpływom i przezwyciężyli je dzięki realistycznym skłonnościom. Katalog kończyły słowa: „Teraz artystyczne zdolności narodów zachodnich rejonów Ukrainy otrzymały szerokie możliwości swojego rozwoju. Obracając się ku życiodajnym obszarom narodowej twórczości artyści wyzwolonego kraju zaczerpną z niej twórcze siły dla rozwoju sztuki socjalistycznej w treści i narodowej w formie”¹⁹. W zacytowanych fragmentach zwraca uwagę fakt, że na początku autor pisze o jednym narodzie, który się cieszy z odzyskania wolności, na końcu zaś używa liczby mnogiej – narody, zaznaczając tym samym różnicę pomiędzy Ukraińcami i innymi, którzy muszą się podprządkować.

Na otwarcie tej wystawy wydelegowano do Moskwy ze Lwowa 25 artystów wraz z przewodniczącym Związku Dmytrenką oraz członkiem jury, typującym prace na wystawę, towarzyszem Mojsejem Psachisem. Wyróżnieni artyści otrzymali 1000 rublowe zaliczki na poczet szkiców do prac, które mieli wykonać na planowaną w następnym roku wszechzwiązkową wystawę plastyków w Moskwie, z okazji 25-lecia Związku Radzieckiego²⁰. W trakcie otwarcia wystawy, które odbyło się w dzień sylwestrowy, doszło do burzliwych wydarzeń. Artur Nacht będąc jednym z mówców wygłosił przemówienie w obronie wolności sztuki. Mówił o prawie do eksperymentu w dziedzinie malarstwa, o koloryzmie. Wyraził się, że brak wolności w sztuce musi odbić się na całym świecie. Jeden z przedstawicieli strony radzieckiej nazwał lwowskich artystów bandą kontrrewolucjonistów przywiezionych przez Dmytrenkę. Strach, jaki wywołało to zajęcie, był w pełni uzasadniony. Pomocy szukano u Aleksandra Kornijczuka, późniejszego męża Wandy Wasilewskiej, wówczas sekretarza Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy i postaci numer jeden wśród ukraińskich intelektualistów. Jego interwencja powiodła się, dwa dni później na zebraniu w siedzibie Związku Artystów Dmytrenko został przeproszony²¹. Moskiewska wystawa musiała być źle przyjęta, bo „Czerwony Sztandar” nie przekazywał na jej temat właściwie żadnych relacji, informując natomiast bardzo dokładnie o zwiedzaniu przez lwowskich artystów Moskwy, w tym na przykład wystawy ilustracji „Krótkiego kursu WKP (b)”²².

Artyści biorący udział w wystawie w większości pokazywali prace z okresu przedwojennego, tylko nieliczni, w tym przede wszystkim „bieżeńcy”, mieli nowe rzeczy. Jeszcze mniej liczne były prace o wyraż-

nie politycznej wymowie. Zdumiewa fakt, że takie tworzyli prawie wyłącznie artyści starszego pokolenia, jak Zygmunt Rozwadowski, Grzegorz Rupniewski i Stanisław Batowski. Ten ostatni zdobył sobie wyjątkowe uznanie w oczach nowej władzy. Blisko osiemdziesięcioletni autor wielkich batalistycznych płócien, opartych m.in. na *Trylogii* H. Sienkiewicza, był tym jedynym wybranym, któremu zorganizowano wieczór autorski w siedzibie lwowskiego Związku²³. Referat wygłosił wówczas Iwan Iwaniec, pokazywano reprodukcje i obrazy artysty, przede wszystkim te świeżo malowane, w tym dwa cykle przedstawiające sceny z życia Lenina: spotkanie wodza rewolucji z Janem Kasprowiczem w Nowym Targu i ze Stefanem Żeromskim w Zakopanem w 1914 r. „Czerwony Sztandar” zamieścił zdjęcie malarza w pracowni, siedzącego przed obrazem z paletą w ręku i obok stojącym małym dzieckiem. To on był tym wzorem, którego śladem miały postępować przyszłe pokolenia.

O jednym jeszcze artyście starszego pokolenia dużo wówczas mówiono, był nim Ukrainiec Iwan Trusz, zmarły w marcu 1941 r. W nekrologach i pośmiertnych wspomnieniach podkreślano zmanierowanie, jakiemu uległ w czasie studiów w Krakowie pod kierunkiem Fałata, Wyczółkowskiego i Stanisławskiego²⁴. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że ten ostatni cieszył się wówczas uznaniem jako malarz ukraińskich krajobrazów²⁵. Artykułem w „Czerwonym Sztandarze” pióra Stanisława Wasylewskiego uhonorowany został również Kazimierz Sichulski, członek nowego Związku. Autor chwalił go za zainteresowanie się Huculszczyzną, konkludując: „Twórczość Sichulskiego była od początku zuchwała w formie i rewolucyjna w treści”²⁶.

Nastawienie środowiska artystów ukraińskich do Polaków to sprawa daleko wykraczająca poza ramy podjętego tematu. Codziennosc zapewne różniła się od oficjalnych wystąpień, których charakter dobrze oddają słowa Iwana Iwana i Michała Osiniczuka w katalogu wystawy lwowskiej grafiki: „Artyści zachodnich rejonów Radzieckiej Ukrainy muszą stać się aktywnymi uczestnikami budowy nowej socjalistycznej kultury na ziemiach wyzwolonych spod knuta polskiej szlachty, dając dzieła godne naszej wielkiej stalinowskiej epoki”²⁷. W wystawie tej, otwartej w połowie 1940 r., brali udział również Polacy.

Ola Watowa w swych wspomnieniach zaznacza, iż mało wówczas było we Lwowie ludzi, którzy uwierzyli w nowy system, ale wszyscy chcieli przetrwać – stąd daleko idące kompromisy²⁸. Środowisko literatów było pod znacznie większym naciskiem politycznym niż plastycy. To pisarze mieli być inżynierami dusz²⁹, malarzom wyznaczono pośledniejsze zadania, ale i ich głos mógł mieć znaczenie, kiedy chodziło o tak ważne sprawy, jak wybory do rad, szczególnie gdy zabierał go Leon Chwistek nie tylko artysta, ale i profesor Lwowskiego Państwowego Uniwersytetu im. Iwana Franki, bo tak właśnie brzmiała wówczas nazwa Uniwersytetu Jana Kazimierza. Jego wypowiedź w sprawie wyborów zamieścił „Czerwony Sztandar”: „Drogi inteligencji radzieckiej sformułowane zostały raz na zawsze przez towarzysza Stalina. Teoria inteligencji pracującej towarzysza Stalina jest

doskonałym rozwiązaniem tego zagadnienia”³⁰. Próżno szukać w monografii Chwistka pióra Karola Estreichera prawdy o tym okresie. Podobnie i w innych, nielicznych publikacjach wszystko, co się wówczas działo, zostało pominięte lub zbagatelizowane. Aleksander Rafałowski opisał swój pobyt we Lwowie w sposób lekki, bez dramatyzmu, choć przecież prawie cudem uniknął wywózki. Nie ominęła ona Czesława Rzepińskiego. Rafałowskiego uratowali Jonasz Stern i Józefa Wnukowa, która wraz z mężem Marianem Wnukiem bardzo czynnie działała w Związku.

Od początku 1941 r. wraz z zaostrzeniem się sytuacji politycznej nasiliły się akcje propagandowe. Przy Związku powołano sekcję dekoracji artystycznej. Zgrupowani w niej malarze mieli za zadanie podniesienie poziomu artystycznego gabinetów marksizmu i leninizmu, dekoracji sal i czerwonych kącio-ków organizowanych w zakładach pracy, a także opracowywanie nowych etykiet, dekoracji witryn sklepowych i domów. Artyści rozpoczęli pracę od przygotowania dla Domu Politycznej Agitacji i Propagandy oraz dla Instytutu Politycznego obrazów ilustrujących historię partii³¹. Do akcji propagandowych włączono również muzea, których zbiory — jak donosiła prasa — „uległy reorganizacji i uzupełnieniu” pod dozorem brygady pracowników muzealnych z Moskwy i Kijowa. Adam Ważyk głosił, że „życie wstępuje w muzea”, które dotąd dawały fałszywy obraz sztuki i służyły złym celom³². W kwietniu 1940 r. po dokonanych zmianach otworzono Muzeum Przemysłu Artystycznego, a we wrześniu już szczycono się, że w ciągu 5 miesięcy zwiedziło je 18 230 osób, gdy w roku ubiegłym tylko 4 tys. Autor artykułu tłumaczył to faktem „wyzwolenia Lwowa spod okupacji polskiej szlachty, co spowodowało najgłębszy przełom w życiu artystycznym mas ludności, wyrażającym się olbrzymim wzrostem aktywności m.in. również w dziedzinie kultury, świadczą o tym gromady czerwonoarmistów, robotników, chłopów i młodzieży”³³. Z okazji rocznicy wyzwolenia Ukrainy Zachodniej urządzono w muzeum wystawę radzieckich plakatów z okresu rewolucji i wojny domowej oraz wystawę prezentującą osiągnięcia ZSRR. Wcześniej prezentowano twórczość żołnierzy NKWD: „lwowskie Muzeum Przemysłu Artystycznego żyje twórczym radzieckim życiem” — donosił „Czerwony Sztandar”³⁴.

W Muzeum Historycznym otwarto nowy dział dotyczący Rusi Kijowskiej, a 17 IX 1940 r. urządzono wystawę poświęconą Stalinowi. Wystawy sztuki radzieckiej z Moskwy, Leningradu i Kijowa miały na celu wpajać publiczności i artystom nowe zasady twórczości. „Realizm socjalistyczny — głoszone — jako metoda twórcza zapewnia rozwój wielkiej, pozbawionej fałszu i optymistycznej sztuki”³⁵.

Należy jeszcze wspomnieć o szkolnictwie artystycznym. Przed 1 maja 1940 r. gazeta doniosła, że dobrze spisała się Szkoła Malarstwa kształcąca 300 adeptów sztuki malarskiej i stosowanej³⁶. Brygada uczniów tej szkoły obsługiwała poszczególne fabryki i zakłady, pomagając pracującym w przygotowaniach pierwszomajowych. Zapewne chodziło o uczniów

Lwowskiej Państwowej Uczelni Artystyczno-Przemysłowej, czyli przedwojennego Instytutu Sztuk Plastycznych, który również przeszedł reorganizację. Dyrektorem został architekt tow. Brylian. Wśród wykładowców pozostali starzy pracownicy, jak Ludwik Tyrowicz, Marian Wnuk, Józef Starzyński, ale pojawili się również nowi, głównie Ukraińcy. Niestety, nie wiadomo, jaki język obowiązywał w czasie wykładów, w zasadzie na wszystkich uczelniach od jesieni 1940 r. miał obowiązywać ukraiński. Szkoła miała charakter uczelni wyższej i kształciła w sześciu kierunkach: malarskim, rzeźbiarskim, tekstylnym, artystycznej obróbki drewna, graficznym i ceramicznym. We wrześniu podjęło studia 360 osób. „Dawniej młodzi ci ludzie — pisał dziennikarz »Czerwonego Sztandaru« — nie mieli możliwości oddawania się umiłowanym studiom. We Lwowie nie było uczelni artystycznej, a w roku 1937 do założonego przy szkole technicznej wydziału artystycznego miała dostęp tylko młodzież uprzywilejowana”³⁷. Teraz wszystko miało się zmienić, bo „celem uczelni jest rozwijanie w masach społeczeństwa radzieckiego poczucia estetyki”³⁸. Już w końcu roku pisano, że uczelnia rozwija się, o czym miał świadczyć fakt, że przygotowywała ona kadry dekoratorów wnętrz Pałacu Rad w Moskwie i w ten sposób miała zaszczyt wziąć udział w budowie wielkiego pomnika, symbolu siły i potęgi państwa socjalistycznego³⁹. Przy uczelni planowano otwarcie salonu eksponującego wyroby artystyczne uczniów i pracowników, zapewne jednak do tego nie doszło, otwarto natomiast w lutym 1941 r. salon związany z pracownią artystyczną utworzoną przy Związku⁴⁰. Była to nieustająca wystawa, niezależna od imprez związkowych i połączona ze sprzedażą. W pracowni artystycznej kierowanej przez Jakuba Glasnera skupiło się 100 artystów. Podobną rolę odegrała pośrednicząca w zamówieniach spółdzielnia „Chudożnik”, kierowana przez Jonasza Sterna⁴¹.

Tak więc życie artystyczne Lwowa, z pozoru bardzo ożywione, w rzeczywistości ograniczało się do gorączkowego poszukiwania zarobku zapewniającego minimum egzystencji i równie gorączkowych prób odnalezienia sensu w zmienionej rzeczywistości. Niewątpliwie Związek Artystów, muzea i Szkoła Artystyczna to najważniejsze miejsca, wokół których koncentrowały się wszystkie działania. Zanim powstanie kalendarium wydarzeń tamtego okresu, trudno o oceny i interpretacje, szczególnie gdy wciąż dominuje nastawienie kończące wszystkie dociekania stwierdzeniem: „takie były czasy”. Na zakończenie cytuję z *Mojego wieku* Aleksandra Wata, który w mym odczuciu oddaje dobrze to wszystko, co zaszło we Lwowie: „Lwów brzydl z dnia na dzień. [...] Pierwsza kategoria, w której mnie komunizm odpycha, to kategoria brzydoty. Nie jako kategoria estetyczna, ale brzydoty estetyczno-moralnej, jakiegoś szmatławienia charakterów, miast, rzeczy. Wszystko tam szmatławało. Może jest w tym i element Azji, tej złej Azji, tyrańskiej Azji, która jest zawsze szmatława”⁴².

Przypisy w archiwum redakcji SF.

Obozy NKWD jeńców polskich z lat 1939–1941 w Małopolsce Wschodniej

Praca niniejsza oparta jest na wspomnieniach z mojej dwuletniej pracy z polskimi jeńcami przy budowie drogi Lwów–Równe i Lwów–Przemyśl. Byłem tam zatrudniony w latach 1939–1941 jako „wolnonajomny” inżynier dróg i mostów. Wykorzystałem również informacje zawarte w pracy pt. *The Soviet Takeover of the Polish Eastern Provinces 1939–1941* (London 1991), a zwłaszcza w rozdziale autorstwa Jana T. Grossa pt. *Polish POW Camps in the Soviet Occupied Western Ukraine*. Wykorzystałem również nieliczne listy byłych jeńców, które otrzymałem po moich publikacjach w „Przekroju”. Niektóre informacje zaczerpnąłem też z książki Zbigniewa S. Siemaszki pt. *W sowieckim osaczeniu* (Editions – Spotkania, 1991).

Początek tragedii polskich żołnierzy rozpoczął się z chwilą wtargnięcia wojsk radzieckich na wschodnie ziemie polskie. Do niewoli dostali się żołnierze po przegranych bitwach, uciekinierzy próbujący dostać się na tereny Polski Zachodniej i inni. Już z końcem września zaczęto grupować jeńców w Szepietówce, gdzie nastąpiła segregacja – oficerów i policjantów wywożono na północ, Ukraińców i Białorusinów zwalniano. Były też inne miejsca zgrupowań, np. w Nowogrodzie Wołyńskim (90 km na wschód od Równego) znalazło się około 15 000 jeńców, których wysłano do kopalni w Krzywym Rogu. Część z nich z powrotem odesłano do prac w Małopolsce Wschodniej. Pozostałym żołnierzom i podoficerom powiedziano, że na razie pójdą do roboty, a 15 grudnia zostaną zwolnieni do domów. Następnie wywieziono ich pociągami, samochodami, a często pieszo do obozów tranzytowych, skąd przetransportowywano ich, zwykle pieszo, do obozów pracy przy budowie drogi Lwów – Równe, w kamieniołomach, robotach leśnych i przy budowie lotnisk i mostów.

Ogólną liczbę jeńców zatrudnionych na terenie Małopolski Wschodniej trudno określić. „Wojskowy Przegląd Historyczny” (1990, nr 3–4, s. 303 i 304) podaje dane otrzymane przez gen. Jaruzelskiego w dniu 13 kwietnia 1990 r. od przewodniczącego KGB USRR, dotyczące ściśle tajnej notatki Zarządu NKWD ZSRR do Spraw Jeńców Wojennych i Internowanych z 5 XII 1943 r. Według tej notatki w 1939 r. zwolniono z obozów NKWD i wysłano do zachodnich obwodów Ukraińskiej SRR i Białoruskiej SRR 42 000 żołnierzy. Na budowie drogi Równe–Lwów zatrudnionych było 14 135 polskich jeńców wojennych. 25 czerwca 1941 r. wszystkich wywieziono do obozów w Starobielsku (z wyjątkiem strat powstałych przy ewakuacji obozu lwowskiego – 1834 osoby), skąd następnie przekazano ich do ośrodków formowania armii polskiej.

Natalia Lebedowa z Instytutu Historii Powszechnej Akademii Nauk ZSRR podaje, że ogółem na terenie ZSRR miało znajdować się 130 242 jeńców. Jerzy Marciszewski w artykule *Katyn, nieznanne dokumenty* („Polityka” 28 kwietnia 1990 r.) podaje na drodze Lwów–Równe tę samą liczbę, jaka znajduje się w notatce NKWD. W tygodniku „Kraj Rad” (z 24 czerwca 1990 r.) w artykule pt. *Groby Katynia* podano, że na szosie Lwów–Nowogród Wołyński (koło Równego) od 10 października do grudnia 1939 r. pracowało ogółem 14 000 ludzi. Wspomniany już Jan Gross podaje liczbę około 10 000 ludzi.

Dokładne liczby podawane przez stronę radziecką nie mają uzasadnienia, gdyż istniał nieustanny przypływ jeńców z jednych placów budowy na inne, ponadto niektórych, np. volksdeutscheów zwalniano, innych przysłano z obozów syberyjskich, np. dawnych dezerterów z wojska polskiego czy jeńców litewskich i białoruskich.

J. Gross podaje, że istniało 99 obozów pracy. Jest to wyraźny błąd, gdyż zsumowane są tu wszystkie obozy bez względu na okresy ich istnienia. Na przykład w związku z likwidacją prac na drodze Lwów–Równe przenoszono sukcesywnie jeńców do pracy na drogi Lwów–Przemyśl i Lwów–Podwołoczyska. Istniały ponadto obozy tranzytowe, które także miały jakieś grupy obsługujące, oraz obozy stacjonarne w kamieniołomach i na robotach leśnych. Liczbę obozów równocześnie czynnych można wywnioskować z liczby obozów likwidowanych. Było ich 57. Liczby jeńców w niektórych obozach są znane, np.: w Skniłowie 2000, w Przemyślu 80, w Czerkasach 1400–1500, w Stawkach 3000, w Niesłuchowie 800, w Jaryczowie i Podliskach po 200.

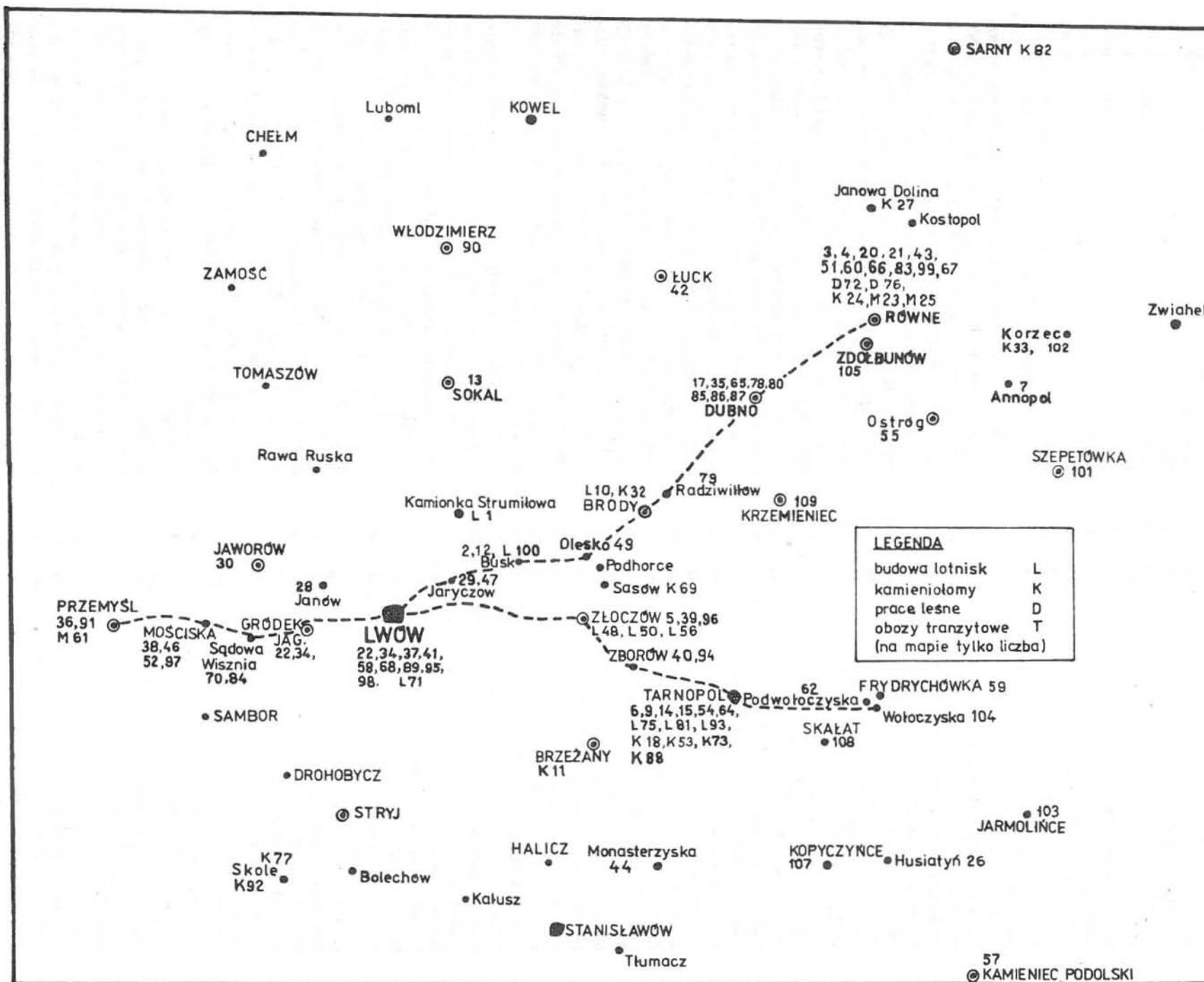
J. Gross podaje w swojej pracy zestawienie 99 obozów w porządku alfabetycznym. Spis ten jest nie uporządkowany, zawiera luki i niedokładności, brak np. lokalizacji trzech obozów, w 18 nie podano dat.

W celu uporządkowania i lokalizacji obozów załączam mapę, na której zlokalizowane są obozy jenieckie opatrzone numeracją. Obozy tranzytowe oznaczone są literą T, przy budowie lotnisk L, w kamieniołomach K, przy budowie mostów M i obozy przy wycinie drzew i robotach ciesielskich D.

Uwaga! Dane dotyczące przybliżonego okresu trwania obozów w posiadaniu redakcji.

OBOZY JENIECKIE

Kamionka Strumiłowa	1	L
Angelówka k. Buska	2	T
Antopol K. Równego	3	T
Babin k. Równego	4	T
Bazyliany w Złoczowie	5	T
Berezowica k. Tarnopola	6	T
Annopol	7	T
Romanówka k. Kamionki Las	8	T
Borki k. Tarnopola	9	T
Brody	10	L
Budziłów k. Brzeżan	11	K
Busk	12	T
Sokal	13	T
Cebrów k. Tarnopola	14	T
Czarnoliw k. Tarnopola	15	T
Czerlany k. Gródka Jag.	16	L
Dubno	17	T
Głubiczek k. Tarnopola	18	K
Gródek Jagielloński	19	T
Gruszowica k. Równego	20	T
Gwozdów k. Równego	21	T
Hermanów k. Lwowa	22	T
Hołownica k. Równego	23	M
Hołyczówka k. Równego	24	K
Hoszcza k. Równego	25	M
Husiatyn	26	T
Janowa Dolina k. Kostopola	27	K
Janów	28	T



Jaryczów Stary	29	T	Złoczów	96	T
Jaworów	30	T	Żabno k. Mościsk	97	T
Kamionka Las k. Podwołoczysk	31	T	Żydaticze k. Lwowa	98	T
Ponikwa k. Brodów	32	K	Żytyń k. Równego	99	T
Korzec k. Równego	33	K	Adamy k. Buska	100	L
Kozłów k. Lwowa	34	T	Szepietówka	101	T
Kruszwica k. Dubna	35	T	Korzec	102	T
Kupcza k. Przemyśla	36	T	Jarmolińce	103	T
Kurowice k. Lwowa	37	T	Wołoczyska	104	T
Lacka Wola k. Mościsk	38	T	Zdobunów	105	T
Lackie k. Złoczowa	39	T	Kopczyńce	107	T
Łuka Wielka k. Zborowa	40	T	Skalat	108	T
Lwów	41	T	Krzemieniec	109	T
Łuck	42	T	Turyczewo na pñ. od Równego	110	D
Młodawa k. Równego	43	T			
Monasterzyska	44	T			
Morgi k. Gródka Jagiellońskiego	45	T			
Mościska	46	T			
Niesłuchów k. Jaryczowa	47	T			
Nowosiółki k. Złoczowa	48	L			
Olesko	49	T			
Olszanica k. Złoczowa	50	L			
Omeliany k. Równego	51	T			
Ostra Góra k. Mościsk	52	T			
Płotycz k. Tarnopola	53	K			
Ostrów—Stawki k. Tarnopola	54	T			
Ostróg	55	T			
Płuhów k. Złoczowa	56	K			
Kamieniec Podolski	57	T			
Podliski k. Lwowa	58	T			
Frydrychówka	59	T			
Równe	60	T			
Przemyśl	61	T			
Przemyśl nad rz. Wjar	61	M			
Podwołoczyska	62	T			
Rodatycze k. Gródka Jagiellońskiego	63	T			
Romanówka k. Tarnopola	64	T			
Ruda Poczajowa k. Dubna	65	T			
Równo miasto (dwa obozy)	66	T			
Sapożyn k. Równego	67	T			
Lwów	68	T			
Sasów k. Brodów	69	K			
Sądowa Wisznia	70	T			
Skniłów—Lwów	71	L			
Klewań na pñ. od Równego	72	D			
Sławuta k. Tarnopola	73	K			
Sosenki k. Równego	74	T			
Stawki k. Tarnopola	75	L			
Suski na pñ. od Równego	76	D			
Świętosław k. Skolego	77	K			
Sytno k. Dubna	78	T			
Radziwiłłów k. Brodów	79	T			
Tarakanów k. Dubna	80	T			
Tarnopol	81	T			
Tarnopol	81	L			
Tomaszgród k. Sarn	82	K			
Tudorów k. Równego	83	T			
Tuligłowy k. Sądowej Wiszni	84	T			
Zahorce Wielkie k. Dubna	85	T			
Warkowice k. Dubna	86	T			
Werba k. Dubna	87	T			
Wielkie Łuki k. Tarnopola	88	K			
Werblany k. Lwowa	89	T			
Włodzimierz Wołyński	90	T			
Wyroczo k. Przemyśla	91	T			
Skole	92	K			
Zastawie k. Tarnopola	93	L			
Zborów	94	T			
Zimna Woda k. Lwowa	95	T			

Wszystkie budowy podległy kierownictwu mieszczącemu się w Równem pod nazwą NKWD-SSSR Uprawnienie Stróitielstwo Zapadno Ukraińskiej Drogi Nr 1. W 1941 r. zmieniono nazwę na NKWD Guszosdar, Stroitielstwo Nr 1. Drogi były podzielone na „uczastki”, zwykle około 20 km długości. Uczastek posiadał własne kierownictwo techniczne i finansowe. Obozy nie podlegały kierownictwu uczestka. Miał on tylko prawo występować do wojskowego kierownictwa NKWD obozów z żadaniami wysyłania odpowiednich grup jeńców. Uczastkowi podlegały też własne bazy transportowe, kopalnie piasku, kamieniołomy i bazy bitumiczne. Naczelnikiem uczestka był zawsze cywilny inżynier, Rosjanin. Personel techniczny składał się z Rosjan. Na podrzędnych stanowiskach zatrudniano Ukraińców, miejscowych Żydów, niekiedy Polaków oraz byłych więźniów z obozów niemieckich. Wszyscy „wolnonajemni”, wśród których było kilku inżynierów z politechniki lwowskiej, mieszkali na prywatnych kwaterach, dostawali wynagrodzenie i byli na własnym utrzymaniu. Wszyscy też podlegaliśmy surowej dyscyplinie. Stale grożono nam wysyłką w głąb Rosji.

Prace drogowe były różne, przeważnie roboty ziemne przy poszerzeniu jezdni, korekcji spadków i łuków, odwodnieniach i budowa nowych nawierzchni. Należało wykonać fundament z granitowych kłinców, na nich rozsypać tłuczeń, a po uwałowaniu położyć gorącą masę bitumiczną, dostarczaną z tak zwanej bitumbazy. W okresie dwu zim, wyjątkowo mroźnych i śnieżnych, jeńcy musieli ręcznie wyładowywać kamień z wagonów kolejowych, które często z powodu braku miejsca na stacjach wyładowywano wprost na trasie kolejowej. Z kolei kamień trzeba było załadować na samochody i wyładowywać wzdłuż dróg. Wszystkie prace wykonywano na wolnym powietrzu, bez możliwości zagrzania się przy ogniu czy w baraku.

Inna grupa robót obejmowała betonowanie przepustów, deskowanie, zbrojenie i betonowanie mostów. W czasie opadów trzeba było odsnieżać drogi. Transport samochodowy organizowały bazy transportowe, których załoga składała się wyłącznie z Rosjan.

Organizacja pracy polegała na kierowaniu do pracy grup jeńców liczących od 20 do 80 ludzi, pod strażą „bojcow”, określanych jako „karauły”, którymi z reguły byli Azjaci nie znający języka rosyjskiego (tylko podoficerowie i oficerowie, czyli tak zwana starszyna, mówili po rosyjsku). Straż taka składała się z kilkunastu żołnierzy wyposażonych niekiedy w ka-

rabin maszynowy i psa. Początkowo pracowano po 10 godzin dziennie i bez dni wolnych, ale po kilku miesiącach zaczął obowiązywać normalny tydzień pracy i wolne niedziele.

Za stronę techniczną pracy odpowiadał „desiatnik”, którym mógł być inżynier, technik czy jakiś poduczony „wolnonajemny”.

Po pracy trzeba było sporządzić „nariad”, w którym musiało być zestawienie pracy każdego jeńca z osobna, z obliczeniem procentu wykonania normy obowiązującej dla danej pracy. Służyły do tego niezwykle rozbudowane zeszyty norm. „Nariady” trzeba było dostarczyć do kierownictwa, gdyż na ich podstawie jeńcy, jeśli wykonali powyżej 110% normy, mogli dostać na przyszły dzień „premludę”. Był to niby obiad przywożony w beczkach i składający się z zupy sporządzonej z odpadów warzyw, zgnitych kartofli, jakichś kasz i odpadków mięsa, np. końskich głów. Ponieważ normalne wyżywienie jeńca składało się z jednego bochenka chleba na dwudziestu, na śniadanie z kawy bez cukru i na wieczór z „braji” z brukwi czy owsa, możliwość przeżycia bez „premludu” ograniczała się do kilku dni. Tymczasem faktyczne możliwości wypracowania normy przez jeńca sięgały 15 do 17%. Zachodziła więc konieczność wyszukiwania jakichś dodatkowych robót i dokonywania fikcyjnych obliczeń, zawsze pod ciągłą zapowiadaną groźbą przeniesienia w głąb Rosji.

Trudno mówić o opiece lekarskiej w obozach. Wprawdzie u nas była „medsestra”, ale jedynymi środkami, którymi rozporządzała, były termometr i aspiryna. Na roboty zaś przyprowadzali jeńcy konających na tyfus lub czerwonkę. Na żądanie, by zabrać ich do szpitala, wyjaśniano, że „po planu” może być tylko 3% „bolnych”, a inni muszą „rębać”, ponadto chorzy są tylko ci, których temperatura przekracza 38°C.

Jesienią 1939 r. pod obóz w Jaryczowie Starym podjechały niemiecki autobus i samochód towarowy. Do autobusu wsiadła grupa jeńców i samochody odjechały na zachód. Nazajutrz dowiedziałem się, że w obozie zrobiono spis volksdeutschów i że to oni zostali zabrani i obdarowani obficie odzieżą i żywnością. Po tym incydencie do władz obozu zgłosiła się kolejna grupa rzekomych volksdeutschów, których spisano i wywieziono radzieckimi samochodami na wschód. Nikt o nich więcej nie słyszał.

W zimie do obozu w Jaryczowie dowieziono około piętnastu jeńców w jakichś innych mundurach i mówiących dobrze po rosyjsku, którzy nie umieli podać ani formacji, ani okoliczności wzięcia ich do niewoli. Zidentyfikowano ich jako przedwojennych dezertorów z wojska polskiego, którzy chcieli się schronić w ZSRR. Ujęto ich na granicy i osadzono w obozie. U nas mieli pełnić funkcje konfidentów.

W pierwszym okresie pracy co miesiąc zwoływano mityngi pracowników uczastka. Ich przedmiotem była krytyka postępu robót, samokrytyka oraz przymusowe przyjęcia do związku zawodowego. Takie „przyjęcie” zaczynało się od publicznego wygłoszenia życiorysu, który często nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Najcieplej przyjmowano oświadczenie, że jest się dzieckiem nieznanego ojca i wyrobniczy

wiejskiej. Wszyscy ponadto „ochoczo” zgłaszali się do „soczmahania”, czyli współzawodnictwa socjalistycznego.

Na wiosnę 1940 r. odbył się mityng, na który doprowadzono także jeńców. Głos zabrał jakiś cywil, który wzywał w gorących słowach wszystkich „Słowian” do walki z „Germancami”. Wołał, że jeńcy dostaną broń do ręki i pójdą razem z Czerwoną Armią. Wielu jeńców przyjęło to wezwanie z dobrą wiarą. Jedyną konsekwencją tego mityngu była zmiana napisu nad wejściem do obozu z „Łagier dla wojennopленных” na „Łagier dla wolnonajemnych”. Warunki życia jeńców zupełnie się nie zmieniły.

Jeńcy byli pozbawieni kontaktów ze światem. Nie otrzymywali gazet czy książek, radio zaś służyło tylko kierownictwu obozów i podawało komunikaty po rosyjsku. Nie mieli możliwości korespondencji, listy które mi podawali, wysyłałem do GG, ale nigdy nie słyszałem, by otrzymywali jakieś odpowiedzi. Są jednak pewne informacje, że bywały i inne warunki, choć osobiście wątpię w ich wiarygodność. J. Gross podaje, że w obozie w Równem była orkiestra obozowa, teatr kukielkowy i że jeńcy otrzymywali paczki (od kogo?). W Brodach rzekomo za pieniądze jeńców (których nie mieli) odbywały się msze w kościele. W Dubnie miał istnieć Komitet Pomocy Jeńcom, który zlikwidowano po kilku dniach. W Podliskach były książki. Wydaje mi się, że Gross zawierał jakimś tendencyjnym wiadomościom lub — być może — na samym początku istniały w niektórych obozach jakieś ludzkie warunki. Zgodnie z moimi dwuletnimi obserwacjami w czterech obozach (i jak z licznych rozmów z jeńcami wynikało) warunki ich życia były podobne, jak w syberyjskich „gułagach”, obliczone na stopniową likwidację ludzi przez nadmierną pracę, permanentny głód i zimno oraz zabijanie za przekroczenie dyscypliny.

Stan psychiczny jeńców był beznadziejny. Byli to na ogół chłopcy z ziem zachodnich i centralnych. Długo wierzyli, że ich odesłają do domów, bo przecież nie walczyli z bolszewikami. Wyniszczani biologicznie, wpadali w apatię i rezygnację.

Zdarzały się jednak wśród nich nieliczne porywy patriotyzmu. Kiedy budowałem most w Jaryczowie, jeńcy samorzutnie zabetonowali w fundamentach pojemnik zawierający spis jeńców, notatkę o ich losie, orzelki z czapek i guziki. U spodu płyty mostowej zabetonowali z kamyków rysunek orła z odpowiednim napisem. Wierzyli, że droga ta kiedyś będzie polska. Czasem wracając z pracy śpiewali pieśni żołnierskie i *Pierwszą brygadę*. Straż nie znająca polskiego nie zwracała na to uwagi.

Z obozów było wiele udanych ucieczek, ale jeszcze więcej kończyło się tragicznie. Na początku mojej pracy w Niesłuchowie ujawniło się przede mną kilku oficerów ukrywających się pośród żołnierzy. Poinformowałem ich o sytuacji i namówiłem do natychmiastowej ucieczki, póki nie zwiększą się straż i zabezpieczenia, ale wielu odmówiło, licząc na rychłe zwolnienie. Na budowie drogi w Jaryczowie obserwowałem kilka sprytnych ucieczek. W lecie 1940 r. od granicy jechały liczne tabory cygańskie, które Niemcy wypędzali z Europy na wschód. Tabory te musiały

przejechać pomiędzy pracującymi jeńcami. Widziałem, jak cyganki szybko wciągnęły jeńca do wozu i ukryły między tobołami. Innym razem jeńiec wszedł pomiędzy konie i wyszedł poza strażę. Na odcinku robót ziemnych zastosowano inną metodę — wykopano płaski rów, do którego przed końcem prac kładł się jeńiec, przykrywano go bitym z kartofli i posypywano ziemią. Po odejściu konwoju jeńiec był wolny. W czasie żniw jeden z jeńców wszedł do baraku po narzędzia, tam rozebrał się, upodabniając się do pracujących w polu chłopów, po czym wziął jakieś grabie i wyszedł w pole nie budząc podejrzeń. Aby przeciwdziałać ucieczkom, kazano „bojcom” przez cały czas liczyć jeńców. Metoda ta w stosunku do ludzi podobnie ubranych i będących w ciągłym ruchu była całkowicie bezskuteczna, Kałmuków zaś doprowadzała prawie do obłędu. Wkrótce jej zaniechano, ale pokazały się psy i karabin maszynowy. Było wiele nieudanych ucieczek, o czym świadczyły nocne strzelaniny, światła reflektorów i szczerkanie psów, jeńcy zaś opowiadali rankiem o kolejnych ofiarach.

Moje osobiste kontakty z obozami jeńców zaczęły się z początkiem października 1939 r., kiedy dowiedziałem się od kolegów, że angażuje się pracowników do budowy drogi Lwów—Równe, ale nikt nie mógł wówczas wiedzieć, że pracować tam będą polscy jeńcy. Dowiedziałem się, że w Jaryczowie jest jakaś komórka werbunkowa. Pojechałem tam na rowerze i w dawnym dworze kompletnie zrabowanym znalazłem jakiegoś oficera NKWD, który niewiele pytając kazał mi się zgłosić nazajutrz. Miałem pracować jako inżynier budowy dróg w charakterze „wolnonajemnego”. Do mnie należało znalezienie sobie kwatery i wyżywienia. Za pracę miałem otrzymywać 500 rubli, a pracodawcą okazało się NKWD — Stroitielstwo Zapadno-Ukraińskiej Dorogi Nr 1.

Po przyjeździe do Jaryczowa zawieziono mnie samochodem do odległego o 20 km Niesłuchowa. Tam w dawnym dworze Dzieduszyckich gospodarowali milicjanci ukraińscy i jacyś żołnierze NKWD. Powiadomiono mnie, że na drugi dzień przybędzie około 800 polskich jeńców i że należy dla nich przygotować kwatery. Kazałem rozesłać zabraną ze wsi słomę, przygotować kuchnię, gdzie jak dotąd palono książkami z biblioteki. Na podwórku poleciłem wykopać latryny. Wykonawcami byli chłopci pod nadzorem milicji. Na drugi dzień przyprowadzono pod strażą kolumnę jeńców. Byli oni w stosunkowo dobrym stanie, choć skarżyli się na długi marsz, a w ogóle to nie chcieli ze mną rozmawiać. Mieli plecaki z jakimś dobytkiem i torby po maskach gazowych. Wśród przybyłych było kilkunastu chorych na tyfus i czerwonkę. Umieściłem ich osobno pod opieką sanitariuszy znajdujących się wśród jeńców. Zgłosili się też kucharze. Jak na razie nie było żadnych lekarstw ani opatrunków, nie było też żywności. Ludzie byli bardzo głodni, zbierali na podwórzu kukurydzę, ziarna grochu i fasoli pozostałe po rabunkach. Zrywali buraki pastewne i kaczany kapusty i jedli je na surowo. Póki jeszcze na terenie kręcili się chłopci, kwitł handel wymienny. Jeńcom

zapowiedziano, że będą podzieleni na grupy i przejdą na swoje miejsca pracy. W obozie tym spędziłem kilka dni, w czasie których przyjechali technicy rosyjscy, a cały teren dostał się pod silną obstawę żołnierzy.

Zostałem przeniesiony do Zapytowa. Odcinek ten obsługiwany był przez jeńców z obozu w Podliskach Małych. Obóz mieścił się w zabudowaniach dworskich, ale tam już mnie nie wpuszczono. Tu jeńcy nie mogli już kontaktować się z chłopami i byli surowo strzeżeni przez bojów. Z nastaniem zimy skończyły się prace ziemne, ich miejsce zajęło „wygruzanie” kamienia z wagonów na samochody i z samochodów na pobocza drogi. Norma na to wygruzanie wynosiła 45 ton kamienia.

W nocy 13 marca 1940 r. nastąpiła pierwsza wywózka ludzi na Sybir. Słyszając krzyki i strzały wyszedłem na wieś i widziałem, że nie tylko żołnierze NKWD, ale także cywilni pracownicy rosyjscy z naszej budowy wywlekali ludzi z chat. Pociąg z pojmanymi stał trzy dni na stacji Zapytów. Z wagonów słychać było płacz i krzyki, ale straż nikogo do niego nie dopuszczała. Kiedy wreszcie pociąg odjechał, na stacji zostało kilka trupów zamrożonych dzieci.

Na wiosnę przeniesiono mnie do Jaryczowa Starego. Tu roboty były urozmaicone, budowaliśmy przepusty betonowe, most żelbetowy, a z czasem i bitumiczne nawierzchnie drogowe. Ponieważ transport samochodowy coraz bardziej zawodził, sprowadzono z Syberii małe koniki i wózki z dugami. Po zakończeniu prac umieszczono wzdłuż drogi znaki drogowe i nazwy miejscowości, by po dwóch dniach wszystkie usunąć, w obawie przed ewentualnym desantem wroga.

W listopadzie 1940 r. przeniesiono mnie do Przemysła, na ostatni odcinek drogi Lwów—Przemyśl. Pracowałem z grupą jeńców liczącą około 60 ludzi, którzy byli zgrupowani w obozie na przedmieściu miasta. Kazano mi przebudować istniejący na rzece Wjar drewniany most drogowy, tak aby nadawał się do przejazdu czołgów. Teren był bardzo eksponowany, granica biegła nie dalej jak sto metrów od budowy, między drogą zaś a granicą biegła dwutorowa linia kolejowa. Linią kolejową jechały bez przerwy do Niemiec cysterny z ropą, z Niemiec zaś skrzynie wskazujące na przewóz maszyn. Transport był tak intensywny, że pomiędzy stacjami znajdowało się po trzy pociągi, gdy zgodnie z przepisami powinien być jeden. Granica była mocno zadrutowana i stale patrolowana przez posterunki z psami. Blisko drogi budowano potężny bunkier, do którego wjazd odbywał się po spirali, tak że nie było widać, co się dzieje wewnątrz. Most był już prawie gotowy, gdy postanowiłem porzucić pracę. Przyczyna była dość oczywista, już od zimy gromadzono wszędzie w okolicy duże ilości wojsk, czołgów i dział. Transporty przychodziły nocami i kryły się po lasach. Wzdłuż granicy budowano potężne bunkry. Zarówno z moich obserwacji, jak też z różnych rozmów wynikało, że są to przygotowania do wojny. Moja ucieczka była całkiem banalna, po prostu wyjechałem i nikt mnie nie szukał. Jak się potem dowiedziałem, w dniu wybuchu wojny Niemcy zajęli obóz jeniecki, w którym pracowałem.

Tragicznym okresem w historii obozów była ich likwidacja z chwilą wybuchu wojny z Niemcami. Połączona była ona z wymordowaniem znacznej części jeńców. Są wprawdzie pewne dane dotyczące liczby jeńców, którzy znaleźli się w obozach centralnych poza Zbruczem, ale nie wiadomo, ilu ich znajdowało się w obozach w czasie likwidacji.

Likwidację obozów rozpoczęto na drugi dzień po ataku niemieckim. Wprawdzie na trasie Lwów – Przemyśl zlikwidowano kilka obozów wcześniej, ale powodem było wcześniejsze zakończenie tam prac. Dopiero obóz w Gródku Jagiellońskim ma podaną datę 27 kwietnia. Można przypuszczać, że niektóre obozy wpadły w ręce Niemców. Na pewno zajęli obóz w Przemyślu.

Gross w swoim wykazie podaje 35 obozów, które zostały zlikwidowane w czasie od 22 do 30 czerwca 1941 r. Dla ośmiu podaje dokładne daty, a to: Jaryczów 22, Olszanica i Skniłów 23, Borki i Hołowinica 26, Podwołoczyska i Stawki 28, Olesko 30 czerwca, dla reszty podaje tylko miesiąc – czerwiec.



Zbombardowane sowieckie lotnisko w Adamach w czerwcu 1941 r.

Gdyby przyjąć za prawdziwą liczbę jeńców na początku – 14 135 (tak jak podaje ją NKWD i N. Lebedowa), to i tak brak 2135 ludzi. Sądzę, że przyjęcie tak niskich strat jest naiwnością, jeśli policzyć obozy czynne w tym czasie, tj. 68. Średnio w jednym obozie powinno znajdować się 207 jeńców (14 135:68). O znacznie większej liczbie jeńców świadczą dane z takich obozów, jak: Skniłów 2000, Czerlany 1400–1500, Niestuchów 800. Niestety brak innych danych. Kolejnym argumentem za większą liczbą jeńców są nieliczne, ale zbieżne w treści relacje byłych jeńców (dane z listów).

W czasie likwidacji obozów pędzono ich pieszo na wschód. Otrzymywali 200 g chleba dziennie, wodę pili z przydrożnych rowów, żywili się jarzynami z pola zerwanymi ukradkiem. Na początku kolumny ustawiano silniejszych ludzi, słabych na końcu. Za nimi szli żołnierze NKWD, którzy zabijali nie nadążających. Potwierdza to były jeńiec Stefan Łagowski, który pisze:

byli pędzeni w kolumnie otoczonej konwojentami uniemożliwiającymi najmniejszy kontakt z ludnością [...] po kilkanaście kilometrów dziennie [...] spali pod gołym niebem, a były już przymrozki [...], wielu było chorych na biegunkę”. Henryk Polak relacjonuje: „dziennie szliśmy po 40 km [...], pędzono nas do Złoczowa, gdzie załadowano nas do pociągu i dojechalśmy do Starobielska”.

Franciszek Gochniak (Poznań) pisze: „w czasie odwrotu z Olszanicy do Starobielska zabijano takich, którzy z wycieńczenia, kurzej ślepoty nie mogli nadążyć za kolumną [...] w obozie w okolicach Zborowa zabito co najmniej kilku kolegów, którzy ukryli się pod pryzkami [...], konwój został zaalarmowany o zbliżaniu się Niemców [...], kolumnę wypędzono na polanę, kazano się położyć jeden przy drugim i otoczono bojcami z bronią maszynową [...], alarm był fałszywy, a bojcy tłumaczyli, że nie wolno im było wydawać Niemcom nas żywych.

Nawet NKWD podaje, że z 2000 jeńców ze Skniłowa nie doliczono się 200, z obozu w Czerlanach nie doliczono się 180. Są i inne, nie sprawdzone informacje o masowych likwidacjach jeńców w Zborowie, Olszanicy i Kozłowie. Niejaki Mykoła (odmówił podania nazwiska), model z Akademii Sztuki we Lwowie, informuje że 22 czerwca koło Jaryczowa spalono około tysiąca jeńców (liczba zapewne przesadzona, ale coś tam się wydarzyło). W Zborowie dziewięciu jeńców skryło się pod pryzkami i chciało uciec. Zostali złapani za pomocą psów i torturowani, ich zwłoki widzieli towarzysze niedoli. Ludwik Więckowski podaje, że jego kolumnę pędzono do Złotoryi, nie nadążających strzelano, a uciekających dobijali kawalerzyści. Zdarzył się też tragiczny wypadek związany z niemieckim nalotem koło miasteczka Skwira. Zginęło wówczas 46 ludzi, a 200 zostało rannych. Dalszy ich los nie jest znany.

Wkrótce po wojnie telefonował do mnie były jeńiec obozu w Jaryczowie, pilot Aulich. Był to jedyny człowiek spośród jeńców, który mi ufał i któremu ja również mogłem zaufać. Mówił, że jego kolumnę pędzono pieszo do Brodów i że po drodze większość wystrzelano. Szczegóły miał mi opowiedzieć, gdy się spotkamy, podał mi swój adres w jakimś PGR koło Bielska. Kiedy tam pojechałem, powiedziano mi, że był taki, ale wyjechał, nie wiadomo dokąd. Więcej wiadomości o nim nie miałem.

Moje starania o uzyskanie jakichś informacji od nielicznych osób z tamtych stron, nawet duchownych, spotkały się z brakiem odpowiedzi.

Biała plama pozostaje nadal.

JERZY MASIOR

Pole 22*

Krzyż zbutwiał
niczyja mogiła
dopiero teraz
może to ta której szukasz
parzy śnieg
parzy cyrylica
w środku zimy
szukamy naszego krwiobiegu
Bezimienni
umierają powtórnie
zapalasz znicz
bezzadności

Lwów 23 czerwca 1992 r.

* Pole nr 22 na Cmentarzu Łyczakowskim

Kołomyja — początki miasta w legendzie i historii

(fragment większej całości)

W połowie sierpnia 1991 r. władze miejskie Kołomyi zorganizowały obchody 750-lecia istnienia miasta, opierając się na znanej wzmiance z roku 1240, zawartej w *Latopisie wołyńsko-halickim*, według której „Książę Daniło (1201–1264, od 1221 książę halicko-wołyński, syn Romana Mściśławicza, również księcia halicko-wołyńskiego, 1199–1205) polecił sól kołomyjską wyłączyć dla siebie”. Była to zapewne bardzo dobra sól i jej warzenie musiało przynosić duże dochody, skoro książę przejął ją na własność. Wzmianki o soli towarzyszą zresztą dziejom miasta w następnych stuleciach. O soli, jako liczącym się handlowym towarze Pokucia i o jej warzeniu w okolicach Kołomyi i Śniatyna, wspominają również Marcin Kromer (ok. 1562) i Szymon Starowolski (1632) w swych opisach Królestwa Polskiego.

Wzmianka powyższa o „kołomyjskiej soli” jest niewątpliwie na razie najstarszą znaną informacją historyczną o Kołomyi. Następne są związane dopiero z imieniem króla Polski Kazimierza Wielkiego.

Wszędzie tam, gdzie historyczne podstawy do początkowych dziejów miejscowości są skąpe, próbuje się je podbudować baśnią i legendą, najchętniej wyprowadzaną od nazwy tej miejscowości. Toteż istnieje wersja, która nazwę Kołomyi wywodzi z bardzo odległych czasów, bo od rzymskiej handlowej *Colonii* — co oznacza zagrodę wieśniaczą lub osadę. Być może, iż w tym legendarnym rodowodzie jest przeblask odległej prawdy, skoro na mapie Polski, opracowanej przez Wacława Grodeckiego i wydanej około 1562 roku w Bazylei, wśród polskich nazw miejscowości widnieje łacińska nazwa *Colonia*, pod którą kryje się stolica Pokucia.

Historycznej wersji poszukiwano również wiążąc powstanie około 1214 r. osady-miasta z królewiczem węgierskim Kolomanem (synem Andrzeja II, 1205–1235), który w siódmym roku życia ożeniony został z Salomeą, córką Leszka Białego, i niebawem koronowany na króla Haliczy (Galicii i Lodomerii). Był to ówczesny kompromis polityczny pomiędzy Węgrami i Polską współzawodniczącymi o panowanie nad Rusią Halicką.

Z odległych czasów, tak odległych, że aż giną one w dalekiej nieznanej i legendarnej przeszłości, wywodzona jest nazwa miasta od rzekomo prastarej słowiańskiej nazwy rzeki — „myja”. Zatem osada leżąca koło rzeki, czyli „myi” stała się z czasem Kołomyją. Niektórzy Huculi ponoć jeszcze w drugiej połowie ubiegłego stulecia nazywali Prut — „Myją”.

Jest też inna interpretacja nazwy. Ma ona rzekomo pochodzić od „Cholomyi”, czyli od zbitki słów ruskich „chołm” — wzgórze i „myja” — rzeka. Z czasem po połączeniu nastąpiło również częściowe przekształcenie. Owym wzgórzem zaś miały być Oskrześnice leżące w pobliżu Kołomyi, po drugiej stronie rzeki — Prutu.

Stąd już tylko krok do ludowej legendarnej wersji zapamiętanej z lat dziecinnych, a przytaczanej też przez dawnych badaczy. Według niej Huculi jadący na targ do osady położonej nad rzeką, gdy zabłócili koła swych wozów, a miało to być w okolicy Zabłotowa, dopiero pod samą osadą „koła myli” w Prucie i stąd powstała nazwa „Kołomyja”.

Tyle domniemania i legendy. Bezspornym natomiast faktem jest, że w długim okresie 750 lat przypadających na historyczne dzieje Kołomyi aż 443 związanych jest nierozdzielnie z państwowością polską (146 przypada na czasy zaboru cesarsko-królewskiej Austrii, 109 na czasy książąt ruskich, 47 na okres Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, 3 na okupację niemiecką oraz 9 miesięcy na rządy Ukraińskiej Republiki Zachodniej i zarządzanie Pokuciem przez wojska Rumunii w 1919 r.

Dotychczasowi badacze jednomyślnie uważają, że w dziejach Kołomyi złotym okresem była druga połowa XIV stulecia i cały wiek XV, pomimo że wiadomości nasze dotyczące czasów średniowiecza są więcej niż skromne. Niewątpliwie pogląd taki ukształ-

towany został z jednej strony na podstawie przywilejów królewskich nadawanych miastu przez ostatniego Piastów i Jagiellonów, z drugiej zaś na braku przekazów historycznych o Kołomyi począwszy od pierwszej wzmianki z roku 1240 aż do czasów Kazimierza Wielkiego.

W latach 1340–1349 Kazimierz Wielki podporządkowuje sobie Ruś Halicko-Włodzimierską wraz z całym Pokuciem i jego stolicą — Kołomyją. Jak zatem do tego wydarzenia doszło (pomijając wcześniejsze współzawodnictwo o te ziemie pomiędzy Piastami i Rurykowiczami, do którego z czasem włączyli się także książęta litewscy i królowie węgierscy)?

W średniowieczu państwo było własnością władcy, jedynego suwerena, który nie tylko nim rządził, ale też decydował o losach kraju i jego mieszkańców, dzielił, przekazywał członkom rodziny, a nawet obcym. W roku 1338 Jerzy II Bolesław Trojdenowicz (ok. 1305–1340), książę halicko-włodzimierski (od 1323 r.), zawarł układ z Kazimierzem Wielkim, mocą którego na wypadek śmierci ruskiego księcia bez męskiego potomka jedynym sukcesorem księstwa stanie się król Polski Kazimierz Wielki. W owych czasach zawierano wiele takich porozumień, były one wówczas sprawą naturalną. Przykładem takiego układu było porozumienie zawarte pomiędzy Kazimierzem Wielkim i królem Węgier Karolem Robertem w Wyszehradzie w 1339 r., poświadczone następnie w 1355 r., w wyniku którego po bezpotomnej śmierci Kazimierza Wielkiego na tronie polskim zasiadł syn Karola Roberta — książę Ludwik (jego matką była Elżbieta Łokietkówna, siostra Kazimierza Wielkiego), a po nim jego córka Jadwiga, przyszła żona Jagielly. W tym miejscu nie od rzeczy będzie przedstawić też prawa sukcesyjne do tronu halickiego piastowicza Bolesława, syna księcia czerskiego Trojdena (1284/86–1341). Matką Bolesława był Maria Jurewna, córka Jerzego I księcia halickiego (*1308), prawnuczka króla Haliczy Daniela (1201–1264), syna Romana Mściśławicza, księcia wołyńskiego i halickiego (1199–1205). Należy też dodać, że dziad Trojdenowicza, Siemowit I, książę mazowiecki ożeniony był z Perejasławą — córką Daniela. Gdy przed 23 maja 1323 r. zginęli otruci przez bojarów ostatni dwaj książęta z halicko-włodzimierskiej gałęzi Rurykowiczów — Andrzej i Lew II, rodzeni bracia matki Bolesława Trojdena — Marii Jurewny, jej syn był jedynym sukcesorem tronu i został księciem halicko-włodzimierskim, przyjmując prawosławie i imię Jerzego II.

Po zajęciu Pokucia Kazimierz Wielki nadaje Kołomyi miejskie prawo magdeburskie oraz daruje gminie miejskiej okoliczne grunta, łąki i lasy. Wprawdzie królewski akt nadania zaginął, ale wiadomo o nim z kolejnego przywileju, tym razem Władysława Jagielly, potwierdzającego poprzednie nadania. Trzeba też podkreślić, że nie wiadomo, czy Kołomyja przed otrzymaniem prawa magdeburskiego posiadała inne lokalne prawo miejskie, czy była jedynie dużym grodem o charakterze administracyjno-militarnym, leżącym przy drodze rzecznej ważnego traktu handlowego ku Morzu Czarnemu.

Z chwilą pozyskania prawa miejskiego znaczenie Kołomyi szybko wzrasta. Miasto staje się prężnym i ważnym ośrodkiem handlowym pośredniczącym pomiędzy Królestwem Polskim a krajami nad basenu czarnomorskiego. Najważniejszym produktem handlowym jest sól, a obok niej drewno, bydło i konie, wyroby garncarskie i kuśnierskie, zboże z Podola, wino węgierskie i różne wyroby wschodnie.

Przywileje miejskie nadane Kołomyi przez Kazimierza Wielkiego potwierdza — jak wspomniano — Władysław Jagiełło w 1405 r. Równocześnie zrównuje wszystkich mieszczan w zakresie sądowniczym, co oznacza, że odtąd pociągani będą do odpowiedzialności jedynie przed własnym sądem miejskim. Prawo to od czasów Kazimierza Wielkiego posiadali Polacy i Niemcy, Rusini podlegali zaś jurysdykcji starostów królewskich. Ówczesny wójt

Mikołaj Freysteter, lwowianin, otrzymał wieś Matejowce, należąca „z dawna” do miasta. W zamian zobowiązany został do „zaludnienia miasta” oraz „stawiania jednego kopijnika i trzech łuczników na każdą potrzebę wojenną”.

Ponownym przywilejem z 1424 r. Władysław Jagiełło potwierdzając poprzednie prawa miejskie, w tym prawo do brania drewna z lasów królewskich i szlacheckich, nadane jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, oraz zwolnienie mieszczan od podwód — z wyjątkiem królewskich, nakazuje, aby szlak handlowy z Wołoszczyzny przechodził przez miasto i żaden kupiec go nie omijał.

Z kolei Władysław, król polski i węgierski, zwany później Warneńczykiem, przywilejem wydanym w Budzie w 1443 r. pozwala mieszczanom prowadzić targ na mięso, założyć postrzygalnię sukna, zbudować łaźnię i zwalnia ich od powinności wszelkich stacji za wyjątkiem na rzecz króla, magistratowi zaś zezwala założyć woskobiłnię, w której mieszczanie muszą przetapiać wosk na swoje potrzeby.

Przywileje miejskie nadane przez poprzedników potwierdza również w roku 1448 Kazimierz Jagiellończyk, a czyni to 20 sierpnia na prośbę wójta Wawrzyńca Długosza. W 1456 r. nadaje zaś miastu przywilej obowiązkowego składu handlowego, zwłaszcza soli. Odtąd kupcy nie mogą omijać Kołomyi, tu muszą wystawiać swe towary na sprzedaż, mieszczanie zaś mają prawo pierwokupu. Król ten i jego rodzina stosunkowo często odwiedzali zamek kołomyjski, m.in. od 1448 r. zamieszkiwała tutaj ciotka króla — Maria, wdowa po gospodarze moldawskim Eliaszu.

W tym miejscu wypada podkreślić, że jednym z ciekawszych praw posiadanych przez Kołomyję był przywilej Kazimierza Jagiellończyka z 1472 r., na mocy którego jedynie w Kołomyi można było więzić kupców lwowskich — inne miasta królewskie na Rusi takiego prawa nie posiadały.

Niestety nie wiemy, jak w średniowieczu wyglądała Kołomyja. Wiadomo tylko, że oba zespoły — miasto i zamek — usytuowane były oddzielnie, odległe od siebie o staję i zlokalizowane tuż nad Prutem, co na skutek ciągłych wylewów rwącej górskiej rzeki nie było rozwiązaniem najszybszym. Wreszcie oba zespoły otaczał wał ziemny z częstokołem i zapewne drewnianymi bramami, z mostami zwodzonymi nad fosą. W obrębie miasta obok budynków mieszkalnych i gospodarczych były niewątpliwie ratusz i kościół parafialny, a może także cerkiew.

Zamek w Kołomyi istniał co najmniej od czasów Kazimierza Wielkiego, ale pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1411 r., kiedy to Władysław Jagiełło miał rzekomo zastawić go gospodarowi moldawskiemu — Aleksandrowi Dobremu, na lat 25. Umowa ta jednak nie została zrealizowana, gospodar ten zajął zaś przejściowo w 1432 r. całe Pokucie, lecz jeszcze w tym samym roku poniósł klęskę.

Najstarsza wzmianka o kościele parafialnym pochodzi rzekomo z 1353 r. Wówczas gmina miejska miała uposażyć parafię wsią Oskrześcinę. Wzmianka ta jest wysoce prawdopodobna (choć ostatnio za pewną przyjmuje się rok 1453), gdyż powstanie parafii, jak to było w zwyczaju, łączyło się z nadaniem praw miejskich. Nie oznacza to też, że przed 1353 r. nie mógł istnieć w Kołomyi łaciński

kościół. W roku 1453 ufundowany został natomiast niewątpliwie przez króla, bo było to miasto królewskie i król sprawował patronat nad parafią, nowy kościół parafialny p.w. Nawiedzenia N. P. Marii. Była to jednak najpewniej nie pierwsza, lecz jedna z kolejnych świątyń. W mieście był również klasztor dominikański z kościołem p.w. Bożego Ciała, ufundowany przez Władysława Jagiełłę w 1413 r.

Była tu również szkoła parafialna wzmiankowana w latach 1482—1498, jedna z 19 na obszarze archidiecezji lwowskiej w XV stuleciu, oraz szpital wspomniany w 1491 r., czwarty z kolei w diecezji.

W XV stuleciu dwa znaczące wydarzenia historyczne zadecydowały o dalszych losach Pokucia i jego stolicy — Kołomyi.

W roku 1402 Sejm uroczystym aktem przyłączył Pokucie po wsze czasy do Korony. Była to odpowiedź na zajęcie Pokucia przez Węgrów w 1377 r., w czasie panowania w Polsce Ludwika Węgierskiego. Ziemie te odebrane zostały w 1387 r. przez królową Polski — Jadwigę, córkę Ludwika Węgierskiego.

Z kolei 15 września 1485 r. na polach Kosaczowa, przedmieścia Kołomyi, nastąpił akt uroczystego hołdu złożonego przez Stefana Wielkiego, hospodara moldawskiego (1457—1504), królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Uroczystość tę opisuje następująco Marcin Kromer w *Mowie na pogrzeb Zygmunta I oraz o pochodzeniu i dziejach Polaków*: „Kazimierz Jagiellończyk [...] przeprawiwszy się [...] z [...] wojskiem przez Dniestr, czyli Tyr, pod Haliczem, udał się do Kołomyi na ustalone tam spotkanie ze Stefanem i rozbił obóz na obszernym polu. Wkrótce [...] przybył tam także Stefan z drużyną dostojników i jazdy [...] Potem w namiocie królewskim ustawiono wysoki tron. Siedział na nim król w szatach uroczystych w otoczeniu swoich doradców. Stefan zbliżył się na wspaniałym koniu. Król przyjął go samego, wyłączając wszystkich innych. Rycerstwo króla otoczyło namiot. Stefan zsiadł z konia [...]. Wprowadzono go do króla. W rękę trzymał ozdobny sztandar ziemi moldawskiej. Oddawszy cześć królowi i sztandarowi, zgodnie ze zwyczajem, ukląkł u nóg siedzącego króla. Tam Stefan w uroczystych słowach złożył przysięgę oddania się wraz z całą Moldawią pod opiekę i w lenno Kazimierzowi i jego następcom, królom polskim, na zawsze. Przysiągł, że nigdy nie uzna nad sobą żadnego innego pana, że zawsze wystąpi z całą swą siłą przeciw wrogom króla [...]. W archiwum królewskim jest dokument Stefana podpisany przez niego i przez czternastu jego doradców [...]. Obsypany darami powrócił Stefan do Moldawii, pozostawiając królowi trzy tysiące wybornej konnicy [...]”.

Na miejscu hołdu z inicjatywy Oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Kołomyi odsłonięto w dniu 15 września 1885 r. pamiątkowy obelisk. Został on zniszczony w 1918 r. przez Ukraińców, a następnie odbudowany w 1928 r. przez polską młodzież z Kołomyi. Dziś na polach kosaczowskich nie ma już pomnika, ale pozostała pamięć o nim i znana jest treść napisu na płycie: „Tu na tym miejscu w 1485 r. Kazimierz Jagiellończyk król polski, wielki książę litewski, odbierał hołd wierności od Stefana hospodara wołoskiego”.

Kto słyszał?

Rok 1939, około 20 września. Do Lwowa zbliża się Czerwona Armia sowieckiego agresora. Lwowskie radio nadaje dramatyczny apel w języku francuskim do rządów i narodów świata, zachęcający się do słów: „Ici clame Lwów”.

Inicjatorem i autorem tekstu tego apelu był dr Henryk Wallisch, prawnik, w owym czasie szef prokuratury w Samborze, a tłumaczką na francuski jego żona romanistka, dr Irena Wallischowa. Państwo Wallischowie, którzy znaleźli wtedy schronienie w budynku Kasy Chorych przy ul. Zielonej (naczelnym lekarzem był tam wówczas szwagier Wallischa dr Antoni Falkiewicz), zanieśli tekst do radia w nocy (przy całkowitym zaciemnieniu miasta) i wtedy został nadany.

W kilka godzin później rozeszła się wiadomość, że „już

wchodzą”, a pani Wallischowa, powodowana zrozumiałym strachem, tekst zniszczyła. Być może dzięki temu dr Wallisch uniknął śmierci, bo zaraz po zajęciu Lwowa przez Sowietów, został aresztowany niejako przypadkiem, przy uwięzieniu starosty stryjskiego Harmaty. Został niebawem wypuszczony dzięki „lewej” legitymacji.

Wkrótce po nadaniu apelu zgłosił się do pp. Wallischów generał Kukiel, który — jako historyk — spisywał wydarzenia na gorąco, i poprosił o przekazaniu mu tego tekstu. Niestety było to już po jego zniszczeniu.

Wiadomość powyższą otrzymaliśmy od pani dr Ireny Wallischowej, zamieszkałej od czasu II wojny w Krakowie. W jej i naszym imieniu prosimy osoby, które apel nadany w języku francuskim słyszały i ten fakt zapamiętały, o wiadomość do redakcji „Semper Fidelis”.

BOLESŁAW OPAŁEK

Wspominam Ojca ...

Pierwsze przykazania, jakie wpajano we mnie razem z nauką początkowych liter elementarza, brzmiały: „nie ślin palców”, „nie zaginaj kartek”, „połóż książkę na miejscu dla niej przeznaczonym”. Z tego powstał potem kult książki, który pozostał na zawsze.

Sanktuarium tego kultu było w naszym rodzinnym domu. Największy pokój mieszkania przy Łyczakowskiej, a później Kurkowej zajmowała biblioteka. Kilka tysięcy tomów zgromadzonych tam na półkach, w odpowiednich podziałach rodzajowych i tematycznych, przyciągało wzrok mnogością tytułów, bogactwem opraw, formatów, szeregiem dzieł wielotomowych. Poza książkami, w szafach, na stolikach leżały stopy starych czasopism „Kłosów”, „Tygodnika Ilustrowanego”, „Bluszczy”, „Wędrowca” i podobnych. Inne meble tego pokoju były przechowywaniem dokumentów i przedmiotów szczególnych. Biedermeyerski mahoniowy sekretarzyk ukrywał ważne papiery rodzinne, metryki, świadectwa, dekrety lwowskich przodków sięgające początków XX w., rozległą korespondencję, fotografie, dyplomy, bibliofilskie cymelia i wiele jeszcze nieznanych mi dokumentów. Oszklona lustrzana serwantka nie mogła nic ukryć. Pamiątki rodzinne Bednarskich i Opalków, uzupełniane bieżącymi nabytkami z przeróżnych drobnych przedmiotów, bibelotów, porcelanowych cacek, intrygowały formą i epoką pochodzenia. Medale i odznaczenia Ojca za Legiony, obronę Lwowa, krzyże za pracę zawodową, Wawrzyn PAL, za pracę literacką zajmowały centralne miejsce. W dzieciństwie moje zainteresowanie budziła znajdująca się w serwantce duża muszla z morską południową, w której – jak mówiono – zamknięty był szum morza. Kilka wiszących i stojących stylowych zegarów nie wskazywało aktualnego czasu, bowiem ich mechanizmy nie pracowały, aby nie zakłócać tykaniem lub wydzwanianiem niezbędnej w tym pokoju ciszy. Na ścianach wisiały małe gobeliny, obrazy, stare sztychy i kolorowe litografie, wśród nich na miejscu eksponowanym portrecik Marszałka, który od czasów – jakie pamięć moja obejmuje – darzony był (i jest) w naszej całej rodzinie największą estymą. Biurko pokrywały różne papiery, książki i teki niezbędne przy aktualnych pracach. Obok biblioteki, na ścianie w ramach, stylizowanym pismem zwracał uwagę czterowiersz:

Na moich półkach ksiąg mnogie dostatki,
Żywota to radość, słodycze,
Patrząc na te książki do woli przez kratki,
Lecz żadnej ci z nich nie pożyczę.

Te „kratki” stanowiła mosiężna siatka o dużych otworach w drewnianych ramach, uchylanych tylko w razie potrzeby. Treść wiersza odstraszać miała amatorów pożyczek książkowych, którzy nie byli darzeni zaufaniem. Niechęć Ojca do wypożyczania książek była cechą z pogranicza dziwactwa, chociaż zdarzały się wyjątki. Lektury szkolne dla mnie i rodzeństwa nie pochodziły „za kratki”, gdyż tam były egzemplarze oprawne, a nam wystarczały wydania popularne, zakupione na Batorego u księgarzy. Biblioteka wyłączona była z zabaw i używalności codziennej, sprzątanie zaś odbywało się tam z rygorami zachowania istniejącego porządku w ułożeniu papierów, książek i przedmiotów. Niemal codziennie w godzinach wieczornych pracował tam Ojciec, światło nie gasło przed północą. Powstawały wtedy z wycinków prasowych zbiory wiadomości, źródła do opracowań z historii szkolnictwa, obyczajów, kultury, teki drzeworytów, litografii, szerokiej ikonografii do opracowań literackich, a także rodziła się poezja. W ciszy wieczorów powstawały też pomysły realizowane w ciągu dnia.

Dzień zaczynał się wcześnie, trzeba było wykonać czynności poranne, spożyć wspólne śniadanie, po czym wszyscy udawali się

do swoich obowiązków. Po usamodzielnieniu się starszego rodzeństwa, braci Zbigniewa, Ryszarda oraz siostry Aliny, w drugiej połowie lat trzydziestych w domu pozostałem ja ze starszym o pięć lat bratem Wiesławem. W godzinach przedpołudniowych miejscem działania Ojca i naszym była szkoła. W latach trzydziestych Ojciec pełnił obowiązki kierownika Szkoły Powszechnej im. Piramowicza przy pl. Strzeleckim. Z tego okresu zapamiętałem dość mglście pokazaną tam wystawę książki w 1931 r. Dała ona początek innym organizowanym przez Ojca wystawom szkolnym, które stały się cennym środkiem wychowawczym i poznawczym dla młodzieży szkół podstawowych.

W Szkole Powszechnej im. św. M. Magdaleny, której kierownictwo objął Ojciec w wyniku konkursu od marca 1934 r., były wystawy: „Stulecie Pana Tadeusza” (1934), następnie „Miasta polskie”, „Tatry i Podhale”, „Gdańsk i polskie morze” i ostatnia „Rok 1863”. Każda z nich była lekcją kultu dla książki, patriotyzmu i umiłowania Ojczyzny, i z każdej przebiegała ogromna inwencja i pasja organizatora.

Zajęcia szkolne, wystawy, imprezy, wycieczki to bardzo aktywny okres pracy pedagogicznej Ojca w latach trzydziestych. Apogeum tych inicjatyw przypada na czas kierowania szkołą M. Magdaleny. Dowiadywałem się o nich z opowiadań Ojca, a po przeniesieniu mnie do tej szkoły w 1935 r. (ze szkoły św. Antoniego) sam w nich uczestniczyłem. Początek roku szkolnego 1935/36 zdominowała ogromna uroczystość, 20 października odbyło się poświęcenie sztandaru szkolnego, z udziałem księży kościoła św. M. Magdaleny, licznych i dostojnych gości oraz całej dziatwy szkolnej. W miesiącach zimowych było wiele imprez artystycznych: mikołajowe, gwiazdkowe, obrazy sceniczne autorstwa Ojca, ilustrowane muzycznie, ze śpiewami i akompaniamentem kompozytora muzyki, nieźrównanego tytana pracy Tadeusza Waligórskiego. Obrazy te nie schodziły prawie ze sceny sali gimnastycznej, i nie tylko tej sali, bowiem obrazek sceniczny *Był cudny dzień 3 Maja* z powodzeniem wystawiła szkoła na deskach Teatru Wielkiego w 1937 r. Wydarzeniem wcześniejszym, w dniu 22 marca, była wizyta w szkole ministra oświaty RP W. Świątosławskiego i ministra oświaty Królestwa Rumunii K. Angelescu, do których w imieniu uczniów szkoły wygłosiłem przemówienie w języku polskim i rumuńskim, po czym w sali gimnastycznej odegraliśmy *Kulig staropolski*. Imprezy szkolne miały też aspekt rocznicowy i patriotyczny. 19 marca był dla nas datą świętą, oddawaliśmy hołd Marszałkowi z pełną świadomością jego wielkości i zasług dla Polski. Listopadowe dni obchodziliśmy uroczystość, z powagą, jako rocznice odzyskania niepodległości i obrony Lwowa.

Rocznice przeżycia szkolne uzupełniały rozmowy w domu. W gronie rodziny, starszego rodzeństwa mówiło się o naszej historii, dziejach powstań, udziale w 1863 r. naszego dziadka Józefa, gdy walczył pod Czechowskim i Wysockim w bitwach pod Potokiem i Radziwiłłowem, czasach legionów i wybitnej roli komendanta, obronie Lwowa. Towarzyszyła tym wspomnieniom muzyka – *Warszawianka* i inne pieśni patriotyczne w wykonaniu Mamy lub Ojca na fortepianie podnosiły uroczysty nastrój tych „rodzinnych akademii”.

Działalność nauczycielska Ojca miała szeroki zakres. Poza szkołą redagował „Przegląd Nauczycielski”, prezesował Zarządowi Okręgu ZNP w latach 1935–1938 (hymn ZNP wyszedł spod pióra Ojca w 1925 r. i jest do dzisiaj aktualny), kierował sekcją turystyki ZNP, był członkiem wielu komisji. To wypełniało mu pierwszą połowę dnia. O godz. 14-tej gromadziliśmy się przy stole, by spożyć obiad. Godzina ta była rygorystycznie przestrzegana

przez Ojca i tylko ważne przeszkody mogły wpłynąć na jego nieobecność. Dalsza część dnia to udział Ojca w przeróżnych zebraniach: Ogniska ZNP, Związku Legionistów, Towarzystw: Miłośników Książki, Miłośników Przeszłości Lwowa, Przyjaciół Ossolineum, w których udzielał się i piastował różne funkcje, a także wizyty w radiu, z którym współpracował, no i wreszcie — nie wiem kiedy — „polowania” u bukinistów za cymeliami.

Odkocznie stanowiły zebrania towarzyskie, a wśród nich najważniejsze w gronie bibliofilów. Miejsca tych spotkań były zależne od dnia i uczestników — od winiarni Kozioła na Dominikańskiej, poprzez lokale restauracji „Zakopane” na Akademickiej, gdzie bibliofile mieli swój „stół pod wiechą”, kawiarni „Szkockiej” (we wtorki), rzadziej „Atlasy”.

Wyjątkowe spotkania w gronie tylko wtajemniczonych odbywały się w piątki w domu „Pod orłami” przy ul. Potockiego nr 50, którego właścicielem był ziemianin (również właściciel majątków w pobliżu Rohatyna) w bibliofilskiej hierarchii w „randze” Wielkiego Komandora Wschodu (WKW) — p. Franciszek Biesiadecki. Tam schodziła się śmietanka czcicieli i miłośników książki. Nazwiska: Mękicki, Semkowicz, Skulski, Legeżyński, Witkiewicz, Wisłocki, Tyszkowski, Wasylewski, Piekarski, znałem początkowo tylko z rozmów prowadzonych w domu. W miarę dorastania, łącznie z zamilowaniem do książek, przekazywał mi Ojciec wiedzę o luminarzach tej namietności. Zdarzało się, że ktoś z wymienionych odwiedzał nasz dom i wówczas mogłem naocznie porównać opis z dostojną osobą. Jako dziecko przedszkolne miałem okazję bawić z Mamą na wakacjach w pałacu w Firlejowie k. Rohatyna, którego właściciel p. Franciszek Biesiadecki udostępniał go latem rodzinom zaprzyjaźnionych bibliofilów, sam zamieszkując w majątku Danilcze.

Wakacje były ważnym wydarzeniem rodzinnym. Na coroczny dwumiesięczny wypoczynek wybieraliśmy zawsze małe miejscowości w górach od Czarnohory po Tatry. Nie były to renomowane i uczęszczane uzdrowiska, lecz wioski ładnie położone, z których można było urządzać dalsze wycieczki. Czasem ponawialiśmy wyjazdy do tych samych miejsc. Towarzyszyły nam zaprzyjaźnione rodziny i przyjaciele domu (Szumańscy, W. Wojtowicz, S. Wysoczyńska). Moje starsze rodzeństwo i znajomi stanowili grupę, którą Ojciec prowadził na kilkudniowe wyprawy. Całe wakacje były pasmem wędrówek, spacerów po górach, kąpeli w rzekach i potokach, okresem wspaniałego aktywnego wypoczynku. Po Obidzy na Sądecczyźnie, którą powtórzyliśmy trzy razy, była Żakła w Gorganach nad rwącą Świcą, z biczującymi wodospadami zapierającymi dech. Grupy wycieczkowe atakowały kamieniste Gorgany, a ja kolejką leśną podróżowałem do Ludwikówki. Po Pasiecznej k. Nadwórnej, Popowicach k. S. Sącza w latach 1935 i 1936 wypoczywaliśmy w Korczynie k. Skolego. Przyjechało tam większe towarzystwo (Ojakowie, Dąbrowscy i inni). Kiedy dłuższe opady przerwały wycieczki, Ojciec i bracia w szybkim czasie stworzyli scenariusz rewii, pt. *Korczyn w słońcu i w slocie*, na którą złożyły się skecze, monologi (*Radca Stroń w Korczynie*), piosenki lwowskie (z moim udziałem). Letnicy i miejscowi zapełnili kilka razy salę szkolną. Zebrany dochód około 120 zł przekazaliśmy na Fundusz Obrony Narodowej. W tych dwumiesięcznych wakacjach, niezwykle aktywnych, lecz szalenie zdrowych, kryła się tajemnica kondycji Ojca, jego sił vitalnych, którymi dysponował w ciągu dziesięciu miesięcy wyjątkowej pracy w mieście.

To wspaniałe (jak się teraz wydaje) beztroskie życie przerwała wojna. Nadeszły okupację Lwowa, które zmieniły wszystko. Ojciec zwolniony ze szkoły zaraz na wstępie pozostał bez pracy do końca „pierwszych Sowietów”. Próbował wypełnić czas pracą literacką. Wyniszczeni materialnie i fizycznie dotrwaliliśmy do następnej okupacji, która przyniosła pewną poprawę materialną, zaistniała możliwość kontaktu z bratem Zbigniewem, leśniczym w ordynacji przeworskiej i skorzystania z jego pomocy, a następnie w latach 1942–1943 pracy Ojca w Archiwum Miejskim. Wszystko to odbywało się w ogromnej niedyspozycji psychicznej, przy ciągłych stresach, w walce o przetrwanie. Po wywózkach i stratach bliskich nastąpiła eskalacja następnych zbrodni i ofiar. Grono bibliofilskie



Mieczysław Opalek
pedagog, bibliofil, literat
miasta Lwowa

ur. 9 IX 1881 we Lwowie
zm. 6 V 1964 w Nowym Sączu

zostało niemal zupełnie wyniszczone. Nie było spotkań, jak dawniej. Kilka osób kontaktowało się w Archiwum (dr dr Badecki, Knot, Hartleb, Solski) z zachowaniem koniecznej konspiracji. Wreszcie w 1945 r. nastąpił wyjazd do Przeworska. Tam prawie natychmiast Ojciec otrzymał z rzeszowskiego kuratorium zlecenie inwentaryzacji podworskich księgozbiorów Lubomirskich w Przeworsku i Tarnowskich w Dzikowie. Przez kilkanaście miesięcy trwała ta ciekawa i odpowiedzialna praca (przy której w Przeworsku asystowałem), po czym posegregowane w ponad stu skrzyniach zbiory inkunabułów, rękopisów i starodruków powędrowały do ksiąźnicy jagiellońskiej. Bibliotekę Ojca w całości udało się wywieźć ze Lwowa — część w czasie okupacji niemieckiej na leśniczówkę, resztę z Ojcem na „ewakuacyjny list”.

W 1946 r. w Przeworsku w pewnym momencie nastąpił wzlot naszych artystycznych aspiracji — powstała rodzinna produkcja sceniczna. Ojciec napisał baśń sceniczną *Czarodziejskie ziele*, którą brat Wiesław wyreżyserował, ja zaś wykonałem bardzo trudną scenografię, dekorację i kostiumy (także niedźwiedzi), byłem inspicjentem i śpiewałem barytonem w chórze rewelersów. Tę baśń opracowaną muzycznie przez Franciszka Branię ze szkoły muzycznej wykonała młodzież szkolna Kółka Amatorskiego przy Towarzystwie Muzycznym. Dawaliśmy występy w sali „Sokoła” w Przeworsku i wyjazdowe na scenie zamkowej Łańcuta.

Wkrótce zaczęła się wędrówka rodziców, częste zmiany miejsca zamieszkania: w Rzeszowie Ojciec był wizytatorem szkolnym (1946–1947), w Łańcutie sprawował funkcje bibliotekarza i kustosa muzeum (1947–1948), wreszcie w Przemyślu uczył w liceum dla dorosłych (1948–1951). Potem przeszedł na emeryturę, ale nastąpiły dalsze zmiany miejsca zamieszkania: Rytno na Sądecczyźnie (1951–1956), trzy miejscowości w okolicach Frysztaka (1956–1960), a od 1960 roku Nowy Sącz.

Od 1948 r. drogi nasze rozeszły się, rodzice zamieszkali sami. Przy każdej kolejnej przeprowadzce Ojciec wkładał swoje woluminy do skrzyń, przewoził je na nowe miejsce i rozpakowywał. Było to konieczne przy kontynuacji pracy literackiej i niezbędnym korzystaniu z niektórych pozycji, np. *Bibliografii Estreichera*, *Słownika geograficznego* i innych. Wynikiem są publikacje: *Drzeworyt w czasopiśmie polskich XIX stulecia* (Ossolineum, Wrocław 1949), *Litografia lwowska 1822–1860* (Ossolineum, Wrocław 1958), *Ze wspomnień bibliofila* (Ossolineum, Wrocław 1960), oraz przygotowane do druku: *Historiografia Warszawy*, *Pomnożyciele kultury*

z ziem woj. rzeszowskiego i Szlakami krajoznawstwa polskiego, ponadto kilkanaście pozycji w rękopisach. PRL nie była jednak dla Ojca łaskawa, prezentowany przez niego gatunek literacki nie był preferowany, recenzenci i wydawnictwa nie zainteresowane, a Związek Literatów Polskich nawet po 1956 r. odmawiał przyjęcia go w swoje szeregi, uzasadniając to „nieujawnieniem aktywności w latach powojennych”. Na odwołanie skierowane na ręce prezesa Stefana Otwinowskiego, ten odpowiedział: „ostatecznie pisarz to człowiek piszący i tylko pisanie daje mu i satysfakcję, i sytuację społeczną. Utrzymywanie fikcji członków — komu to potrzebne?...”

W pracy twórczej powstają niekiedy ciekawe literackie zderzenia. Ojciec pisał książkę o grafomanstwie *Na chromym Pegazie* i kiedy ją skończył, otrzymał list od Juliana Tuwima, który prosił o informacje o pewnym grafomanie, zapowiadając rychłe wydanie swojej książki *Pegaz dęba*. Podobne tematyczne opracowania powstawały jednocześnie, bez wiedzy o tym ich autorów. Egzemplarz *Pegaz dęba* z dedykacją Juliana Tuwima dla Ojca z 15 IV 1950 r. leży na mojej półce biblioteczej.

Odwiadam często rodziców w ich różnych miejscach zamieszkania. Są teraz warunki i czas, aby spokojnie z moim dojrzałym spojrzeniem mówić o tym, co we Lwowie było w odbiorze dziecka mało zrozumiałe. Rozmawiamy o początkach działalności Towarzystwa Miłośników Książki, kiedy prezesował mu Jan Kaspro-wicz, a w zarządzie uczestniczyli F. Biesiadecki, R. Kotula, S. Wasylewski, S. Łempicki i R. Mękicki. Ojciec był wówczas sekretarzem. Nastąpiło wtedy ogromne ożywienie ruchu bibliofilskiego, Lwów wyznaczono na miejsce III Zjazdu Bibliofilów Polskich w 1928 r. Podjęto przygotowanie wydawnictw towarzyszących zjazdowi. Na ogólną liczbę 53 wydawnictw Lwów opracował 23 publikacje. Ukazały się cztery pozycje Ojca: *Bibliopole lwowscy*, *Stare księgi — stare wina*, *Roksolana i Sto trzydzieści lat wśród książek*. Ta ostatnia pozycja była historią antykwarskiej dynastii Iglów. Temat lwowskich bukinistów niezmiernie frapował Ojca, mówił ciepło i z sympatią o tych, którzy byli znawcami

przedmiotu, zachowując jednocześnie godną prezentację swojego zawodu. Im właśnie, a wśród nich izraelitom, poświęcał serdeczną pamięć. Sporo czasu zajmowały nam wspomnienia rodzinne, nasi lwowscy przodkowie, których korzenie sięgają roku 1800. Czaszy legionów, legenda Marszałka to były również tematy, które wracały przy każdym spotkaniu rodzinnym, budziły zawsze emocje, były podłożem wychowania, z którego wynieśliśmy patriotyzm i miłowanie Ojczyzny.

W 1961 r. otrzymał Ojciec zaproszenie na spotkanie w Zarządzie Głównym Towarzystwa Przyjaciół Książki w Warszawie i wygłoszenie tam bibliofilskiej gawędy. Uzgodniono datę spotkania na 6 czerwca 1961 r. i taką datę nosi dyplom honorowego członka TPK w Warszawie, który mu tam wręczono.

Z niesłabnącą energią pracował Ojciec nad innymi tematami, do których zgromadził materiały wyjściowe, ikonografię i inne dane. W tym jednak momencie, pełnej sprawności umysłowej, dobrej jak by się mogło wydawać kondycji fizycznej, w wieku 83 lat serce odmówiło dalszego posłuszeństwa.

Pracowite życie Ojca uwieńczył bogaty dorobek literacki — bibliografia obejmuje kilkaset pozycji różnych form drukowanych w szerokim wachlarzu pracy na przestrzeni 60 lat oraz około trzydzieści pozycji książkowych. Spuścizna rękopiśmienna obejmuje również około 30 pozycji, z których kilkanaście znalazło się w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu. Tam też jest część korespondencji literackiej i wcześniej przez Ojca przekazane zbiory drzeworytów.

W 1987 r. Wydawnictwo Ossolineum we Wrocławiu wydało pamiętnik Ojca *O Lwowie i mojej młodości*, obejmujący okres pierwszych dwudziestu lat życia. Do dalszej części wspomnień miał przygotowane notatki, z których nie sporządził jednak zwanego opracowania.

Mottem z książki *Ze wspomnień bibliofila* — „Pociecho moja ty, książeczko” — można by określić wiodący motyw jego pracowitego życia.

JERZY MASIOR (z wydanego ostatnio tomiku poezji)

Batiarska kulenda

*Zdżichowi Ojczyńskiemu
za straż nad Lwowem*

Gdy od Ostrubramskiej kulendy śpiewali,
To na Antuniego kindry wtórowali,
I z Leśnej, z Piaskowej i od Wyspiańskiego
Biegli na Pasterki spud nieba lwowskiego
Różny batiarygi i śliczny małanki,
Gdzieś z Rywakuwicz i od Puhulanki,
Bu tam Betlyjemska najjaśniej świeciła,
Bu im wtedy dniału, choć noc si czerniła.

Gdzieś tam, na Pasiekach pud szopu stanęli,
„Gloria in excelsis...” od serca huknęli
I batiarskim śpiewem lulali Małegu
Ci z Leśnej, z Piaskowej i ci z Wyspiańskiego.
Batiarska kulenda jak gwiazda na niebi
Nóżki już mu grzeji i do snu kulebi,
Cichutku szpilaju pasterzy i króli
Taj cały Łyczaków jak moży najczulej...

Lulaj nam Syneczku, lulaj w kulebusi,
Ostrubramska Matka nakarmić Ci musi,
Ukryje przed Tobu te lzy co zy Lwowa
I gwiazdy gasnącej w sercu blask zachowa,
Światła nad Jałowcym, blasku na Pasiekach,
Gdy już droga do nich bendzi zbyt daleka,
Gdy tam na Pasterki nikt już nie zadzwoni,
A Twoich batiarów pu świeci rozgoni.

WIKTOR DZIULIKOWSKI

Lwowskie kina

Któż ze starych lwowskich miłośników i bywalców kin nie wspomina dziś chętnie oglądanych tam w latach międzywojennych filmów? W obrazie kulturalnym miasta były one nowością, wzbudzały wiele dyskusji, wiele wypowiedzi pełnych zachwytu, ale też i nieraz uwag krytycznych. Były to przecież dopiero początki sztuki filmowej, której pełny rozkwit przypaść miał dopiero po II wojnie światowej.



Pierwsze, nieliczne jeszcze kina, zwane wówczas kinoteatrami, powstały we Lwowie tuż przed I wojną światową. Po odzyskaniu w 1918 r. niepodległości następował dalszy stopniowy ich rozwój. Wyświetlane wówczas filmy były oczywiście nieme i jednobarwne. W grupie pierwszych kinoteatrów do najpoważniejszych należało na początku lat dwudziestych kino „Lew”, mieszczące się w dawniejszej sali Filharmonii, w gmachu hr. Skarbka. Wyświetlano tam codziennie pierwszorzędne filmy polskie, francuskie, włoskie, angielskie i amerykańskie. Kinoteatr „Fatamorgana”, przy pl. Mariackim, wyświetlał arcydzieła filmowe — historyczne, przyrodnicze, dramatyczne, fantastyczne i humorystyczne. Do reprezentacyjnych należały też kinoteatry: „Apollo” przy ul. Chorążczyzny 7, „Kopernik” przy ul. Kopernika 9 i „Marysieńka” przy ul. Smolki 5. Spośród licznych, czynnych w różnych latach kin godzi się jeszcze wymienić: „Atlantic” (ul. Skarbowska 1), „Casino” (Legionów 5), „Chimera” (ul. Akademicka 8), „Colosseum” (Słoneczna 8), „Europa” (ul. Akademicka), „Grażyna” (ul. Sapiehy 34), „Ludowe” (pl. Krakowski) i „Miraż” (pl. Mariacki 10).



Około 1930 r. na ekrany lwowskich kin zaczęły wchodzić stopniowo pierwsze pełnometrażowe filmy dźwiękowe.

Kina były oczywiście prywatnymi instytucjami, zmieniały często właścicieli, a nierzadko też i nazwy.

Oto dalszy alfabetyczny spis kin i ich adresy: „Adria” — ul. Żółkiewska, „Bajka” — ul. Zielona 26, „Gloria”, „Kosmos” — pl. Strzelecki 1, „Metro” — ul. Łyczakowska 7, „Mewa” — ul. Żółkiewska 11, „Muza” — ul. 3-go Maja 11, „Palace” — ul. Legionów, „Pan” — pl. Akademicki 5, „Pasaż” — Pasaż Mikołascha, „Pax” — ul. Franciszkańska 1a, „Promień” — ul. Żółkiewska, „Raj” — pl. Mariacki 7, „Rialto” — pl. Akademicki 5, „Roxy” — ul. Kętrzyńskiego, „Splendid” — Bogdanówka 2, „Studio” — ul. Kopernika 9,



„Stylowe” — ul. Szaszkiewicza 5, „Świt” — ul. Gródecka 2b, „Ton” — ul. Kuszewicza 1, „Uciecha” — Pasaż Mikołascha.

Był też ekskluzywny Klub Filmowy „Awangarda” przy ul. Ossolińskich 11, w którym wyświetlano najnowsze filmy eksperymentalne.

W latach trzydziestych kino zyskiwało coraz to większą popularność, szczególnie wśród młodzieży oraz robotników. Z jego usług korzystały też szkoły.

Właściciele kinoteatrów posiadali swój Związek Właścicieli Kinoteatrów Województwa Lwowskiego. Mieścił się on przy ul. Kopernika 2 i koordynował działalność wszystkich kinoteatrów, reprezentował ich interesy u władz miejskich oraz wojewódzkich.

Rodzina Kucharów a Lwowski Klub Sportowy „Pogoń” i sport polski

Od pierwszych chwil istnienia „Pogoni” nierozdzielnie złączyło się z jej historią nazwisko rodziny Kucharów. Najstarszy z sześciu synów Tadeusz był, jako uczeń gimnazjalny i świetny zawodnik, jednym z założycieli klubu w 1907 r., a wkrótce po nim wciągnęli się w szeregi najzdolniejszych zawodników, jakich w ogóle dotąd wydaliśmy, kolejno: Karol, Władysław, Wacław (niezapomniany Wacek), Mieczysław i Zbigniew.

Przykładem swoim działając, zaszczepili fanatyczne umiłowanie barw „Pogoni” w oboje rodziców.

Śp. Ludwika z Drzewieckich i śp. Ludwik Kucharowie stają się do końca życia opiekunami klubu.

Aż oto po dziesięciu latach współpracy spotkał w 1917 r. klub nasz wielki cios. Albowiem dnia 17 czerwca zmarł Ludwik Kuchar, członek-założyciel, członek wspierający i od 1912 r. członek honorowy „Pogoni”.

Zniknęła w Jego osobie z widowni Lwowa postać szanowna człowieka, który pracą rozumną, wytrwałą i owocną szedł przez życie. Oddany całym sercem rodzinie, nie zapomniał jednak o obowiązkach obywatelskich. Gorący patriota, przyczyniał się do kształtowania lepszej przyszłości nie słowami, lecz czynami.

„Pogoń” wspierał nie tylko radą, nie tylko finansowo, dał jej więcej, jak mówiliśmy, bo swych sześciu synów, wzór tężyzny fizycznej. Dał nam tych, którzy sławę polskiego sportu daleko poza granice ojczyzny ponieśli i uczyli obcych sport nasz szanować. Złotymi zgłoskami wyrte pozostanie nazwisko śp. Ludwika Kuchara w sercach „Pogończyków”, złotymi w dziejach sportu Lwowa.

Nie inaczej też zapisała się w pamięci czcigodna Jego małżonka, członkini honorowa „Pogoni”, śp. Ludwika z Drzewieckich Kucharowa, nie zapomniana opiekunka klubu.

Przeżyła o 10 lat swego towarzysza życia. Dlatego mogła być świadkiem najświetniejszego okresu rozwoju naszego klubu po wojnie, a serce Jej matczyne rosło na widok sześciu synów budujących sławę „Pogoni”.

Ileż to tysięcy koron i złotych ofiarowała śp. Kucharowa w momentach, gdy nie było grosza w kasie na pokrywanie deficytów. A robiła to zawsze skromnie bez rozgłosu. Ilu biednych „Pogończyków” utrzymywała u siebie, ile obcych drużyn grających z „Pogonią” znalazło w jej domu pomieszczenie, ilu obrońców Lwowa w zimie 1918 r. schronienie.

Żyła zawsze w ścisłej łączności z klubem, z jego członkami i zawodnikami. „Pogoń” — to było Jej dziecko najdroższe. Do końca życia odczuwała żywo nasze zwycięstwa i nasze klęski. To krótkie wspomnienie nie zdoła wyczerpać i uprzytomnić Jej zasług, uwidatnić walorów Jej postaci. Pokuszę się o to w dalszym ciągu *Księgi* inne pióra.

Toteż żał serdecznie z powodu Ich odejścia, a wieczną niewygasłą wdzięczność za wszystko, co dla nas zrobili, chowają w sercu „Pogończycy” dla śp. Ludwika i Ludwika Kucharów, czcząc w *Księdze Pamiątkowej* ich świetlaną pamięć!

Z *Księgi Pamiątkowej Klubu Sportowego „Pogoń”, Lwów 1904—1939*

„Pogoń”

Doktorowi Eugeniuszowi Piaseckiemu, temu mężowi nauki i reformatorowi wychowania fizycznego w Polsce, „Pogoń” zawdzięcza swe powstanie. On ją stworzył przez swych najbliższych wychowanków we Lwowie. W Krakowie E. Piasecki zaprzyjaźnił się z doktorem Henrykiem Jordanem i został jego wielkim entuzjastą, a także propagatorem jego haseł dotyczących gier i sportów, wcielając je w życie.

E. Piasecki jako młody lekarz w 1899 r. objął naukę gimnastyki w IV gimnazjum we Lwowie. Wprowadził tam także grę w piłkę nożną na zasadach angielskich, różniącą się od gry krakowskiej nie mającej tak dokładnych przepisów. Po uciążliwych rokowaniach między klubem uczniowskim gimnastyczno-sportowym IV gimnazjum, którego był opiekunem, a „Lechią”, doszło w 1907 r. do połączenia i stworzenia nowej organizacji Lwowskiego Klubu Sportowego „Pogoń”. Członkami założycielami byli: dr Paweł Dąbrowski (adw. kraj.), Jan Jędrzejewski (prof. gimn.), Aleksander Litwinowicz (inż.), Gedeon Giedroyc (przemysłowiec), Ludwik Kuchar (dyr. firmy Piotr Mikolasch i Ska), Stanisław Miziewicz (radca Wydz. kraj.), dr Eugeniusz Piasecki (lekarz), Edmund Naganowski (dyr. bibl. im. hr. Baworowskich), dr Edward Stroynowski (dyr. Gal. Kasy Oszcz.), Ludwik Włodek (przemysłowiec), dr Jan Woytkowski (lekarz).

Miedzy innymi z ramienia „Lechii” brał udział w tych rozmowach młody uczeń III gimnazjum — Tadeusz Kuchar. „Lechia” powstała z uczniów III i IV gimnazjum w 1904 r.

Początkowo nazywała się „Kółkiem Footballistów Sokoła Macierzy”. W szeregach pierwszych piłkarzy „Lechii” był Tadeusz Kuchar.

W 1908 r. „Pogoń” podpisała umowę dzierżawną i wpłaciła ratę za plac pod przyszłe boisko. Do budowy boiska przystąpili różni młodzi ludzie, zawodnicy oraz członkowie klubu. W tymże roku w czerwcu władze austriackie zatwierdziły statut Lwowskiego Klubu Sportowego „Pogoń”.

W 1910 r. „Pogoń” wstąpiła do Austriackiego Związku Piłki Nożnej, i weszła w skład Austriackiego Wydziału Sportu dla Lekkiej Atletyki, przynależność ta była niezbędna, gdyż władze austriackie nie wyrażały zgody na dalsze mecze z innymi państwami, nawet z Austrią, Węgrami, Czechami.

W 1911 r. współdziałała „Pogoń” przy założeniu Polskiego Związku Piłki Nożnej, autonomicznej jednostki terytorialnej przy Austriackim Związku Piłki Nożnej, obejmującej zakres działania całą Galicję.

Pierwszy datek na budowę boiska dał Ludwik Kuchar. Na budowę płotu i trybuny niebagatelne sumy przekazali oboje Kucharowie. Trybuna jak na owe czasy była bardzo nowoczesna. Środkową lożę zajmowała zwykle rodzina Kucharów, bardzo zaangażowana w powstanie klubu oraz jego działalność. Najstarszy syn Tadeusz miał wyjątkowe zdolności organizacyjne i gdzie tylko trzeba było włączyć się do działania, pozostali bracia byli również zawodnikami w tym klubie w różnych dyscyplinach sportowych i nadawali mu wysoką rangę przez swe wielkie i znaczące jak na owe czasy osiągnięcia. Wszyscy byli sportowcami i działaczami w latach 1907—1939.

Zarząd klubu LKS „Pogoń” wyróżnił honorowym członkostwem w okresie od 1904—1939 r. 8 osób za szczególne zasługi dla klubu. Byli to: W. Dzieduszycki, K. Hemerling, L. Kucharowa, L. Kuchar, T. Kuchar, A. Litwinowicz, E. Piasecki, R. Wacek.

Rodzina Kucharów

Ludwik Kuchar z pochodzenia Węgier i Ludwika Drzewiecka, szlachcianka polska, zamieszkali we Lwowie na przełomie 1899/1900 r. Wybrali to miasto, gdyż było ono bardzo prężne, w wielkim rozkwicie, posiadające bardzo rozwinięte ośrodki kultury, przede wszystkim Uniwersytet im. Jana Kazimierza. Były tu też gimnazja, szkoły, biblioteki, zwłaszcza im. Ossolińskich i Baworowskich z bardzo cennymi zbiorami, w niedalekim sąsiedztwie zaś — w Dublanach — Wyższa Szkoła Rolnicza. Było to miasto tonące w zieleni, ludzie w nim życzliwi i serdeczni, co nadawało Lwowowi specjalny charakter.

Ludwik ukończył Wydział Chemii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ludwika uzyskała dyplom mistrzowski kroju i szycia cechu krawieckiego w Krakowie. W 1890 r. Ludwik i Ludwika wzięli ślub w Kościele Mariackim i po rocznym pobycie w Krakowie, gdzie urodziło się im pierwsze dziecko, syn Tadeusz, przenieśli się do Łańcuta. U hr. Potockich Ludwik Kuchar objął kierownictwo laboratorium chemicznego jako znawca fermentacji najlepszych win. W Łańcutie urodziło się czworo dzieci: Karol (1892), Władysław (1895), Wacław (1897) i Kazimiera (1899). Pod koniec roku 1899 wyjechali do Lwowa i pozostali tu już do końca swych dni. W 1902 r. przyszedł na świat Mieczysław, a w 1906 r. Zbigniew.

Ludwik Kuchar został dyrektorem laboratorium chemicznego P. Mikolasch i Ska we Lwowie. W późniejszym okresie, gdy nastąpiła era filmu, założył dwa kina, kino „Lew” w gmachu hr. Skarbka przy ul. Skarbkowskiej (koło Teatru Wielkiego) i kino „Kopernik”.

Początkowo Kucharowie mieszkali przy ul. Łyczakowskiej, budując w tym czasie dom przy ul. Sadowniczej 80, którą po bitwie pod Zadwórzem, przemianowano na ul. Zadwórzańską.

Na wychowanie dzieci kładli rodzice duży nacisk. Wpajali im szacunek dla drugiego człowieka, rzetelność, uczciwość, zwłaszcza patriotyzm.

Dom Kucharów był na wskroś polski, toteż ich synowie wyrosli na ludzi prawych, uczciwych i dobrych Polaków. Wszyscy byli rozmiłowani w sporcie i wszystkie swe siły oraz wiedzę oddawali dla dobra Polski i sportu polskiego. Byli zawodnikami w zaborze austriackim w latach 1907–1918, później w wolnej Polsce do 1939 r. i po drugiej wojnie światowej, od 1946 r. występowali jako działacze sportowi i organizatorzy ruchu sportowego. W czasach zaborów startowali tylko w barwach klubowych nigdy obcego państwa, a po I wojnie światowej z białym orłem na piersi.

Tadeusz, Władysław i Wacław pełnili w klubie różne funkcje.

Tadeusz — 2-krotny prezes, 7-krotny wiceprezes; w zarządzie klubu od 1909–1934 r. Organizator różnych sekcji, m.in. piłkarskiej, lekkoatletycznej, pływackiej. Przystosował staw Świteż do ćwiczeń pływackich i do zawodów pływackich.

Władysław — w zarządzie klubu, we władzach klubu, opieką nad klubem, opiekun sekcji piłki wodnej i pływackiej.

Wacław — członek klubu, członek sądu honorowego w klubie, trener kobiet w lekkoatletyce, członek sekcji piłki nożnej, sekcji hokeja na lodzie, członek zarządu klubu, kierownik drużyny hokeja do Davos i Chamonix.

Piłka nożna

Tadeusz — zaczął kopać w 1904 r. jako 13-letni uczeń III gimnazjum, potem przeszedł do „Lechii” i w tym czasie uczęszczał do „Sokoła Macierzy”. Razem z braćmi Karolem i Władysławem ćwiczyli tam gimnastykę oraz m.in. biegi i rzuty.

Po powstaniu „Pogoni” w 1907 r. Tadeusz został członkiem tego klubu i nie rozstawał się z nim jako zawodnik do końca swej kariery zawodniczej. Był kapitanem drużyny piłkarskiej i środkowym napastnikiem, następnie działaczem klubowym i sportowym w zarządzie miasta Lwowa do 1934 r. W tymże roku został powołany do Warszawy.

Karol — grał w „Pogoni” na różnych pozycjach od 1909–1914 r., do momentu złamania nogi.

Władysław — piłkarz uznany za jednego z najlepszych obrońców w latach 1909–1914, sporadycznie grał w 1916 i 1918 r. ze względu na służbę wojskową.

Wacław — mecz inauguracyjny w I „Pogoni” w 1913 r. Do 1934 r. poświęcał się grze i piłce nożnej, kapitan drużyny od 1918 r. Uznano go za „króla strzelców”, gdyż w swej karierze piłkarskiej strzelił 847 goli w 1052 meczach. Trzykrotnie był mistrzem Polski (1922, 1923, 1925) i wielokrotnie wicemistrzem. Był reprezentantem drużyny polskiej w 1924 r. na olimpiadzie w Paryżu.

Mieczysław — zaczął grać w 1916 r. i grał do 1926 r., początkowo w bramce, potem w ataku i znowu w bramce, której bardzo skutecznie bronił.

Zbigniew — grał w piłkę nożną sporadycznie i nie poświęcał się tej dyscyplinie znacząco.

Bywało, że w drużynie I „Pogoni” grali: Tadeusz, Karol, Władysław, później Karol, Władysław, Wacek, a wreszcie Wacław i Mieczysław. Rodzina ta stanowi pewien fenomen w sferach sportowych, ponieważ aż sześciu braci w latach 1907–1939 było zawodnikami, organizatorami i działaczami sportowymi nie tylko na terenie klubu, ale i kraju, nie mówiąc o ich rodzicach, którzy również zaangażowani byli w życie klubu.

Osiągnięcia w innych dyscyplinach i działalność sportowa

Tadeusz — Politechnika Lwowska, Dział Maszynowy, inżynier. Najwszechstronniejszy w działaniu, bo sportowiec, działacz sportowy, organizator ruchu sportowego, pionier w dziedzinie

budownictwa urządzeń sportowych. Ośmiokrotny rekordzista i mistrz Austrii, Węgier, Czech; uznane przez władze sportowe Polski rekordy w biegach długich, średnich i chodzie w latach 1908–1914. W tym czasie I miejsca lub rekordy w biegach na: 1500, 3000, 4000, 2000, 1000, 4820, 10000, 5000, 400, z przeszkodami 1200 m, 110 m przez płotki, biegi przełajowe na 7000 m, 3000, 300, 10000, sztafeta 1600×4, chód 1000, 10000 m.

Rzuty: kula, oszczep, dysk — II miejsca, w dal i wzwyż — II, tyczka — III, 10-bój — III miejsce (Władysław — I).

Bezkonkurencyjny mistrz w pływaniu na różnych dystansach i w różnych stylach. Narciarz w biegach — drugie lokaty. Sędzia międzynarodowy w lekkoatletyce i pływaniu.

Od 1919 r. założyciel Polskiego Związku Lekkoatletyki i jego pierwszy prezes, współzałożyciel Polskiego Związku Piłki Nożnej, Polskiego Związku Pływackiego, Polskiego Związku Narciarskiego, Polskiego Związku Hokeja na Lodzie, Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich, Polskiego Związku Związków Sportowych i innych.

Od 1929–1934 r. kierownik Samodzielnego Referatu Wychowania Fizycznego we władzach miejskich Lwowa; autor pierwszego ogólnokrajowego programu budowy urządzeń sportowych w miastach w 1929 r.

W latach 1929–1934 twórca następujących urządzeń sportowych: 1. skocznia w Worochcie, 2. hala sportowa we Lwowie przy ul. Jabłonowskich, 3. na Żelaznej Wodzie trzy baseny: sportowy, dla publiczności i dla dzieci, 4. kryta pływalnia przy ul. Jabłonowskich we Lwowie z rozsuwaną szklaną południową ścianą (nowość).

Okres warszawski. W 1934 r. praca w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w Warszawie. Obejmuje Samodzielną Referat Budowy Urządzeń Sportowych:

- dokonuje spisu urządzeń sportowych w Polsce;
- opracowuje projekt rozbudowy urządzeń sportowych w miastach;
- jest rzecznikiem budownictwa sportowego w stowarzyszeniu Związek Miast Polskich;
- jest referentem szkoleniowym i od normalizacji budowy urządzeń sportowych w Polskim Związku Związków Sportowych.

Wykładowca w zakresie budownictwa i urządzeń sportowych w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego (CIWF), potem Akademii Wychowania Fizycznego (AWF) w Warszawie. Kierownik techniczny ekipy polskiej na Igrzyska Olimpijskie w 1936 r. — zimowe w Garmisch-Partenkirchen i letnie w Berlinie. Reprezentant Polski na FIFA w Amsterdamie i Barcelonie. Reprezentant PZLA na kongres w Sztokholmie.

W okresie okupacji prace dorywcze we Lwowie, Leszczkowie, Krakowie i Gliwicach.

Po wojnie w lutym 1946 r. zostaje wezwany przez władze polskie do Warszawy i powołany na pierwszego dyrektora Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, a następnie po jego przekształceniu w 1948 r. na Główny Urząd Kultury Fizycznej jego dyrektorem. W ostatnich latach swego życia jest dyrektorem Departamentu Urządzeń Sportowych w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej. Całe swoje życie poświęcił dla sportu polskiego.

Pomniki jego działalności: Torwar i Stadion Dziesięciolecia w Warszawie, hale sportowe w Łodzi i Przemyśle, skocznia narciarska w Zakopanem, sztuczne lodowisko w Bydgoszczy, hala sportowa w Orzegowie nazwana jego imieniem oraz liczna sieć sportowych urządzeń miejskich i wiejskich.

Autor i współautor publikacji: *Budownictwo sportowe*, Warszawa 1936; *Budownictwo sportowe. Kalendarz inżynierski*, Warszawa 1939; *Urządzenia sportowe. Wytyczne do projektowania*, Warszawa 1954; *Wiejskie budownictwo sportowe*, Warszawa 1955; *Zarys budownictwa sportowego* (skrypt dla szkół wyższych), Warszawa 1955; *Urządzenia sportowe — wytyczne do projektowania*, Warszawa 1959 i 1966.

Odznaczenia — wojskowe za obronę Lwowa: Krzyż Virtuti Militari V kl, Krzyż Walecznych (podwójny), Medal Niepod-

ległości, Krzyż Obrony Lwowa; cywilne: Srebrny Krzyż Zasługi (1936), Złoty Krzyż Zasługi (1938), Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski (1947), Krzyż Komandorski Odrodzenia Polski (1965).

Karol — Wyższa Szkoła Ekspertów — specjalista w bankowości. Lekkoatletyka — bieg przez płotki 110 m i skok w dal (I lokaty), dysk, skok wzwyż, bieg na 100 m (miejsca II); pływanie 50 m (miejsca I); tenis singel (III miejsca), a w deblu — z Władysławem — II. Powyższe wyniki obejmują lata 1909–1914.

Odznaczenia: Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi (przed II wojną), Krzyż Obrony Lwowa.

Władysław — dwa lata architektury na Politechnice Lwowskiej, studia przerwane przez I wojnę. Wyjątkowo uzdolniony w rysunku. Lekkoatleta — pierwszy 10-boista w Galicji, w 1913 r. — zwycięzca. W latach 1910–1918 — skok w dal, tyczka, oszczep (I lokaty), bieg na 100 m; rzuty kulą i dyskiem (I lub II miejsca), skok wzwyż i bieg przez płotki (od I do III miejsca); tenis — w deblu I, II lokaty, w singlu — I–III; jazda figurowa na lodzie — miejsca I i II; pływanie — 50 m i 100 m (I miejsca), sztafeta 34 × 4 lub 34 × 3 (z Tadeuszem — I miejsca); piłka wodna — wielki talent.

Od 1918 r. kontuzja wojenna wyłączyła go na 4 lata ze sportu. Uznany za największy talent sportowy ze wszystkich braci (do 1918 r.) i najwszechstronniejszego sportowca. Człowiek o wielkim harcie ducha, przy wielkiej dyscyplinie wewnętrznej.

W ciągu 4 lat osiąga wyniki w figurowej jeździe na lodzie i w 1922 r. zostaje mistrzem Polski. Druga dyscyplina to tenis w singlu i deblu; reprezentant Polski w pucharze Davisa we Francji w 1925 r.

Wspólnie ze Zdzisławem Stahlem w 1927 r. opracował podręcznik gry w tenisa.

W czasie okupacji pracuje w dziale kultury fizycznej w urzędzie miejskim. W Warszawie — po wojnie — w 1948 r. jeden z czterech pierwszych założycieli FSO na Żeraniu, kierownik Działu Inwestycyjnego. Pracuje od 1948–1970 r., gdy w wieku 75 lat przechodzi na emeryturę.

Odznaczony: Krzyżem Walecznych i Krzyżem Obrony Lwowa (obydwa za obronę Lwowa), Srebrnym Krzyżem Zasługi i Złotym Krzyżem Zasługi (za okres 1948–1970).

Wacław — Szkoła Realna, matura. Lekkoatleta — mistrz w biegach krótkich i średnich, bieg przez płotki na 110 m, rzut kulą, skok wzwyż (pierwsze lokaty), trójskok, tyczka, skok w dal (miejsca I, II), 10-bój w 1923 r. rekordzista Polski; jazda szybka na lodzie na 500, 1500, 5000, 10 000 m — mistrz i rekordzista w latach 1924–1928; bieg narciarski na 12 km (miejsce II); w 1925 r. wielobój łyżwiarski w St. Moritz na ME (6 miejsce). W reprezentacji hokejowej na mistrzostwa Europy w 1927 r. we Wiedniu, a w 1929 r. w Davos. Kierownik drużyny hokejowej do Davos i Chamonix 1930 r.

Od 1935–1939 r. członek sądu honorowego w zarządzie klubu „Pogoń”. Sędzia międzynarodowy w piłce nożnej, hokeju na lodzie i w jeździe szybkiej na lodzie. Współwłaściciel sklepu sportowego „Maraton” przy ul. Akademickiej. W Warszawie — po II wojnie — trener piłkarskiej reprezentacji Polski, potem szkoleniowiec w CWKS „Legia” i w „Polonii”; działacz sportowy.

Odznaczenia: Krzyż Obrony Lwowa, Order Sztandaru Pracy II klasy (1981).

Mieczysław — Gimnazjum Realne, matura. Lekkoatleta w latach 1916–1926 — pięcioboista (IV miejsce), biegi sztafetowe 400 × 4 (I miejsca), 100 × 4 (I miejsca). Piłka ręczna w mistrzowskiej drużynie „Pogoni” — bardzo aktywny i skuteczny gracz.

Odznaczenia: Medal „Orląt Lwowskich”, Krzyż Obrony Lwowa.

Zbigniew — Wyższa Szkoła Rolnicza w Dublanach; specjalista-ekspert od uprawy tytoniu.

Od 1922–1930 r. pływak (I miejsca w st. dowolnym na 100 m), początkowo w grupie chłopców, potem dla dorosłych. Sztafeta na 50 m (st. dow. lokaty II), jazda szybka na lodzie na 500, 1500, 5000, 10 000 m (II miejsca); tenis singel, bieg narciarski 6 km (I miejsce). Grał w mistrzowskiej drużynie hokejowej wraz z Wacławem.

Po wojnie w 1945 r. powołany do LWP zginął na ziemiach zachodnich — grób nieznany. Udziału w obronie Lwowa nie brał, będąc jeszcze dzieckiem.

Jedyna córka Kucharów nie interesowała się sportem.

Mówiąc o rodzinie Kucharów warto wspomnieć o żonie Tadeusza — Zofii, której życie wiązało się ściśle z tą rodziną od 1919 r. do końca jej dni. W „Przeglądzie Sportowym” z 3 VII 1979 r., nr 128, ukazało się wspomnienie pośmiertne o Zofii Kucharowej, które godzi się przytoczyć

Zofia Kucharowa (1900–1979)

27 czerwca na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie pożegnaliśmy Zofię z Demetrow Kucharową. Odszedł od nas Człowiek niezwyczajny, zabierając ze sobą żywą, wspaniałą pamięć o epoce narodzin polskiego sportu.

Urodzona w 1900 r. we Lwowie, wyszła tam za mąż w 1919 r. za jednego z najwybitniejszych polskich lekkoatletów sprzed I wojny, wielokrotnego rekordzistę i mistrza Polski, Austrii, Węgier i Czech — inż. Tadeusza Kuchara (1891–1966), sportowca, który nie chciał w olimpiadzie 1912 r. reprezentować kraju niewolącego jego Ojczyznę, działacza obecnego przy narodzinach najbardziej zasłużonego polskiego klubu w okresie międzywojennym, kolebki naszej lekkoatletyki i czołowego prekursora piłki nożnej — „Pogoni” Lwów, którego był prezesem w latach jego największej chwały.

Weszła pani Zofia w ten sposób do sławnego sportowego rodu sześciu braci Kucharów, jako żona najstarszego z nich. Była najwinniejszym towarzyszem drogi swego męża — jego pionierskich pasji tworzenia polskiego sportu.

To niemal w ich mieszkaniu reaktywował się w Krakowie w 1945 r. PZPN, którego pierwszym prezesem został właśnie jej małżonek, powołany wkrótce potem na stanowisko dyrektora Głównego Urzędu Kultury Fizycznej.

Była pani Zofia przez te długie dziesięciolecia najbliższym współpracownikiem, wręcz sekretarką swego męża. Poświęciła się idei jego życia z wyjątkowym oddaniem — czuwała nad domowym warsztatem pracy i spokojem życia Tadeusza Kuchara, śledząc nad jego notatkami, przepisywała prace, zgłaszała swe uwagi i sugestie. I nieraz podczas zwykłych rodzinnych rozmów wykluwały się projekty inwestycji, które potem powstawały pod osobistym nadzorem jej małżonka — Stadion X-lecia, stadion śląski, Torwar, hala w Rudzie Śląskiej-Orzegowie i wiele innych...

Jeszcze przed kilkoma tygodniami pani Zofia służyła nam radą i pomocą, a przede wszystkim fenomenalną, faktograficzną pamięcią w odtwarzaniu dziejów polskiego sportu. Zasużyła się tym ogromnie: czekała na książkę, której jest niemal współautorką...

Odszedł od nas świadek wspaniałej epoki. Człowiek nieprzeciętnych zalet charakteru i ducha.

Obrona Lwowa

Pięciu braci Kucharów (oprócz będącego jeszcze dzieckiem Zbigniewa) brało udział w obronie Lwowa od listopada 1918 r. do końca 1920 r. — zawsze z wielkim zaangażowaniem w walkach.

Tadeusz — kapitan, dowódca V baterii (którą uruchomił ze starych wraków austriackich), następnie dowódca dywizjonu w IV pułku artylerii polowej, adiutant taktyczny grupy artylerii.

Karol — pracownik szeregowy Milicji Obywatelskiej w dzielnicy VI (rejon dworca).

Władysław — porucznik 12 pułku artylerii polowej.

Wacław podporucznik w artylerii na różnych odcinkach.

Mieczysław — kanonier młodociany amunicji „Orle Lwowskie”, uczeń.

Wszyscy byli odznaczeni Krzyżem Obrony Lwowa i in. (jak już podano).

Ludwika Kucharowa włączyła się również do niesienia pomocy polskim obrońcom miasta, udostępniając im swój dom, gdzie w razie potrzeby byli opatrywani, karmieni i otaczani serdeczną opieką. Dom Kucharów znajdował się tuż przy szkole Sienkiewicza, gdzie znajdował się jeden z pierwszych polskich punktów dowodzenia.

MIEJSCA SPOCZYNKU CZŁONKÓW RODZINY KUCHARÓW

Ludwik Kuchar (1865–1917) Cmentarz Łyczakowski — Lwów

Ludwika Kuchar (1870–1928) Cmentarz Łyczakowski — Lwów

Tadeusz Kuchar (1891–1966) Cmentarz Powązkowski — Warszawa

Karol Kuchar (1892–1960) cmentarz w Elblągu

Władysław Kuchar (1895–1983) Cmentarz Północny — Warszawa

Wacław Kuchar (1897–1981) Cmentarz Powązkowski — Warszawa

Kazimiera Kuchar (1899–1981) Cmentarz Północny — Warszawa

Mieczysław Kuchar (1902–1939) cmentarz Obrońców Lwowa — Lwów

Zbigniew Kuchar (1906–1945) zginął na Ziemiach Zachodnich (por. LWP).

Sakralny salon Stanisławowa

Czasem używało się określenia, że kościół Dominikanów ze względu na swoją architekturę i wyposażenie wnętrza jest salonem Lwowa. Podobnie można by powiedzieć, że sakralnym salonem Stanisławowa był kościół ormiański Niepokalanego Poczęcia NMP, położony w pobliżu rynku miejskiego. Spomiędzy wszystkich sześciu kościołów w Stanisławowie posiadał on najbardziej estetyczne, niemal salonowe wnętrze. Przyciągał swoim pięknem nie tylko wiernych obrządku ormiańskiego, ale również łańcuchowski. Szczególnie lubiła go miejscowa inteligencja polska i przeważnie ona stale do niego uczęszczała. „Chodziła do Ormian” – jak powszechnie mawiano.

Świątynia ta w znacznej mierze zawdzięczała swoje powstanie hetmanowi wielkiemu koronnemu, Józefowi Potockiemu, właścicielowi Stanisławowa. Jej budowa trwała od 1743 do 1762 r. Rozmaite kataklizmy, pożary i wojny niszczące Stanisławów, Gród Maryi – jak go nazwał hetman – nie ominęły kościoła ormiańskiego. Do ostatniej, gruntownej jego renowacji przystąpił niezapomniany ks. Franciszek Komusiewicz, mianowany proboszczem w 1919 r. Odnawianie, upiększanie świątyni trwało do 1937 r. Rezultat tych prac był godny podziwu.

Przeszedłszy jedyną bramę wejściową znajdującą się pomiędzy dwiema wieżami, widziało się pełne doskonałych proporcji barokowe wnętrze z nawą i dwoma bocznymi rzędami ołtarzowych kaplic. Jednolitość stylu, brak jakiegokolwiek tandety, właściwe oświetlenie wywoływały wyjątkowe, estetyczne przeżycie. Monumentalny charakter nadawały kościołowi liczne, smukłe kolumny z jońskimi kapitelami podtrzymujące architrav z fryzem, biegnący



Kościół ormiański
w Stanisławowie



CUDOWNY OBRAZ
NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNY ŁASKAWEJ
W STANISŁAWOWIE

wokół kościoła. Sklepienie pokrywały barwne freski z biblijnymi scenami pędzla Jana Szeleckiego, we wgłębieniach ogromnych podstaw kolumn widniały mniejsze obrazy, wszystkie utrzymane w kolorze sepii. Artystycznie bardzo udane rzeźby archaniołów, apostołów, świętych dopełniały bogatego wyposażenia kościelnego wnętrza, zaliczano je do najpiękniejszych, jakie powstały w naszym kraju w XVIII w. Ambona wykonana była, co się rzadko zdarza, z ąžurowanego, srebrzystego metalu, który kontrastował z osłaniającą go od wewnątrz barwną tkaniną. Na marmurowej posadzce, po obydwu stronach głównego przejścia, stały ciemne, dębowe ławki z rzeźbionymi ornamentami.

Największym skarbem kościoła był obraz Matki Bożej Łaskawej, kopia Jasnogórskiej, sporządzona dla mieszczanina stanisławowskiego – Doniga, a w 1700 r. ofiarowana przez niego kościołowi ormiańskiemu. W XVIII w., gdy obraz zaczął słynąć łaskami, ozdobiono go srebrnymi sukienkami i złożonymi koronami i umieszczono w głównym ołtarzu, nad którym wisiał okrągły wizerunek Boga Ojca w okazałych barokowych ramach.

W 1937 r., 30 maja, w ostatnią niedzielę miesiąca, dzięki długotrwałym i żmudnym wysiłkom ks. Komusiewicza nastąpiła uroczysta koronacja obrazu papieskimi koronami. Już wcześniej obraz był znany w całej Polsce, bo ks. Komusiewicz, proboszcz parafii, która nie miała dosłownie żadnego uposażenia, a wiernych własnego obrządku niewielu, zwracał się listownie i za pośrednictwem prasy do wszystkich czcicieli Matki Bożej w naszym kraju, prosząc o ofiary na godne przyozdobienie kościoła i ufundowanie koron. Każdy ofiarodawca otrzymywał ułożoną przez niego książeczkę do nabożeństwa. Dzięki datkom dziesiątków tysięcy ludzi ks. Komusiewiczowi udało się przeprowadzić zaplanowane prace. Wielkie afisze rozlepione w znaczniejszych miastach informowały o koronacji i zapraszały na nią. PKP uruchomiły specjalne pociągi pielgrzymkowe zdążające do Stanisławowa, pątnicy przybywali też innymi środkami lokomocji, nie brakło też pieszych kompanii.

Uroczystość koronacji na błoniach podmiejskich połączono z jubileuszem 50-lecia kapłaństwa metropolity lwowskiego obrządku ormiańskiego, ks. Józefa Teodorowicza, wielkiego patrioty i wybitnego członka polskiego episkopatu, co spowodowało do Stanisławowa niemal wszystkich biskupów i reprezentantów najwyższych władz państwowych i wojskowych. Była to najokazalsza koronacja obrazu Matki Bożej w okresie międzywojennym, która na zawsze pozostała w żywej pamięci jej uczestników, a nałożone na obraz barokowe korony, jak i nowe sukienki stanowiły przykład pracy złotniczej najwyższej rangi.

Z okazji ukoronowania cudownego obrazu na ścianach prezbiterium kościoła, nawy, kaplic zawisły liczne, oszklone witryny w złożonych ramach zawierające wiele wotów, które dotąd przechowywano w skarbcu. Te lśniące witryny dodawały nowego splendoru przepięknej stanisławowskiej świątyni. Niestety, niezwykle zasłużony i powszechnie szanowany ks. Komusiewicz nie doczekał samego wyjątkowego aktu koronacji. Zmarł na krótko przed nim. Jego następcą został ks. Leon Isakowicz, który przejął też obowiązki kustosa sanktuarium maryjnego.

Chociaż wspomniana koronacja stanowiła szczyt nabożeństw w kościele ormiańskim, nie może ona zatrzeć wielu innych tam odbywanych, cieszących się zawsze dużą frekwencją, np. majowe, czerwcowe, różańcowe, wielkopostne, przeprowadzane zawsze bardzo dokładnie i pobożnie. Szczególnie przyciągał stanisławowian Grób Boży urządzany w Wielki Piątek, nieodmiennie w pierwszej od ołtarza kaplicy po prawej stronie, w której widniał cenny i piękny obraz Matki Bożej trzymającej w ręce kwiat, tzw. Trynitarz, bo został przeniesiony tutaj z nie istniejącego już kościoła Trynitarzy. Różnił się ten Boży Grób od innych w Stanisławowie tym, że wśród zgromadzonych palm wytryskiwała fontanna, a modlitwom wiernych towarzyszył śpiew niewidocznych kanarków.

Po zakończeniu II wojny światowej wyjątkowo piękny kościół ormiański w Stanisławowie podzielił los innych świątyń tego miasta. Został zamieniony na magazyn, a później na muzeum ateizmu. Niepowtarzalne dzieła sztuki zostały zniszczone lub usunięte, część fresków zamalowano. Wcześniej wysiedlono księży opiekujących się sanktuarium. Zabrali oni ze sobą przede wszystkim ukoronowany obraz Matki Bożej Łaskawej i cenniejsze przedmioty. Ostateczne schronienie znalazł obraz w kościele św. św. Piotra i Pawła w Gdańsku, gdzie czuwa nad nim ks. Kazimierz Filipiak, duszpasterz Ormian polskich, dawny wikary stanisławowski. Pielgrzymują do Łaskawej Pani jej czciciele z bliska i daleka, smucąc się jednak, że na obrazie brak kosztownych koron i sukienek, które fundowała cała Polska; zastępują je te dawne, sprzed koronacji.

Od muzeum ateizmu kościół ormiański w Stanisławowie przejęli w 1990 r. prawosławni, zmuszeni do opuszczenia katedry greckokatolickiej. Ściany i wieże pomalowano teraz (bez smaku) na niebiesko, wewnątrz zarzucono licznymi wyszywanymi kolorowo płótnami, oleodrukami, stojakami, świecznikami i wszelkiego rodzaju tandetą skutecznie zaśmiecającą wspaniałość architektury. Jak przysłowiowym gwoździem do trumny, przybito ją koszmar-nym żelaznym piecem ustawionym po lewej stronie kościoła, którego okropna, długa rura ma wylot w wysoko umieszczonym oknie.

Tylko na zewnątrz, pomijając fatalne malowanie, świątynia pozostała taka, jak dawniej. Pamiątką po ponad dwuwiekowej bytności w niej obrazu M.B. Łaskawej jest jego metalowa po-złacana podobizna umieszczona między dwiema wieżami jeszcze w XIX w.

I już nie jest, niestety, kościół ormiański sakralnym salonem w najbliższym Iwano-Frankowsku, tak różnym od polskiego Stanisławowa.

KOMUNIKAT

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi – Instytut Pamięci Narodowej prowadzi śledztwa w sprawie masowych zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy stalinowskiego aparatu terroru w czerwcu-lipcu 1941 r. na obywatelach polskich osadzonych w więzieniach w:

- Pińsku i Sarnach – woj. poleskie,
- Dubnie, Łucku i Włodzimierzu Wołyńskim – woj. wołyńskie,
- Czortkowie, Kamionce Strumiłowej, Tarnopolu i Złoczowie – woj. tarnopolskie,
- Stanisławowie, Stryju i Nadwórnej – woj. stanisławowskie,
- Borysławiu, Dobromilu, Drohobycz, Samborze i Żółkwi – woj. lwowskie,
- w więzieniach lwowskich mieszczących się przy ulicach Kazimierzowskiej (Brygidki), Zamarstynowskiej i Łackiego oraz w Berdyczowie na Ukrainie.

Świadkowie tych i innych zbrodni NKWD popełnionych na obywatelach polskich w czerwcu-lipcu 1941 r. oraz członkowie rodzin zamordowanych proszeni są o kontakt osobisty, pisemny lub telefoniczny z Okręgową Komisją w Łodzi, ul. Piotrkowska 149, tel. 36-70-79.

ROMANA GRUBER-ZYCHOWA

Nieznany Żołnierz

Możesz Ty innym nieznany
ale nie nam
Żołnierz spod kolumnady
gdzie leżysz tyle lat.

To nic, że Twoje nazwisko
nieznane nikomu na świecie...
My znamy pobojo-wisko
odważnych, szalonych dzieci.

I wiemy o co się biłeś
I kto do Ciebie strzelał
(niedawno wieniec Ci przyniósł
w asyście cudzoziemski generał)

Cóż Ci po zniczu i kwiatach
i po warszawskim tłumie;
na końcu świata
jest dom Twój
i miejsce po Twojej trumnie.

Wiem – nocą porzucasz granit
w zniczach cały i różach
– by błędzić po trawą zarosłych
ruinach Łyczakowskiego Wzgórza.

JAN STANISŁAW DOLIWA-DOBRUCKI
doktor medycyny weterynaryjnej,
ur. 10 września 1921, Czortków (woj. Tarnopol); żonaty

1939 — absolwent Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego w Czortkowie. W tym samym roku ochotnicza służba w centrali telefon. PKP, węzeł Czortków. 1940–1941 — prac. biblioteki miejskiej. 1941–1944 — prac. warsztatów kolejowych, łącznik AK w Czortkowie (częste wyjazdy do Lwowa). 1944 — przydzielony do orkiestry wojskowej, 1945 — wcielony do kompanii wartowniczych Ministerstwa Obrony, stacjonowany w Nysie. 1945 — zdembolizowany (chorąży WP). 1951 — absolwent Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Wrocławskiego. Nakaz pracy: terenowa służba weterynaryjna, nadzór nad PGR, Słupsk. 1952 — powołany do Oficerskiej Szkoły Weterynaryjnej i promowany do stopnia porucznika rezerwy WP. 1957 — opuszcza Polskę, przez 6 miesięcy przebywając w Austrii jest asystentem w Wiedeńskiej Wyższej Szkole Weterynaryjnej.

Od 1958 w Kanadzie. 1958 — asystent w szpitalu dla zwierząt w Toronto. 1959 — prac. Oddziału Chirurgii Eksperymentalnej Instytutu Bantinga. 1960 — dyplom doktora medycyny weterynaryjnej Uniwersytetu w Guelph. 1960–1961 — inspektor Federalnych Zakładów Mięsnych, Federalna Służba Weterynaryjna. 1962–1965 — inspektor zwalczania gruźlicy, wścieklizny i innych zakaźnych chorób w rejonie Athabaski, Edmonton i Północno-Zachodnich Terytoriów. 1966 — wyjazd do USA, Wydział Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis. 1967 — asystent profesora Raymonda Bańkowskiego, Katedra Epidemiologii, praca magisterska nad wirusem zakaźnym „bi-lateral respiratory” u ptaków i ludzi. 1967–1968 — starszy asystent w lecznicy dla zwierząt w San Diego. 1969–1979 — prowadzi własną lecznicę dla zwierząt w Mississauga. 1979–1986 — starszy inspektor służby weterynaryjnej Ontarijskiego Ministerstwa Rolnictwa. 1986 — przechodzi na emeryturę. 1986–1992 — doradca i inspektor weterynaryjny w przetwórci konserw dla małych zwierząt, nadzór nad eksportem do Japonii. Odniesiony pamiątkowym medalem Stulecia Polskiej Nauki Weterynaryjnej Uczelni we Lwowie i Wrocławiu oraz Złotą Odznaką Polskiego Zrzeszenia Lekarzy i Techników Weterynaryjnych. Członek Klubu Jeździeckiego i Komisji Sędziowskiej, nadzorujący liczne zawody konne. Tłumacz artykułów weterynaryjnych publikowanych w polskim miesięczniku „Życie Weterynaryjne”. Włada kilkoma językami. Autor wspomnień emitowanych w Polskim Radiu Warszawa i w programie radia Sydney w Australii. Herb Doliwa nadano rodowi Dobruckich po Unii Lubelskiej w 1569. Dziadek, Antoni Dobrucki — szlachcic (*Nobile Agricola*), uczestnik powstania styczniowego. Ojciec, Andrzej — starszy asesor Polskich Kolei Państwowych. Matka, półkrewi Austriaczka, z domu Von Mattern. Rodzice pośmiertnie odznaczeni Najwyższym Cywilnym Orderem Izraela za uratowanie ludzkiego życia. Siostra dokonuje odsłonięcia Pamiątkowej Tablicy w Muzeum Martyrologii w Jerozolimie (1984).

Sposób spędzania wolnego czasu: konstrukcja szopek krakowskich, nagrywanie wspomnień z podróży, czytanie i pisanie poezji. Hobby: heraldyka, teatr.

Dom, praca: Stouffville, Ontario.

JAN STANISŁAW DOLIWA-DOBRUCKI

Studenckie wspomnienia z lat 1945–1951

Kiedy pierwszy raz przejeżdżałem przez Wrocław wojskową ciężarówką miasto wyglądało strasznie. Ze zgłiszcz powalonych kamienic unosił się dym, w powietrzu czuć było odór z rozkładających się trupów. W wielu miejscach ulice były zatarasowane betonowymi zaporami przeciwczołgowymi, trzeba więc było zawracać i szukać innego przejazdu. Tylko gdzieś widać było ludzi rozmawiających po niemiecku i przeszukujących gruz. Całość sprawiała smutne wrażenie dużego cmentarzyska.

W kilka miesięcy później miasto miało już zupełnie inny charakter — polski, a dokładniej lwowski. Wprawdzie gruzy były takie same, ale ludzie zaciągali lwowskim akcentem i gdyby nie straszna dekoracja zburzonych domów miałoby się wrażenie, że jest się we Lwowie. Ten Lwów, który tak uwielbiałem, przybył na zachód i rozgościł się w dawnym historycznym Wrocławiu.

Blżej zetknąłem się ze Lwowem, gdy jednego dnia udałem się do dziekanatu Wydziału Weterynaryjnego Uniwersytetu Wrocławskiego w starym pięknym i nawet nie zniszczonym budynku. Tu sekretarz dawnej Lwowskiej Akademii Weterynaryjnej pan Jasio Szymański zarejestrował mnie na pierwszy rok studiów. W salach i na korytarzach słychać było wesoły lwowski „bałak”, głośne i serdeczne powitania spotykających się kresowiaków.

Kilka tygodni potem stałem wypreżony w sali wykładowej na powitanie pierwszego mego wykładowcy anatomii prof. Antoniego Banta. Od starszych kolegów, którzy rozpoczęli studia jeszcze we Lwowie, ale nie mieli zdanych egzaminów, słuchaliśmy opowieści o groźnych nawykach niektórych profesorów. Jednym z nich był



właśnie profesor Bant. Niskiego wzrostu, chudy o kościastej twarzy, monotonnym głosem wykladał nam anatomię zwierząt, przy czym całkiem artystycznie rysował opisywany detal na dużej tablicy. Krążyły o nim opowieści, że we Lwowie za nieznaną jakiegoś drobnego szczegółu, odstawiał studenta do następnego egzaminu za kilka miesięcy i byli tacy, którzy ten ogromny materiał zdawali po kilkanaście razy. Wystarczyło na niego popatrzeć, aby doznawać strachu. Spokojna i raczej smutna twarz i ostro patrzące oczy. Literę „s”, wymawiał jak „sz”, przy czym prawie nie poruszał wargami, cedząc słowa przez zęby. Nigdy się nie unosił, ani nie denerwował. Gdy stwierdzał, że student nie jest na 100% przygotowany, oddawał indeks, oznajmiając spokojnie: „pan student przyjdzie do mnie za dwa tygodnie”, i wychodził z pokoju. Ale ci sami starzy wiarusi zauważyli, że „Bancio”, jak go nazywaliśmy, bardzo się od czasów lwowskich zmienił. Zmiękł, uciął i złagodniał. Zniknęła bezwzględna srogość, stał się bardziej cierpliwy i wyrozumiały — starsi koledzy się dziwili. A może dlatego, że i studenci byli inni? Wielu jeszcze w wojskowych mundurach, zdembolizowani, wymęczeni — z partyzantki, z lasów, z więzień i obozów, z palących się wsi podolskich i wołyńskich. Wielu „sentimentalnych Wilniaków”, no i cały młody romantyczny Lwów, który chciał rozpocząć nowe życie i oddać swe wykształcenie odradzającej się Polsce.

Starsi koledzy lwowiacy zorganizowali tzw. Straż Akademicką. W dzień usuwaliśmy gruz z powalonych budynków, w nocy pilnowaliśmy laboratoriów, do których włamywali się szabrownicy, szukając spirytusu lub rabując mikroskop czy inny sprzęt, który następnie sprzedawali na którymś z rynków. Plac Grunwaldzki, który służył armii niemieckiej jako polowe lotnisko, zamienił się w olbrzymi plac targowy. Gdy tramwaj zatrzymywał się przy tym placu, lwowski konduktor z humorem ogłaszał: „Wyższa Szkoła Handlowa”, przesiadka do dwójki ...

Inną równie ważną postacią wzbudzającą wielki respekt była osoba Jego Magnificencji Rektora Zygmunta Markowskiego, zwanego z nabożeństwem „Cesarzem”. Osoba legendarna ze Lwowa, postać jakby żywcem wzięta z wiedeńskiej operetki. Był przystojnym panem okazałej tuszy, zawsze nienagannie ubrany z białą chusteczką w butonierce i kwiatuśkiem w klapie marynarki. Do kompletu dochodził fasonowy elegancki kapelusz, mocno przechylony na prawe ucho. Okazały czarny, dobrze podkreślony wąs dodawał tej jowialnej twarzy powagi czy nawet srogości.

Nie chodził, jakby to można normalnie określić. Mimo skończonej siedemdziesiątki, maszerował sprężysto, oddając ukłony studentów, podnosząc nieodstępną laskę ze srebrną gałką do kapelusza, jak to czyni marszałek swoją buławą. Gdy go mijali studentki, nierzadko Cesarz przystawał, robił zwrot o 180 stopni oceniając je fachowo od tyłu. Na znak aprobaty pokręcał głową i maszerował dalej. Na temat romantycznych przygód Jego Magnificencji krążyły wprost niewiarygodne legendy i anegdoty.

Kiedy poznaliśmy na sobie jego poczucie humoru, nie mieliśmy wątpliwości, że mógł być bohaterem humorystycznych sytuacji czy romantycznych przygód — bo fantazję Jego Magnificencja miał wspaniałą i często nas swoimi uwagami serdecznie ubawiał. Był jednak wymagający i ponad wszystko przestrzegający elegancji ze strony studenta w zachowaniu i wysławianiu się, co — stara szkoła jeszcze z czasów monarchii austro-węgierskiej, przeniesiona do polskiego Lwowa.

Przy końcu każdego semestru Cesarz podpisywał nam indeksy. Była to godzina pełna humoru i śmiechu, a Cesarz bawił się razem z nami. Kiedy student stawał przed nim i podawał indeks, Cesarz otwierał go i sprawdzał pierwszą stronę, na której było nazwisko, data i miejsce urodzenia oraz fotografia.

Cesarz radośnie zauważał: „Aaa... pan konsyliarz (tak się do nas zwracał) ze Lwowa..., a z której ulicy? Aaa, to pan z tych batiarów..., a jak pan trafił na weterynarię? Nie dawał studentowi odpowiedzieć. On kochał lwowiaków i bez dalszych pytań podpisywał indeks. Gorzej było z kolegami, którzy pochodzili np. z poznańskiego czy Pomorza. „A czemu pan konsyliarz uparł się studiować we Wrocławiu? Przecież Warszawa bliżej? Ja jakoś pana nie przypominam sobie z moich wykładów...” Zrozpaczony student tłumaczył się, że jego ojciec został przydzielony do dyrekcji kolejowej we Wrocławiu. „Aaa, to ojczulek pana konsyliarza pracuje w samej dyrekcji, no to ma znajomości i poparcie, pan będzie mógł otworzyć sobie kiosk na dworcu kolejowym, nie męczyć siebie i mnie zawiłą medycyną weterynaryjną”. Student, bywało, otrzymywał indeks nie podpisany, ale za tydzień stawał znowu przed Cesarzem. Wtedy stawał się „cud”. Cesarz spojrzał na delikwenta i radośnie zauważał: „Aaa, tak, pan chodził na moje wykłady”. Zamaszyście podpisywał indeks i z uśmiechem oddawał studentowi jakby zadowolony, że mógł się z nim zabawić ku naszej radości.

Kiedy przed prof. Markowskim stanął sprężyste w oficerskich butach kolega o tatarskim nazwisku Murza Murzewicz, Cesarz wstał, podał studentowi rękę i przedstawił się: „Markowski jestem. Aaa, Murza-Murzewicz... ciekawe..., a skąd?”

Nasz Murza tłumaczył Cesarzowi beczelnie kłamiąc, że jego ojciec miał duży majątek w Nowogródzkiem i hodował konie-rementa dla wojska. No tak, zauważył Cesarz: „Murza-Murzewicz, historyczne nazwisko, kawaleria, polskie koniki. A co pan teraz porabia?” — nagle spytał. „Nie chce się pan dalej bawić konikami? Uparł się pan na weterynarię? A czy był pan kiedyś we Lwowie?” Murzewicz przyznał się, że niestety nie zna Lwowa. „Aaaa..., to pan niewiele wie, ale po dziesięciu latach na weterynarii to się pan wyrobi, tylko musi pan być cierpliwy. Jeszcze się spotkamy” — dodał oddając Murzie nie podpisany indeks. Sala zarykiwała się ze śmiechu, a Cesarz był zadowolony, że znów ubawił się następnym delikwentem. Przy końcu któregoś wykładu Murza podszedł do profesora z indeksem. „Aaa... hrabia Murzewicz, byłbym zapomniiał..., dobrze, że mi pan przypomniał. Naturalnie, panu podpiszę bez wahania. To jednak pan chce zostać lekarzem weterynarii? To bardzo pięknie z pana strony i konie też będą pana lubiły...” Murza trzasnął obcasami i zapewnił Jego Magnificencję, że wstydu wrocławskiej weterynarii nie zrobi. Sława i legenda o Cesarzu rozchodziła się po Wrocławiu, w czym on sam sobie wielce pomagał, szczególnie wśród dawnych lwowskich tramwajarzy pracujących teraz na odbudowujących się liniach w polskim mieście.

Linia nr 2 przepełniona była zwykle studentami medycyny, rolnictwa, weterynarii i sąsiedniej politechniki. Tą linią dojeżdżał także nasz Cesarz. Gdy wchodził do tramwaju, konduktor głośno zapowiadał w głąb wozu: „Proszę wstać. Jego Magnificencja Pan Ryktor wsiada...”! Studenci już go znając szybko wstawali nie wiedząc, które miejsce Cesarz sobie wybierze. Często siadał obok jakiejś studentki i wtedy reszta też spokojnie siadała. Gdy na następnym przystanku wsiadały studentki, to „szturkał” swoją laską najbliższego studenta, rozkazując: „Wstań byczku, zrób pani miejsce”. Tak we Lwowie zawsze było.

Była piękna wiosna i kwitły kasztany... Nasz czwarty rok miał zajęcia praktyczne, ale nie w stajni, tylko na podwórze,

w cieniu drzew. Na miękkim fotelu sadowił się Cesarz, a dwaj asystenci w białych kitlach stali po obu stronach fotela. Tłum studentów ustawiał się półkołem, w środku stał repatriant z Wilna z krowiną.

Cesarz wskazał na „jednego konsyliarza”, aby rozpoczął badanie. Gdy doszło do pytania, czym ta krowina jest karmiona, właściciel śpiewnym akcentem wyjaśniał: „Ja karmiwszy moja krowka pomyjkami z kuchni wojskowa z ruskich koszar, obok niedaleko”. Tu Cesarz podniósł „świętą dłoń” na znak wstrzymania dalszego badania. Nastała chwila ciszy. „Proszę panów konsyliarzy wystawić sobie, że Rosjanie karmią nas pomyjkami” — oznajmił poważnie Cesarz. Cały nasz rok, a była nas prawie setka, ryknął zdrowym głośnym śmiechem. Cesarz miłościwie uśmiechnął się zadowolony z wywołanego efektu i przekazał dalsze badanie jednemu z asystentów.

Kiedy profesor Markowski „kochany Mundzio”, bo miał na imię Zygmunt, nasz Cesarz zasnął w Panu w 1951 roku, Wrocław był świadkiem nie tylko pogrzebu, ale jakby manifestacji godnej królewskiego majestatu. Tramwaje stanęły, tramwajarze z odkrytymi głowami żegnali swojego lwowskiego „Ryktora” dawnej legendarnej Akademii Weterynarii we Lwowie. Rolnictwo, Politechnika, cały Uniwersytet z Weterynarią na czele odprowadzały naszego Cesarza na wieczny odpoczynek. Odszedł jeden z ostatnich wielkich lwowian, legendarna postać niemalże historyczna, bo związana z historią polskiej nauki weterynaryjnej. *Arbiter elegantiarum* nie dlatego, że nosił motylka zamiast krawatu, ale że był rycerski i elegancki tak w zachowaniu, jak w wyrażaniu się.

W innym stylu, lecz także znakomitą postacią ze Lwowa był profesor Aleksander Zakrzewski z Katedry Anatomii Patologicznej. Pochodził on ze znanej rodziny lekarskiej we Lwowie. Nazywaliśmy go popularnie „Oleśkiem” albo już poważniej „Aleksandrem Wielkim”, bo też do swego rodzaju wielkości godnie mógł się zaliczać nie tylko ze względu na bogactwo wiedzy (bo posiadał kilka doktoratów), ale także ze swych interesujących i pięknych wykładów był bardzo znany, i nie tylko wśród polskich naukowców, ale i zagranicznych. Jakkolwiek anatomia patologiczna należała chyba do najcięższych i najważniejszych dyscyplin, to jednak sala, w której prowadził wykład Oleśko, była zawsze wypełniona po brzegi. Nie było studenta, który by odważył się opuścić jego wykład nie tylko dlatego, że nie mógłby nadrobić materiału ze skryptów, których wówczas jeszcze nie było, ale dla samej przyjemności słuchania profesora. Wykłady były urozmaicone różnymi anegdotami, żartami i osobistymi humorystycznymi wspomnieniami profesora z czasów austriackiego i polskiego Lwowa.

Ciętym humorem profesor nieraz nas zaskoczył i rozweselił. Pamiętam wykład o nowotworach. Profesor tłumaczył, gdzie u poszczególnych zwierząt najczęściej one występują. I tak np. u świń najczęściej występują na podgardlu z wiadomego powodu: świnię chcąc wybrać resztki pokarmu z dna koryta, wyciągają szyję, trąc podgardlem o brzeg koryta. Stale podrażniana skóra i mięśnie podgardla wywołują z czasem reakcję w postaci zmian patologicznych, którymi są właśnie nowotwory. W ciszy notowaliśmy słowa profesora. Nagle, po malej przerwie, dodał poważnie — „Ale, jak państwo możecie naocznie zauważyć, w dzisiejszych czasach nie wszystkie świnię, które pchają się do koryta, nabawiają się chorób nowotworowych”. Setka ludzkich gardel ryknęła serdecznym śmiechem. Była to jakże dowcipna i trafna aluzja do politycznej sytuacji roku 1949 i dalszych. Wykład ten komentowano nie tylko na weterynarii, ale w całym środowisku uniwersyteckim Wrocławia. To był lwowski humor: inteligentny, odważny, satyryczny i jakże trafny.

My kresowiacy byliśmy dumni z naszych lwowskich profesorów nie tylko zresztą na weterynarii, bo inne fakultety były również obsadzone lwowiakami. Tej starej szkole nikt dorównać nie mógł.

Chciałbym tu jeszcze złożyć hołd pamięci innym profesorom ze Lwowa. Należeli do nich: prof. prof. Poluszyński, Janowski, Sembratowa, Klisiecki, Szczudłowski, Olbrycht, Skurski, Senze, Ogielski, Płazek i Szwabowicz. Warto też wspomnieć ówczesnych asystentów, jak: Radek, Leśniak, Baran, Gancarz, Jara, Patyk,

Sobiech, Koprowski, Lipanowicz, Larski, Myczkowski, Eliasiewicz, Madej, Kuprowski, Lachowicz, Martynowicz, Janowski, Żarowski, Załucki, Dorosz, Sobociński, Saperski, Maciejewski, Śliwa i inni.

Czy odczuwało się Lwów poza uniwersytetem? „O tak, jeszcze jak”!

Nas studentów z weterynarii można było poznać po czapkach: ciemnoburaczkowa góra z wąską zieloną otoczką, no i po naszym wschodnim „bałaku”. Poznawali nas więc wrocławscy dawni lwowscy tramwajarze. Z uśmiechem przechodzili w tramwaju obok nas nie pytając o bilet i nierzadko przymrużając oko na znak milczącej przyjaźni.

AKTUALNOŚCI

DANUTA SKALSKA

„Tylko wy Lwowi”... z „Pacalychą”

Mówi się, że kiedy w 1945 roku szły transporty lwowiaków na Górny Śląsk, to „łyty i paniagi” wysiadły w Gliwicach, a cała batiarnia w Bytomiu. Coś w tym musi być, bo skąd w takim razie wzięłaby się właśnie w Bytomiu „Pacalycha”? A na „pacalyszych batiarusów” wystarczy tylko popatrzeć: jeden w jednego jakby żywcem przeniesieni prosto z górnego Łyczakowa. Ta hebra z lwowskiego przedmieścia niczego nie udaje. W tym, co robi, jak mówi, tańczy i śpiewa jest po prostu sobą: nie zafałszowanym kawalkiem tamtego Lwowa.

Pani Halina Dzieduszycka, reżyser wielu spektakli z Lwowem w tytule, powiedziała, że „Pacalycha” ma niejako dane od natury to, co tak trudno wydobyć z zawodowych aktorów usiłujących grać „po lwowsku”. Tym „czymś” jest autentyczność, naturalność, spontaniczność. Bo „Pacalycha” jest zwyczajna. Nie śpiewa „belkantem” i nie sili się na stylizowane taneczne „pas”. Po co miałaby to robić, jeśli na przedmieściu tańczyło się zwyczajnie, choć „z fasonem” i zwyczajnie, lecz „z czuciem” — śpiewało.

Jak udało mi się zebrać tę „pacalyszną” hebrę „cuzamen do kupy”? Wyznaczona (trochę przez protekcję, bo mąż był w Zarządzie Oddziału) na „działacza od kultury” — działać, tzn. szukać ludzi, zaczęłam od razu. Poważni panowie z Zarządu mitygowali mnie: „coś ty taka w gorącej wodzie kąpana? Poczekaj, będzie klub, a jak zacznie przychodzić swoja wiara, zorientujesz się, co kto potrafi i wtedy...”. Kąpana w gorącej wodzie wiedziałam swoje i zanim klub uroczyście otwarto, „Pacalycha” dała premierę swego pierwszego programu, do tego czasu ćwicząc „po chałupach”.

A aktorzy i muzycy, bez których nie zrobiłabym przecież niczego?

Dziś wierzyć się nie chce, że ci zapaleńcy poświęcający dla „Pacalychy” każdą wolną chwilę, wcale nie chcieli występować. Każdy mówił: „coś ty, ja już jestem za stary na to, żeby się wygłupiać”. Tłumaczyłam im po kolei, jak dzieciom, że jesteśmy ostatnim pokoleniem, które jeszcze zdążyło urodzić się we Lwowie, więc jeżeli nie my — to kto, i jeżeli nie teraz — to kiedy? I dodawałam chytrze: a twoja Mamcia, to nie chciałaby jeszcze zobaczyć i posłuchać, jak się kiedyś we Lwowie śpiewało? A na koniec wytaczałam najcięższą armatę, że „urodzony we Lwowie”, to nie tylko zaszczyt, ale przede wszystkim — obowiązek.

No i nie na darmo mówią, że gdzie diabeł nie może...

Na „ciuchrajce” zgodził się grać Tajku Udała (w cywilu dyrektor kopalni). Szczepkiem został Ryśku Mosingiewicz, Józkiem — Bogdan Kasprówicz (obaj prawnicy). Franką zgodziła się być Wandzia Ferdynus, moja koleżanka z dziecięcego teatryku, w cywilu — pielęgniarka. Do roli Tońka przekonałam mojego syna Maćka, wtedy jeszcze ucznia technikum. Do dziś nie wiem, skąd miałam odwagę, by pójść do całkiem obcego mi człowieka, o którym wiedziałam, że grał w filmie, i powiedzieć mu: Panie, pan

W urzędach także poznawało się kresowiaków po ich wschodnim akcencie, serdeczności i humorze. Kresowiaczy poznawali się wzajemnie szybko, odgradzając się ostrożnie od „nie swoich”. Lwowiacy zachowali swoją tradycję, a także wiarę i nadzieję, że jeśli przetrwali okupację radziecką, hitlerowską, to także przetrwają reżym Bieruta i innych zbrodniarzy powojennych.

No i doczekaliśmy się!

O Lwowie i Lwowskich Orłętach nie zapomnimy i młode pokolenie z rodziców kresowiaków nadal tę pamięć będzie pielęgnować, to prawda. „Ta pewni ży prawda, bo Lwów bendzi zawsze *semper fidelis* dla nas, a my dla Niegu”!!!

„by mi się nadał” do kabaretu! Trochę się dziwił, że to kabaret, którego jeszcze nie ma, ale przyszedł. W ten oto sposób Tajku Chrostek, z zawodu iluzjonista, został moim scenicznym narzeczonym.

Uparłam się, że w „Pacalysze” muszą być Szczepku i Tońku. Choć przekonywano mnie, że byli oni wydaniem jednorazowym i że teraz niech może będzie np. Niuśku i Miśku, mówiłam: nie, Tońku i Szczepku są symbolem naszego lwowskiego trwania i oni muszą być.

Czy miałam rację?

Na jednym z występów, kiedy przedstawiałam wchodzącą właśnie część zespołu: o, idzie Tajku, Józku, Jurciu..., ktoś z sali zawołał: „A gdzie Tońku i Szczepku?” Publiczność, jak widać, sama się o Tońka i Szczepka upominała.

Na początek chcieliśmy „zrobić” parę piosenek i połączyć je prelekcją Janusza Wasylkowskiego „Piosenki lwowskiej ulicy”. Jako osoba z natury pyskata, nie wyobrażałam sobie, żeby wejść na scenę i nie powiedzieć. Ułożyłam więc dla siebie (za pomocą słownika pani prof. Kurzowej) parę zdań. Od tego był już tylko krok do pomysłu, żeby piosenki powiązać scenkami rodzajowymi w tym najpiękniejszym języku świata, jakim niewątpliwie jest lwowski „bałak”. I krok następny, aby te scenki tworzyły logiczną całość. Łatwo powiedzieć, lecz stąd te teksty wziąć?

Pomógł mi Tato. Boże, jak on potrafił „bałakać”, jakich używał wspaniałych zwrotów! Rzec by można: cały słownik prof. Kurzowej miał w małym palcu. Jako dziecko wstydiłam się, że Tato tak jakoś dziwnie mówi, że śmieją się z tego moje koleżanki Ślązaczki.

Mój Ojciec nie żyje od 30 lat..., i kiedy nocami siadałam do wymyślania tych nieszczęsnych tekstów, prosiłam: pomóż, Tato, tej swojej durnowatej córce, co się kiedyś twojego bałaku wstydiła. A Tato — widać nawet w niebie nie przestał być lwowiakiem... Napisałam dwa programy, piszę (a może raczej piszemy razem) trzeci. Jestem przekonana, że nawet przejście na drugi świat, między prawdziwymi lwowiakami nie zrywa więzi. Bo weźmy sprawę z Tońkiem...

Miałam poważny kłopot, kiedy z pracy w zespole zrezygnował mój syn. Mijało pół roku, nowego Tońka nie można było znaleźć, wszystko zaczęło się rozsypywać, drugi program „leżał”. Było to akurat wtedy, kiedy zmarł Henryk Vogelfänger. I co ja robię? Ano, wołam do Niego, do nieba: Tońku, pomóż! Nie zostawiaj mnie samej w takim kłopotcie! I co powiecie? Za parę dni mam Tońka! Najzdolniejszy maluch z dziecięcego teatryku, Adaśku Żurawski, którego nie widziałam ponad 30 lat, sam znalazł do nas drogę. Tylko nie mówcie, że to przypadek. Ja wiem, komu zawdzięczam, że „Pacalycha” została uratowana. Za kochaną, lwowską duszę Tońka (H. Vogelfängera) dałam na mszę.

'Reszta to nul

Muzyka - A. Migdałek
Słowa: R. Gerliński

1. Lwów sięgajcie-ście na zycie nam, dajcie, choć do pieka ci los i choć kłopotów masz
2. To nie, że in-nym los wiesz, coś daj: wstępu, szwajnerscy dom choćby wszystkich naj-

1. heł podasz nos to nie podda-waj si bra-ci, cię-żko sa me-mu ta joi-a-li wo-
2. wiesz, on miał naj-ty i ma ca-ty Bytom! Bedzisz bo-ga-trzy, na zicher, na dwa-

1. ta, której ka-że być sam? Tu-taj przyhulaj si do nas sku-tu-laj gdzie
2. ty, ko uśmiechaj si znów. Wstap tu do bractwa, po-po-cu bo-gactwa gdy

1. he-bra ba-tarskie jest bo- Re-szta to nul gdy Lwównek
2. wse-rcu ko-chamy masz Lwów?

graby ci da od-mez jak król si po-czu-jisz co świat u

nog swoich ma Re-szta-to nul bo ban-da

co to-bie gra znajdzie le-karska na smu-tek

ra-dość i si-ty ci da Re-szta to nul

je-sli twym herbem jest Lwów Do-se-rcu swe-go go przy-tul

bę-dziesz zdrow Włbiski

Bytom 1991

Program „Ni ma jak Lwów” graliśmy z 50 razy. Patrząc wstecz i porównując go z „Balem u cioci Bandziuchowej” widzę, żeśmy wtedy dopiero raczkowali. Dziś zespół dojrzał i rozrósł się. W rolę Józka (kiedy odszedł poprzednik) niejako w biegu wszedł Ryśku Gerliński. Jak? Ano, wziął tydzień urlopu i ze słuchawkami na uszach nauczył się tekstu z taśmy. Prawdziwie po lwowsku stanął na wysokości zadania, bo trzeba było zagrać akurat w rocznicę Obrony Lwowa. Dziś Ryśku pisze teksty do piosenek, m.in. *Reszta to nul* z drugiego programu jest jego autorstwa. Muzykę do niej skomponował Jędrzek Migdałek, gitarzysta, aranżer, inaczej mówiąc — „oprawca muzyczny”. W cywilu — wysokiej klasy inżynier konstruktor, lwowiak całą duszą, choć z urodzenia góral z Makowa Podhalańskiego.

Mamy również „lwowiaka” ze Śląska — to Jurek Gazda, nasz skrzypek zwany „Jorgusiem”. Bardzo przydaje się nam, poza graniem, jego rzeczowe, śląskie: „Dość tego gadania, bierzmy się do roboty!” Jest jeszcze Wicek Halski — klarnecista, i Franio

Romaniszyn, co gra na perkusji. Obaj zapaleni turyści, żeglarze i narciarze. Dla „Pacalichy” zrezygnowali z takich przyjemności! A Jurek Wojnar, batiar z Zamarstynowa, co „ciuchra na katarynie”? Pyskaty, że dziesięć przekupek przegada. Myślę, że z samych jego powiedzonek, gdyby je codziennie nagrywać, byłby gotowy scenariusz. Jego słynne: „Biję tylko dwa razy — raz w morde, a drugi raz w wieko od trumny”, świadczy dobitnie, że „te z Zamarstynowa to do bitki abu du pyskuwania zawżdy pirszy byli” — jak mówi ciotka Bandziuchowa.

No, a sama ciotka w wykonaniu Gieny Ślęzakowej? W „Lwowskiej Fali” tylko się o niej wspominało, a u nas jest! „Szac — kubita z krwi i kości” (a może raczej przy kości), skoro chłopaki śpiewają o niej, że „ma te klawie wdzięki”. Talent zresztą też.

I jeszcze pani Maria Kasprowiczowa, jedyny wśród nas profesjonalista. Aktorka z zawodu, u nas — reżyser o anielskiej wprost cierpliwości. Nie usiłuje z nas na siłę zrobić aktorów, pozostawia nam dużą swobodę i miejsce na własne pomysły

w budowaniu postaci. Do tego — prezes bytomskiego oddziału — Leszku Józków, który zajmuje się organizacją występów, a przed programem wtrąca swoje sympatyczne trzy grosze o zespole, żeby publika wiedziała, z kim ma przyjemność. I to już wszystko. No nie, jeszcze ja, czyli durnowata Mińcia. Chłopaki twierdzą, że widać nie taka całkiem durnowata, skoro to wszystko razem trwardo w garści trzyma.

W sumie jest to „hebra” jedyna w swoim rodzaju, co to nie patrzy na „szwajnera” i nie dość, że nigdy nie pyta: „A za wieli?”, ale kiedy przychodzi grać, to często sama do tego interesu dokłada. Jeśli zarabia, to na działalność charytatywną TML. Zasiłki również swego czasu Fundusz Pomocy Premiera Mazowieckiego, a całkowity dochód z trzech pierwszych przedstawień „Balu” (5 mln zł) oddała na pomoc dla chóru „Echo” ze Lwowa. Jeśli trzeba, to „Pacalycha” gra „za frajra”: w szpitalach, dla niepełnosprawnych i samotnych, tam, gdzie jak lekarstwo potrzebne są: uśmiech, humor i piosenka. Kiedyś z Domu Kombatanta przyszedł wzruszający list od 80-letniej lwowiarki stęsknionej za Lwowem. „Hebra” kupiła więc imponujący bukiet kwiatów i pojechała „zaszpilać” kombatantom. Ma się rozumieć — „gratis i friko”. Bo „Pacalycha” uważa, że śmiech i łzy wzruszenia to najważniejsza satysfakcja, to coś nieporównanie cenniejszego niż „wszystki piniendzy”. I publiczność to docenia. Gdyby tak nie było, to czyż przychodziłaby po wielokroć na to samo przedstawienie? Takich wiernych nam widzów jest bardzo wiele. Mówią: przychodzimy do was „naładować akumulatory”, nacieszyć się niepowtarzalną lwowską atmosferą. No, faktycznie, każdy występ nieodmiennie kończy się wspólnym śpiewem i tańcami, do których zaprasza Szczepciu, z fasonem całując rączki.

Z tej dawanej ludziom radości sami czerpiemy siły. A potrzeba nam jej wiele! Prawie wszyscy zawodowo pracujemy, każdy ma swoje, często bardzo skomplikowane rodzinne i zdrowotne problemy, czasami ze „szwajnerami” krucho... Ale nic to, bo kiedy nawet nawala nam zdrowie, to nie nawalamy my sami. Franka na każdy wyjazd musi zorganizować pielęgniarską opiekę do ciężko chorej mamy, Szczepciu i ciotka Bandziuchowa występowali już z nogami w gipsie, Jurciu zdejmował gips z „graby” żeby „zaszpilać” na występie, Tajku-ciuchraj dopiero po spektaklu pozwolił się wieźć do szpitala, a Taję „narzeczony”, ratowany z zapaści w południe, w tym samym dniu grał z nami na wyjeździe dwa przedstawienia. Odwołać spektakl? Zawieść lwowiaków, którzy czekali i cieszyli się na spotkanie z nami? Tego „Pacalycha” nie robi!

Jeździmy wszędzie, gdzie nas zaproszą. Chcielibyśmy trafić do wszystkich lwowskich środowisk. Ciągłe znajdujemy na to dość siły, zdrowia i chęci, bo jak powiedział o nas Jerzy Michotek, jesteśmy jednymi z nielicznych, którym się jeszcze chce. Przychodźcie więc do nas po lwowskie lekarstwo na wszelkie smutki! Ryśku Gerliński w piosence do nowego programu napisał szczerą prawdę, że:

... kiedy gra „Pacalycha”
To kuźdyn si uśmiecha
I od razu troski traci,
Gdy graju ci wariaci.
To są świrki — szkoda słów,
Co kuchaju tyn swój Lwów!

dr Edward Jaworski
00-774 Warszawa
ul. Dolna 14-18/40
tel. 41-50-09

APEL

DO WSZYSTKICH
ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
północnej dzielnicy Lwowa
(Kleparów, Hołosko M. i W.,
Zamarstynów, Zboiska, Zniesienie)

Koledzy!

Obowiązkiem naszym jest dać świadectwo o żołnierzach ZWZ-AK północnej dzielnicy Lwowa w latach 1939-1945. Nie można dopuścić do zapomnienia ich nazwisk i losów. Dotychczas problematyka tej dzielnicy nie została uwzględniona w literaturze i publikacjach. Ta luka powinna zostać wypełniona.

W tym celu od kilku lat gromadzę relacje i wspomnienia na ten temat. Zebrałem sporo materiału. Choć nie jest on pełny, wynika z niego, że znaczna część żołnierzy ZWZ-AK tej dzielnicy była aresztowana i prześladowana przez okupanta, a duża część oddała swoje życie za Polskę. Musimy zachować dla historii ich nazwiska, opisać bohaterskie czyny, postawy i tragiczne losy.

Zwracam się więc do Was Koledzy z gorącą prośbą o zgłaszanie własnych danych biograficznych, a także wszystkich, których już nie ma, ale żyją w naszej pamięci. Każdą osobę proszę zgłaszać na oddzielnej kartce podając następujące dane:

1. nazwisko i imię,
2. rocznik (choćby w przybliżeniu),
3. miejsce zamieszkania we Lwowie,
4. informację, czy był członkiem ZWZ-AK (od kiedy, pseudonim, jednostka, udział w akcjach bojowych),
5. data aresztowania,
6. jego losy po aresztowaniu (wyrok, miejsce odbywania wyroku, data repatriacji lub data śmierci),
7. czy i kiedy wstąpił do armii: a) gen. Andersa, b) gen. Berlinga, c) gen. Świerczewskiego,

8. jego dalsze losy w armii (gdzie walczył, odznaczenia wojskowe),

9. aktualny dokładny adres (jeśli żyje),

10. inne dane biograficzne nie ujęte wyżej.

W nadziei, że mój apel nie pozostanie bez echa, z góry wszystkim dziękuję za nadesłanie powyższych danych swoich kolegów, jak również własnych.

ROMANA GRUBER-ZYCHOWA

Miasto

Miasto naszej młodości
odkopywane cierpliwie
jak Herkulanum
z popiołów zdarzeń...

Archeologia serca
sypie przez nasze palce
piasek Twojego istnienia.

Siedzimy przy stole
a w kręgu rąk
jak na seansie spirytystycznym
zjawiasz się dźwiękiem znajomym...

Żyjesz jeszcze.

Ale z ostatnim uderzeniem
naszego serca
umrzesz na zawsze...

Piękny dar

W październiku ubiegłego roku oddział krakowski TML otrzymał od profesora Ostrowskiego z Wawelu wiadomość, że istnieje możliwość pozyskania dla Archidiecezji Lwowskiej sześciu pięknych neobarokowych ołtarzy z krakowskiego kościoła oo. Bonifratrów. Wiadomość zaskakująca, wyjaśnijmy więc od razu, na czym rzecz polegała.

Dzisiejszy kościół Bonifratrów na Kazimierzu¹ został zbudowany w XVIII w. przez Trynitarzy². Zgodnie z modą tamtej epoki otrzymał wystrój iluzjonistyczny: architektura też ołtarzy z kolumnami, belkowaniami i ozdobami została na ścianach namalowana w sposób dający złudzenie plastyki³. Po tzw. kasacie józefińskiej (koniec XVIII w.) zakon Trynitarzy został zlikwidowany, a krakowski kościół i klasztor przekazane Bonifratrom — zakonowi prowadzącemu szpital. W XIX w. zbudowano tuż obok piękny, w stylu neogotyckim utrzymany szpital, funkcjonujący do dziś i bardzo w Krakowie ceniony. Pamiątką po Trynitarzach jest już tylko nazwa ulicy — Trynatarska.

W czasie II wojny światowej ktoś wpadł na pomysł, by kościół wyposażać w „prawdziwe”, trójwymiarowe ołtarze, naturalnie wzorowane na tych malowanych, z epoki baroku. Rzeczywiście wykonano je, i to bardzo pięknie. Znaleźiono rzemieślników-artystów, dając im w tamtych ciężkich czasach zatrudnienie na parę lat. Na szczęście malowideł iluzjonistycznych nie zniszczono, lecz jedynie przysłonięto, i tak — miejscami widoczne spoza nowych ołtarzy — dotrwały do roku 1991.

Od wielu lat trwał w Krakowie akcja przywracania jego cennym zabytkom dawnej świetności. Przyszła też kolej na kościół Bonifratrów. Ojcowie podjęli ambitną inicjatywę odtworzenia stanu przeszłego, z epoki trynitarzkiej. I tu dochodzimy do sedna sprawy: postanowiono neobarokowe ołtarze z lat 1940-tych usunąć, a dawne malowidła odsłonić i odnowić. Rozbiórka ołtarzy nastąpiła w jesieni ubiegłego roku. Wszystkie ich części zinventaryzowano tak, by ponowne złożenie w innym miejscu nie nastręczało trudności.

Teraz nastąpiło kolejne szczęśliwe wydarzenie: profesor Ostrowski, czołowy dziś autorytet z zakresu historii sztuki w Krakowie, żywo zainteresowany naszą spuścizną historyczno-artystyczną na Wschodzie⁴, zaproponował, by niepotrzebne, lecz piękne ołtarze przekazać do ocalałych, lecz spustoszonych zabytkowych kościołów Archidiecezji Lwowskiej, gdzie spełniłyby podwójną rolę: religijną i artystyczną, zastępując w jakimś stopniu dawny, na ogół wspaniały, barbarzyńsko zniszczony wystrój wnętrz. Ideę tę niezwłocznie podchwycił przeor krakowskiego konwentu o. Hubert Matusiewicz, swoją akceptację dał również prowincjał z Warszawy o. Roman Dziekan oraz niezwykle życzliwy wojewódzki konserwator zabytków w Krakowie arch. Janusz Smólski. Postawiono tylko jeden warunek: ołtarze powinny trafić do kościołów zabytkowych, barokowych lub starszych (renesansowych, gotyckich) właśnie dlatego, by znalazły się „na miejscu”, or-



Ołtarz jeszcze w kościele oo. Bonifratrów w Krakowie. Zza ołtarza wylaniają się fragmenty XVIII-wiecznego malowidła iluzjonistycznego

ganizując historyczne wnętrza. Warunek ten wydawał się tyleż merytorycznie słuszny, co i łatwy do spełnienia, ponieważ wśród otwieranych na nowo pustych kościołów w Małopolsce Wschodniej, zabytkowych jest bardzo duży procent.

W tym momencie włączyło się nasze Towarzystwo (koniec października 1991), podejmując się dalszego poprowadzenia sprawy, a także przygotowania dokumentacji formalnej, niezbędnej do przekazania za granicę (!) ołtarzy uważanych już za zabytkowe, bo powstałe przed 1945 r. Nastąpiły dwa miesiące „nerwówki”, ponieważ szybkimi krokami zbliżał się 1 stycznia 1992 r., a z nim spodziewane zaostreżenia formalne i finansowe, odzew ze Lwowa zaś — mimo przekazywanych listów (ze zdjęciami) i teleksów — żaden. W jakimś momencie pojawiła się nawet u oo. Bonifratrów w Warszawie bardziej realna koncepcja oddania ołtarzy do Grodna, szczęśliwie jednak (dla naszej strony) o sprawie dowiedziano się w Drohobyczu. Tamtejsza parafia, kierowana przez o. Ryszarda Kowalczyka, redemptorystę z Tuchowa, oraz energiczny komitet parafialny z ogromną ofiarnością i konsekwencją realizują odnowę i wyposażenie tamtejszego wspaniałego kościoła gotyckiego, pozbawionego pięknych niegdyś ołtarzy, organów, witraży, części polichromii, bezcennej biblioteki i urządzenia wewnętrznego. Ocalała na szczęście sama budowla i piękna polichromia w nawie głównej.

Drohobyczanie nawiązali więc kontakt z przeorem o. Hubertem i naszym Towarzystwem, a następnie wyjednali w lwowskiej kurii dwa ołtarze dla swego kościoła, podejmując się zarazem przetransportowania z Krakowa wszystkich sześciu. Dokumentacja fotograficzno-opisowa staraniem naszego Towarzystwa została wykonana⁵ i na jej podstawie — zresztą nie bez biurokratycznych kłopotów — o. Ryszard uzyskał zezwolenie Ministerstwa Kultury

¹ Kazimierz jest dzielnicą Krakowa, został jednak założony w XIV w. (a więc jest rówieśnikiem Lwowa) przez króla Kazimierza Wielkiego jako odrębne, niejako konkurencyjne miasto. Przyczyną było zdominowanie Krakowa przez mieszczaństwo niemieckie, nieprzychylnie, a nawet wrogo królom polskim. Do dziś jest tu wiele cennych zabytków z wielu epok.

² Zob. artykuł pt. *Trzy wcielenia zapomnianego lwowskiego kościoła*, „Semper Fidelis” 1991, nr 2—3.

³ Malował je Józef Piltz z Kromieryża (na Morawach). Wspaniały fresk iluzjonistyczny znajduje się na sklepieniu lwowskiego kościoła Bernardynów, pędzla naszego polskiego, lwowskiego malarza Benedykta Mazurkiewicza, niestety obecnie w bardzo złym stanie.

⁴ Prof. UJ dr Jan Ostrowski, dyrektor Zbiorów Sztuki na Wawelu zorganizował kilka podróży naukowych pracowników i studentów UJ na Ziemię Wschodnią w celu zapoznania się ze stanem tamtejszych zabytków. Relacje z tych podróży były publikowane m.in. w „Tygodniku Powszechnym” w latach 1990—1991.

⁵ Tu szczególne podziękowanie dla Urzędu Konserwatora Wojewódzkiego w Krakowie za życzliwą i wydatną pomoc.

i Sztuki na wywóz ołtarzy. Stało się to w styczniu tego roku. Obecnie dwa z tych ołtarzy zdobią już drohobycki kościół parafialny św. Bartłomieja, ustawione symetrycznie na zakończeniach bocznych naw.

Co z czterema pozostałymi? No właśnie. Ze zdziwieniem dowiedzieliśmy się (drogami nieoficjalnymi), że dwa z nich zostały przeznaczone do kościołów w okolicach Drohobycza: jeden do XIX-wiecznego neoklasycznego kościoła w Medenicach (konsekracja w 1820 r.), drugi do XX-wiecznego neogotyckiego kościółka zdrojowego w Truskawcu. Żaden z tych kościołów nie odpowiada warunkom stawianym przez ofiarodawców i inicjatorów daru. Wypada wyrazić zdziwienie, że tak lekko potraktowano — nie mówiąc nawet o woli darczyńców — jedyną w swoim rodzaju okazję właściwego urządzenia pustych, kiedyś pięknie wyposażonych świątyń z XVII czy XVIII w., tak charakterystycznych dla Małopolski Wschodniej. Przedstawiając sprawę po raz pierwszy ks. biskupowi M. Trofimiakowi (na początku listopada 1991 r.) proponowaliśmy wzięcie pod uwagę Jaworowa albo któregoś ze starych kościołów w Tarnopolskiem. Bez echa.

Ołtarz w Medenicach musi oczywiście pozostać. Stanowczo jednak trzeba się przeciwstawić pomysłowi montowania następnego w Truskawcu. W sprawie tego ostatniego kościoła ogłosiliśmy apel w zakończeniu artykułu o uzdrowisku truskawieckim, w poprzednim numerze „Semper Fidelis” 1992, nr 2.

Nie wiemy, jakie są decyzje w kwestii pozostałych dwóch ołtarzy. Myślę, że opisana sprawa — tak piękna w swojej istocie, dzięki niezwykłym zrządzeniom Opatrzności, zapoczątkowanym już w latach 1940-tych — stała się całkiem ubocznie przykładem, jak nie powinna wyglądać współpraca między tą a tamtą stroną kordonu.

Zatrzymajmy się jeszcze w Drohobyczu.

Na prośbę działacza tamtejszego środowiska polskiego, p. Adama Chłopka, oddział krakowski TML zorganizował w kwietniu 1991 r. ekspedycję konserwatorów z Krakowa do Drohobycza, w celu zorientowania się w problematyce odnowy tamtejszego kościoła. Uczestniczką tej wyprawy była m.in. p. mgr Jadwiga Rachwałowa (rodem z Borysławia), dzięki której zespół specjalistów z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych podjął się honorowo konserwacji kilkunastu rzeźb kościelnych z Drohobycza — są one w tej chwili w Krakowie i niebawem powrócą na swoje miejsce. Innym uczestnikiem ekspedycji był p. architekt Józef Dutkiewicz, który obecnie opracowuje projekt rekonstrukcji (od zera!) głównego ołtarza, wspaniałego dzieła lwowskiego baroku. Do dyspozycji ma jedynie przedwojenne fotografie i wykonane przez siebie pomiary prezbiterium. Najtrudniejszym problemem będą jednak na pewno liczne rzeźby, które zdobiły oryginalny ołtarz i wraz z nim zostały zniszczone. Niemalże i ambitne zadanie postawili przed sobą drohobycczanie, ale wiem, że zdecydowani są na wielkie ofiary, byle swój kościół doprowadzić do dawnej świetności. Usłyszałem to już, gdy byłem po raz pierwszy w tej świątyni świeżo po jej otwarciu (po kilkudziesięciu latach bezczynności). Jakiś starszy pan powiedział do mnie ze łzami w oczach:



Ten sam ołtarz ustawiony już w kościele parafialnym w Drohobyczu (na zakończeniu bocznej lewej nawy)

„On musi być taki jak dawniej, musi!” Wtedy nie wierzyłem, że to możliwe. Dziś zmieniam zdanie.

Kolejnym zadaniem drohobycczan jest odtworzenie witraży Mehoffera, które przyozdabiały trzy wysokie okna po prawej stronie prezbiterium. W każdym z nich było 16 scen biblijnych i z życia świętych. Niestety, dotąd nie odnaleziono kartonów. W tym samym kościele były podobno witraże Wyspiańskiego i Matejki (syna). A polichromia, która po kilkudziesięciu latach domaga się konserwacji?

Takich pomników ludzkiego poświęcenia jest w Małopolsce Wschodniej wiele.

ROMANA GRUBER-ZYCHOWA

Mapa

Piękne są mapy, atlasy zielone
okrągłe globusy związane równikiem
jak wstążką...

Lubię podróże bez wiz... kiedy palec wstrzymuje biegi rzek,
przelewa morza poprzez zatoki,
zahacza o ostre wieże Paryża, Madrytu, Walencji...

Tylko tam, gdzie punkt czarny
oznacza Ciebie
na żółtym Rostoczu
ręka zastyga na chwilę...

To miejsce całuję zawsze...
Dlatego jest prawie niewidoczne...

W dniach 25–27 września br. odbyło się we Wrocławiu Ogólnopolskie Seminarium Historii Kresów II RP, zorganizowane przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Tematem były zagadnienia związane z eksterminacją ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 1942–1947, dokonaną przez UPA. Referentami byli: prof. dr E. Prus, doc. dr J. Selwa, W. Romanowski, dr A. Korman, dr J. Wilczur i inni, w tym świadkowie tych wydarzeń. W seminarium wzięło udział ok. 100 osób zajmujących się tą problematyką. Było również kilku członków rodzin pomordowanych oraz jeden uczestnik cudem ocalały z rzezi w Woli Ostrowieckiej.

Dr L. Popek, wnuk zamordowanego w Ostrówkach, w pow. lubomelskim na Wołyniu przedstawił film lubelskiej telewizji o zorganizowanej przez siebie ekshumacji i powtórny pochówek ofiar w tejże miejscowości (ok. 1500 ofiar). Zreferował przebieg załatwiania formalności związanych z uzyskaniem pozwolenia na ekshumację, a następnie przedstawił na filmie pracę doc. dra R. Mądro, medyka sądowego, biorącego wcześniej udział w ekshumacjach w Miednoje i w Charkowie. W powtórny pochówek wzięły udział tamtejsze władze z przedstawicielem prezydenta Ukrainy oraz licznie zgromadzona okoliczna ludność. Z Polski do Ostrówek przybyła duża grupa rodzin pomordowanych, wicemarszałek Senatu RP p. Alicja Grześkowiak, delegaci organizacji społecznych, w tym prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów — p. mgr inż. Szczepan Siekierka.

W podsumowaniu obrad seminarium podjęto uchwałę, aby wystąpić do właściwych organów o uznanie UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii) za organizację winną zbrodni przeciw ludzkości i aby jej czyny nie mogły ulec przedawnieniu. Materiały z seminarium będą opublikowane.

Zdzisław Ojrzyski

LEON POPEK

Wołyński cmentarz

Kraśnieją dzikie róże na pogorzelisku,
przy mogiłach na wiosce, zarosłej tęsknotą
Już nie przyjdą na jutrze,
ani mszę pasterską!
Zadymka — lzy, lzy w oczach ...

(fragment wiersza Krzysztofa Kołtuna
Roraty w Ostrówkach, 1987)

Cmentarze. Jest ich na dawnych Kresach Wschodnich setki, tysiące. Wyznaniowo najliczniejsze są: prawosławne, rzymsko-katolickie, unickie, żydowskie, ewangelickie, ormiańskie ... Wszystkie w większości zaniedbane, zdewastowane, zarośnięte drzewami, krzewami i chwastami. Niektóre w ogóle zniknęły z powierzchni ziemi. W ich miejsce utworzono parki, pola uprawne bądź zabudowano je. Wojny światowe stworzyły nowe, tym razem rozsiane w różnych miejscach, nie zawsze uświęconych wiarą czy tradycją.

W dniach 11–12.10.1991 r. z grupą 30 osób, głównie z woj. chełmskiego, za zgodą miejscowych władz ukraińskich przybyliśmy na dawny cmentarz parafii Ostrówki dekanatu lubomelskiego diecezji łuckiej, w celu jego renowacji.

Parafia ostrowiecka powstała w I połowie XVIII w. W 1939 r. należały do niej następujące miejscowości: Ostrówki, Wola Ostrowiecka, Kaznopol, Mokrzyk, Piotrówka, Piskorów, Przekurka, Równe, Sokół, Wilczy Przewóz, Zamostecze, Holendry Świerzowskie.

Drewniany kościół parafialny p.w. św. Andrzeja Apostoła został wybudowany przed 1726 r. przez Izabellę Kańską i Andrzeja Olędzkiego. W 1898 r. świątynia została odnowiona przez ks. Aleksandra Kuczyńskiego. Na początku września 1943 r. kościół wraz z całym wystrojem wnętrza, szatami i parametrami liturgicznymi został spalony przez UPA. Los parafian był przesądzony.

Wymordowano ich wraz z ks. kanonikiem Stanisławem Dobrzańskim, który przybył do Ostrówek z Żytomierza, gdzie prowadził działalność misyjną. W parafii organizował samoobronę. Zginął zarąbany siekierą. Ciało wrzucono do studni. 30 sierpnia 1943 r. zamordowano około 1500 osób ze wsi: Ostrówki — 438, Wola Ostrowiecka — 529, Kąty — 139. Polskie wsie spalono, dobytek rozkradziono. Pozostały tylko liczne mogiły pojedyncze i zbiorowe oraz cmentarze.

Na to właśnie miejsce 3.11.1990 r. udała się pierwsza od 47 lat pielgrzymka byłych mieszkańców parafii Ostrówki z ks. Marianem Chmielowskim z Rudy Huty. Po spalonej świątyni zastaliśmy jedynie ceglany gruz z podmurówek oraz drewniany powalony krzyż misyjny z 1936 r. w kępie bzu. Obok leżały szczątki zniszczonej kamiennej figury Matki Boskiej. Tam przy tej zbeszczeszczonej figurce odprawiona została msza św. w intencji tych, którzy spoczęli w tej ziemi. Tuż obok, dosłownie na mogile zbiorowej, w której 30 sierpnia 1943 roku spoczęło ok. 250 osób, pały się krowy z kołchozu.

Wtedy zapadła wśród nas decyzja: trzeba uporządkować i ogrodzić cmentarz, miejsce w sumieniu żywych od zarania dziejów po dziś dzień — święte, na cmentarz zaś przenieść szczątki tych, którzy spoczęli bez katolickiego pochówku w dołach, zaroślach bez należytego szacunku i czci. W rok później po raz drugi przekroczyliśmy granicę w Dorohusku. Po drugiej stronie Bugu czekały już miejscowe władze z Równego (wieś ok. 15 km od Dorohuska) z „hołową” Aleksandrem Pricem. Zostaliśmy przewiezieni na „ostrowieckie mohiły” — jak mawiają miejscowi. Teren cmentarza o powierzchni ok. 1,5 ha porośnięty był gęstymi krzakami akacji, bzu i dzikiej czarnej porzeczki. Tylko gdzieniegdzie widoczne były stare, zmuszające, pochylone drewniane krzyże. Inne powalone przez czas i złych ludzi leżały w barwinku, który pokrywał swym zielonym kobiercem cały teren. Nieliczne nagrobki kamienne nosiły ślady uszkodzenia. Miejscowi opowiadali nam, że w latach pięćdziesiątych grasowała na tym i innych cmentarzach banda „hien cmentarnych” z Lubomla, specjalizująca się w rabowaniu i dewastowaniu opuszczonych cmentarzy.

Na skraju cmentarza, przy drodze dojazdowej, zachował się częściowo uszkodzony i sprofanowany nagrobek ks. kanonika Kacpra Wolborskiego — proboszcza w Ostrówkach. Była to postać niezwykła i godna przypomnienia.

Kacper Wolborski urodził się 13.10.1865 r. w Rawie Mazowieckiej z rodziców Franciszka i Marii z Goszczyńskich. Kształcił się w gimnazjum w Piotrkowie i w szkole realnej w Łowiczu. W 1884 r. wstąpił do Seminarium Duchownego w Warszawie, w cztery lata później przeniósł się do seminarium sandomierskiego. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1890 r. Jako wikary pracował w Opatowie, następnie jako administrator parafii w Rudzie Kościelnej i Lasocienie. Za swoją postawę księdza-patrioty w 1901 r. został zesłany przez władze carskie na Syberię, bez prawa sprawowania obowiązków kapłańskich przez 3 lata. Od 1904 r. pozwolono mu na sprawowanie funkcji duszpasterskich, ale bez prawa zajmowania samodzielnego stanowiska. Jako nieetatowy wikariusz parafii z Władawostoku objeżdżał: Sachalin, Chabarowsk, Charbin, Nikolajewsk, Błagowieszczeńsk ...

W 1915 r. został wikariuszem etatowym parafii N.M.P. „Na Gruzinach” w Moskwie. Po 19 latach zsyłki powrócił do Polski. Początkowo był wikarym w Równem, administratorem w Bereżnicy, Kamieniu Koszyrskim, a od czerwca 1920 r. proboszczem w Ostrówkach. W 1928 r. przeniesiono go do Maciejowa, ale po 4 latach wrócił do Ostrówek, gdzie zmarł na zawał serca 11.10.1936 r. Był kanonikiem honorowym kapituły łuckiej. Wielu z obecnych było chrzczonych przez tego kapłana. „Pamiętam jak mama przyprowadzała mnie tutaj, bym pomodlił się za jego duszę i podziękował za to, że mnie ochrzcił” — powiedział mi Czesław Wasiuk z Chełmna. Ileż mądrości i piękna w tych kilku słowach dla nas ludzi młodych.

Cmentarz udało się nam częściowo oczyścić przy znacznej pomocy Ukraińców z Równego, Borowy, Przekurki, którzy nie tylko dostarczyli nam potrzebny sprzęt (siekierę, piły mechaniczne, ciągniki itp.), ale również sami razem ze swoim wójem

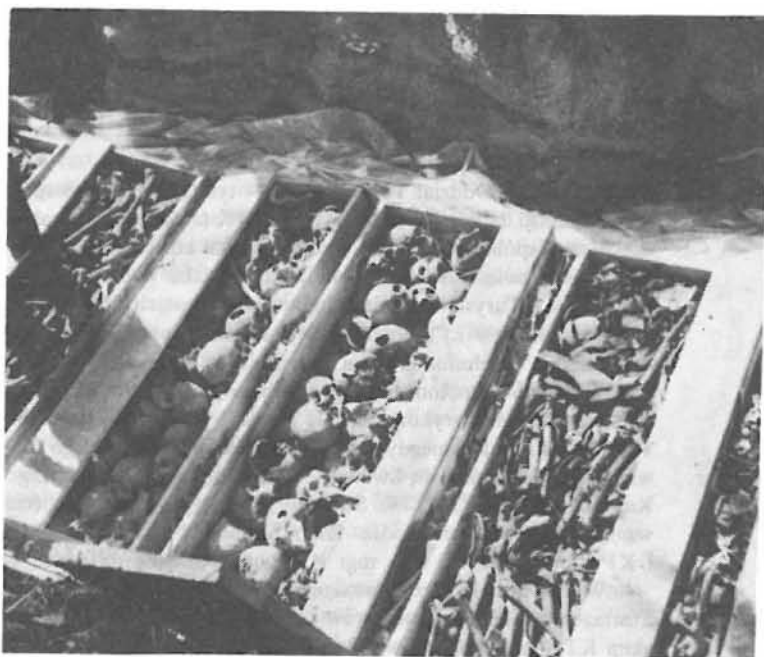
Aleksandrem Pricem pomagali nam we wszystkich pracach porządkowych. Po zakończonym dniu pracy udaliśmy się na noclegi do różnych rodzin ukraińskich. Wielu z nas miało okazję spotkać się i porozmawiać ze swoimi krewnymi, znajomymi, których nie widzieli blisko 50 lat. W długą noc październikową przy „stakańczyku księżycówki” miejscowej produkcji, rozpoczęliśmy ukraińsko-polskie „rozhowory”. Atmosfera była szczerą i serdeczną, chociaż poruszano sprawy niezwykle trudne i których przyznam szczerze, bardzo się obawiałem. Po tych rozmowach i następnych zrozumiałem, że były one potrzebne. Co więcej sądzę, że musiały się odbyć, wcześniej czy później, ale musiały. Zbyt wiele było spraw nie do końca wyjaśnionych, wypowiedzianych, które nosili w swoich sercach i ci, którzy spod siekiery uciekli, i ci, którzy po tamtej stronie Bugu zostali. Wspominaliśmy czasy dobre, gdy mieszkańcy wsi polskich i ukraińskich żyli w przyjaźni, zgodzie, wzajemnie się odwiedzając, żeniąc. Jako goście na początku unikaliśmy zagadnień trudnych, dotyczących rzezi, mordów. Pierwsi poruszyli ten temat gospodarze, i to w kilkunastu domach. Miałem wrażenie, że noszą oni w sobie jakieś poczucie winy. Czy uzasadnione? Z ust ok. 70-letniego mieszkańca Przekurki usłyszałem słowa, na które czekałem i ja, i wielu, wielu tych, którzy utracili swoich bliskich.

„Wszystkiemu winna jest wojna. Przed wojną było między nami (Polacy — Ukraińcy — L.P.) dobrze. Myśmy zaczęli. Na wsi zawsze znajdzie się kilku takich, co to dla sławy, pieniędzy i wojaczki pójda mordować, palić i grabić. Gospodarze stronili od nich. Ja wiem, że was dużo zginęło, ale i mnie zabiłicie dwóch braci...”

Ten trudny problem wielokrotnie wracał. Na cmentarzu przed zbiorową mogiłą — zapadniętym dołem, rozgorzała dyskusja, padły rachunki krzywd: „Waszych Polaków zginęło tysiąc, ale i naszych 87 osób. Tak, ale wy zostaliście na swoim, a my zdziśiatkowani poszliśmy w świat zostawiając wszystko”. Na to jedna starsza Ukrainka z Sokola: „Wam teraz jest dobrze, macie wszystko, chociaż wy w jednej soroczce (koszuli) uciekli. I co z tego, że my po was wszystko zabrali. Wy teraz żyjecie jak przed wojną Konczewska (dziedziczka — L.P.). A my jak nie mieli nic, tak nie mamy”. Przysłuchujące się kobiety pokiwały tylko głowami opatulonymi w kraciaste „zabuskie” chustki.

W czasie tych spotkań nie obyło się bez kilku incydentów — „i śmieszno, i straszno”. Pewien Ukrainiec posiadający wóz i dwa liche koniki wielkości sarny zgodził się kilka osób zawieźć i wskazać miejsce śmierci i pochówku ok. 300 kobiet z dziećmi. Wsiadłszy na wóz zabierając ze sobą gwoździe, młotek i siekiere w celu wykonania jakiegoś drewnianego krzyża i bodaj tymczasowego ogrodzenia z żerdzi. Gdy byliśmy za lasem w szczyrim polu, naszego woźnicę ogarnęła trwoga, gdy zobaczył nasz ekwipunek. „Pany ne ubijajte mene. Ja nyczeho ne znaju”. Długo trzeba było przekonywać naszego dobrodzieję, że się myli co do naszych intencji. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że mieszkańcy wsi: Połapy, Sokół, żyją w lęku, że kiedyś wrócą Lachy i zemszczą się za to, że ich wymordowano i wypędzono.

Był z nami młody i bardzo przystojny ks. Piotr z parafii mariackiej w Chełmie „Na Górze”. Na mszę św. odprawianą w małej nowo wybudowanej drewnianej kapliczce na cmentarzu, częściowo już ogrodzonym, przybyło około 300 osób z okolicznych wsi ukraińskich: rowerami, furmankami, samochodami, motocyklami itp., czym kto mógł. W czasie mszy i modlitw odprawianych w duchu ekumenizmu uczestniczyła większość zebranych, kilka osób z miejscowych było u spowiedzi i u komunii św. Zauważyłem, że oczy zwłaszcza kobiet nieustannie zwrócone były na księdza. Po mszy w rozmowie z nim wiele im trzeba było tłumaczyć, że w Polsce księża zachowują celibat. „No Bożesz Ty moj — no jak to tak, bez żinki być” — pękaliśmy ze śmiechu. Chyba częściowo uspokoiliśmy naszych gospodarzy dopiero podczas obiadu, gdy na pytanie „hołowy” Aleksandrowicza — „Ksiądz Piotr, a troszke wodki można?” (dla księdza i kierowcy nie pijących postawiono niewielkie kieliszki na nóżce tzw. damskie — ewenement na ukraińskich stołach biesiadnych), usłyszeliśmy odpowiedź — „Troszke można”.



W drodze powrotnej zepsuł się nam jeden z dwóch autokarów. Dyrektor rowieńskiego kołchozu przydzielił nam samochód ciężarowy z kierowcą, który zaholował nas do Dorohuska. Granicę przekroczyliśmy bardzo sprawnie dzięki pomocy naszej straży granicznej. Nie opadały doznane wrażenia. Słyszałem: „Zrównali wszystko z ziemią, wieś nie do poznania. Kamień na kamieniu nie został, tylko gdzieniegdzie kępa bzu lub pojedyncze zdziczałe drzewka owocowe z sadu świadczą o sadybach ludzkich. Ale gniazda bocianiego na jesionach u Palca nie ruszyli. U nich, jak i u nas biały ptak z czarnym znamięm — rzecz święta. Ciekawe tylko, czy to jeszcze nasz bociek, czy już ich...”

W kilka tygodni po naszej pielgrzymce, gdy przewoziliśmy ok. 80 par obuwia zimowego jako zapłatę za ogrodzenie cmentarza, dowiedziałem się, że otworzono granicę dla dziesiątków Ukraińców i Polaków. Ludzie jak dawniej zaczęli się odwiedzać (na telegramy), gościć, rozmawiać, handlować. Powstał kolejny pomysł z ich strony, żeby za rok w Święto Zmarłych we mszy uczestniczyli obok naszych księży również księża prawosławni. Taka „msza pojednania”. Ze swej strony cieszymy się z tej inicjatywy i jesteśmy jak najbardziej za.

Czy do tego czasu uda się ekshumować szczątki pomordowanych z grobów zbiorowych, na których pasą się krowy, na cmentarz ostrowiecki? Jak dotąd prokuratura w Lubomilu milczy (sprawa założona w Wojewódzkiej Prokuraturze w Lublinie w 1990 r.).

Ta kolejna już pielgrzymka zorganizowana przez grupę osób z Towarzystwa Przyjaciół Krzemienia i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej w Lublinie uświadomiła mi i wielu innym osobom, że nie tak nie cieszy, jak dialog, rozmowy, które zostały nawiązane po tylu latach wrogości i milczenia. Wielu z nas zrozumiało, że byliśmy i jesteśmy nadal najbliższymi sąsiadami, na dobre i na złe. Dialog jest możliwy i wręcz potrzebny, i to nie tylko dla nich. Dla nas może jeszcze bardziej. Takie refleksje zrodziły się tam, na cmentarzu nad mogiłą, u grobu bliskich i krewnych, znanych i nieznanych. Wszak wszyscy — tak Polacy, jak i Ukraińcy — jesteśmy dziedzicami tych, co odeszli.

A co znaczy być dziedzicem? Znaczy przede wszystkim mieć udział w godności tych, co byli przed nami. A to nas do czegoś zobowiązuje.

Strzaskanych krzyżów mowa, poezjo mogiła
W pyle drogi płochliwej włóczęgo beżsilna.
Echem nawoływań w polu się gubiąca,
Pustko, pustko wsi polskiej złowrogo dzwoniąca.
Stratowana, zdeptana, krwawa Ojcowizno,
Ty Ojczyzno wołyńska, Ty smutna Ojczyzno.

(fragment poematu serdecznego, pt. *Pożegnanie Wołynia* — autor nieznany).

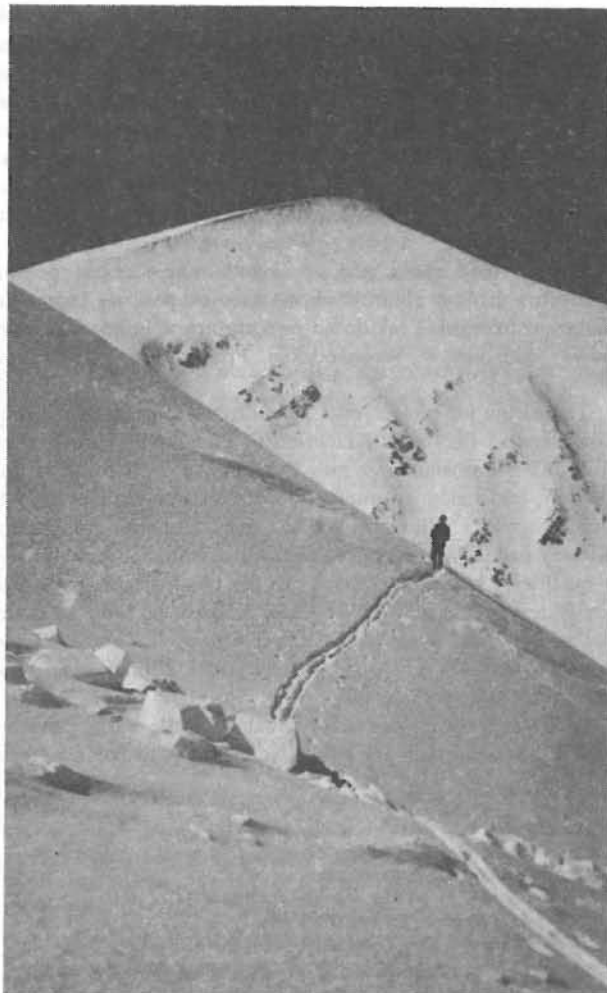
Karpaty Wschodnie

Wystawa w Krakowie

Krakowski Oddział TML i KPW — tym razem przy współpracy Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK (z siedzibą w Krakowie) oraz Wspólnoty Polskiej — zorganizował kolejną fotograficzną wystawę związaną tematycznie z Małopolską Wschodnią, zatytułowaną: „Turystyka letnia i zimowa w Karpatach Wschodnich (do września 1939 r.)”. Wystawa była eksponowana przez cztery tygodnie, na przełomie grudnia i stycznia, w pięknej zabytkowej piwnicy-galerii Wspólnoty Polskiej przy krakowskim Rynku. Autorką scenariusza i wykonawczynią plansz była p. arch. Krystyna Tołłoczko-Różyska, niegdyś aktywna członkini Karpackiego Towarzystwa Narciarzy we Lwowie, przy współpracy p. inż. Jerzego Kapłona z KTG ZG PTTK. Stronę organizacyjną przedsięwzięcia wzięło na siebie niezawodne Koło Stanisławowian przy TML i KPW w Krakowie, z p. mgr Krystyną Stafińską na czele.

Wystawa była przypomnieniem wspaniałych fotografików, a zarazem znakomitych turystów i narciarzy, związanych z lwowskim KTN-em: profesorów Adama Lenkiewicza i Zygmunta Klemensiewicza, Romana Puchalskiego, Stanisława Bialikiewicza, Jerzego i Bolesława Solaków, Andrzeja Progułskiego, Tadeusza Dohnalika. Pokazano przepiękne zdjęcia fauny i flory wschodniokarpackiej, autorstwa niezapomnianego Włodzimierza Puchalskiego, oraz oryginalne fotografie Huculów w technice izohelii Edwarda Czernego, członka Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Zdjęcia uszeregowano w nawiązaniu do trzech głównych partii Karpat, leżących dziś poza granicą RP: Bieszczady Wschodnie — Gorgany — Czarnohora. Krajobrazy letnie i zimowe,



schroniska, rzeki i klauzy, zdjęcia narciarzy w ruchu i turystów wypoczywających na tle niezmiernie wysokiego morza gór, wreszcie tak lubiane przez fotografików ujęcia niezwykłych, kapitalnie fotogenicznych szczegółów (ślady nart, roziskrzane w blasku słońca połacie śniegu) — wszystko to były dzieła sztuki wysokiej klasy i tak były oceniane przez zwiedzających.

Ekspozycję zdjęć uzupełniały mapy całego łańcucha wschodniokarpackiego, z dokładnym — ważnym z punktu widzenia informacji i dydaktyki — opisem poszczególnych partii gór i szlaków. Ogólnym zainteresowaniem cieszyła się mapa schronisk na całej długości Karpat polskich, od Beskidu Śląskiego poczynając, z której dobitnie wynikało znakomite zagospodarowanie turystyczne wschodniego odcinka. Liczba schronisk w tej części Karpat była prawie równa liczbie podobnych obiektów w ich części zachodniej (licząc z Tatrami), która przecież uchodziła za doskonale zainwestowaną (odpowiednie liczby, przy podobnej długości łańcuchów górskich: 104 i 112). W ten sposób rozwiązany został — przynajmniej w świadomości zwiedzających tę wystawę — jeszcze jeden mit, w tym wypadku o zacośnieniu ziem południowo-wschodnich. Warto nadmienić, że obecnie, po 48 latach radzieckiej gospodarki liczba schronisk we Wschodnich Karpatach wynosi ... siedem. Po reszcie nie ma śladu.

W gablotach wyeksponowano przewodniki, mapki i nieco literatury pięknej związanej tematycznie z Karpatami Wschodnimi.

W „cieniu gór” pozostał drugi temat wystawy: turystyka wodna na niezwykłych rzekach — Dniestrze i jego dopływach, głównie południowych. Mapy i kilka zdjęć nie dały pojęcia o słynnych spływach od Mikołajowa do Okopów św. Trójcy.

Osobne miejsce poświęcono Karpackiemu Towarzystwu Narciarzy, najstarszej polskiej organizacji narciarskiej powstałej we Lwowie w styczniu 1907 r. Obszerne omówienie KTN-u pióra prof. Władysława Stefana Lenkiewicza (syna niezapomnianego fotografa i turysty, prof. Adama) zamieszczono w folderku wydanym z okazji wystawy. Drugi artykuł tam wydrukowany to przypomnienie działalności na terenie Małopolski Wschodniej największej polskiej organizacji turystycznej — Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, z jego oddziałami we Lwowie, Stanisławowie (od 1876 r., tzn. zaledwie w 3 lata po założeniu PTT w Zakopanem), Kołomyi, Drohobyczu, Stryju i Kosowie.

Nasuwa się jednak refleksja, że wystawa nie była pełna, że okazja nie została do końca wykorzystana. Miała być ta wystawa częścią przypomnianej już wyżej wystawy z 1991 r., poświęconej całej Małopolsce Wschodniej (pt. „Ziemie południowo-wschodnie II Rzeczypospolitej”), jednak względy techniczne narzuciły odrębne potraktowanie części górskiej.

Takie więc ustawienie zobowiązuje i prowokuje do zastanowienia. Czym były dla nas Karpaty Wschodnie? Ich pierwotne znaczenie dla Lwowa, Stanisławowa i całej Wschodniej Małopolski było podobne, jak niegdyś Tatr dla Krakowa — a może jeszcze bardziej dla Warszawy, bo po prawdzie to „królewscy” odkryli i rozsławili Tatry. Ważne jest to, że rola jednych i drugich gór nie odnosiła się tylko do turystyki i narciarstwa. Rola Tatr i Pienin, Gorganów i Czarnohory, Podhala i Huculszczyzny okazała się niezwykle istotna dla całej polskiej kultury najszerzej pojętej: literatury, sztuki, etnografii, krajoznawstwa, dla nauk przyrodniczych, techniki (linie kolejowe, drogi, mosty, tunele) i budownictwa, a także oczywiście dla rekreacji, profilaktyki i regeneracji zdrowia, kultury fizycznej. Myśląc o tych górach nie można pominąć gospodarki w jej urozmaiconym przekroju, jak i wydarzeń historycznych tu się rozgrywających. Z całej tej przebogatej problematyki pokazano więc wycinek bezsprzecznie malowniczy, ale jednostronny, nawet przy respektowaniu formuły scenariusza nakierowanego na problematykę turystyczną. Czy można sobie

wyobrazić ekspozycję poświęconą turystyce i narciarstwu w Tatrach, nie pokazując górali, ich folkloru i sztuki albo pomijając kolejkę na Kasprowy Wierch? Byłoby to niezwykle zubożenie obrazu.

Pominięto więc całkowicie wszystkie te dziedziny, z którymi turysta karpacki (letni czy zimowy) stykał się tak, jak z samymi górami: sztukę ludową (eksponaty jakże łatwo osiągalne w Krakowie), komunikację (choćby niezapomniane kolejki wąskotorowe), gospodarkę leśną. Zapomniano o wybitnych ludziach penetrujących, opisujących i opiewających te góry od początku XIX w., a więc tak dawno jak Tatry: badaczy (Stanisław Staszic), licznych artystów, którzy te góry umiłowali, malarzy z Sichulskim i Jarockim na czele, pisarzy (nie tylko Vincenz, ale już Franciszek Karpiński, Józef Korzeniowski, Wincenty Pol, Mieczysław Romanowski, Wacław Zaleski i wielu innych, a w naszych czasach Józef Bieniasz, autor przepięknej opowieści o niedźwiedziu Turulu, „królu karpackiej puszczy”). Pominięto wreszcie prezentację rewelacyjnych wiaduktów na Prucie, nie przypomniano walk II brygady legionów itd. itd. Wymieniłem tylko kilka najważniejszych spraw, które należało pokazać, bo to wszystko składa się na obraz Karpat Wschodnich i na naszą polską kulturę. Wątpliwe, by się nam taka okazja w Krakowie mogła powtórzyć. Może środowisko wrocławskie albo warszawskie przymierzy się na nowo do tej pięknej i ciekawej problematyki, tak ważnej dla świadomości polskiego społeczeństwa.

JACEK E. WILCZUR

50 rocznica utworzenia UPA Zbrodnia nie ukarana

W ostatnim czasie gazety w Polsce przekazały w lakonicznym tonie informacje na temat uroczystości w Kijowie z okazji 50 rocznicy powołania do życia Ukraińskiej Armii Powstańczej – UPA. Prasa pisze o zasięgu tych uroczystości na Ukrainie, wymienia uczestników obchodów. Ani jedna z polskich gazet nie opatrzyła tych informacji własnym komentarzem, komentarzem historyka. A sprawa UPA w polskiej pamięci narodowej, w pamięci nielicznych Żydów, którym udało się przeżyć piekło ukraińskiego nacjonalizmu, nie zatarła się przez minione 52 lata. Wydaje się, że warto choćby w największym skrócie przypomnieć, czym była w rzeczywistości UPA, ramię zbrojne Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Latem 1942 r. kierownictwo skrajnie nacjonalistycznej, faszystowskiej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (powstała w 1929 r.) podjęło decyzję powołania do życia Ukraińskiej Armii Powstańczej. Za datę zawiązania pierwszego kurenia UPA nacjonałiści przyjęli 14 października 1942 r.

Pierwsze sotnie UPA ruszyły do lasu 3 marca 1943 r., ale Polacy uczestniczący w walkach z hitlerowskimi okupantami na Polesiu i Wołyniu odnotowali pierwsze zbrodnie UPA na ludność polską już w lutym tegoż roku.

Cała zachowana dokumentacja owego okresu – sporządzona ze strony ukraińskiej przez OUN-UPA, a ze strony polskiej przez ZWZ-AK oraz inne organizacje i formacje polityczne i wojskowe – potwierdza, iż UPA powołana została wyłącznie do walki z Polakami i polskością, a hitlerowców traktowano w tej walce jako sojuszników. Wreszcie, prawdę o genezie i roli UPA potwierdzają zachowane w archiwum Republiki Federalnej Niemiec dokumenty służb specjalnych III Rzeszy – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i jego ekspozytur oraz Wehrmachtu – Abwehry i jej placówek na obszarze działań UPA.

W UPA obowiązywał bezwzględny zakaz podejmowania walki z wojskami niemieckimi, z SS, żandarmerią i policją. Dla zmylenia opinii ukraińskiej społeczności co do istotnych celów

Z kronikarskiego obowiązku notuję, że ostatnio w Krakowie zorganizowano inne jeszcze wystawy związane tematycznie z Małopolską Wschodnią:

- w kwietniu/maju 1992, w galerii Wspólnoty Polskiej przy Rynku Gł. wystawa obrazów Feliksa Lachowicza, malarza drohobyckiego, który zginął na nieludzkiej ziemi w 1941 r. (wystawę eksponowano już w kilku miastach RP);

- w maju, w salach Śródmiejskiego Ośrodka Kultury przy Małym Rynku, wystawa „Złoczów – dziedzina króla Jana, strażnica Ziemi Lwowskiej”, zorganizowana z okazji Światowego Zjazdu Złoczowian w Krakowie;

- w maju, w Bibliotece Jagiellońskiej: „Teatr Skarbkowski we Lwowie”.

Z okazji miesiąca kultury Europejskiej, obchodzonego w tym roku w Krakowie (czerwiec 1992), wśród licznych wystaw znalazły się również leopolitana:

- wystawa zachowanych w zbiorach lwowskich plakatów wybitnego czeskiego artysty Alfonsa Muchy. Eksponaty przywiezione ze Lwowa pokazano w Domu Towarzystwa Lekarskiego przy ul. Radziwiłłowskiej;

- wystawa pt. „Aleksander Semkowicz – intrologator, mikrokiewiczolog, bibliofil”, przywieziona z Muzeum Literatury w Warszawie, ekspozycja w Bibliotece Jagiellońskiej.

istnienia i działania, kierownictwo UPA poleciło wykonać kilka nie znaczących akcji przeciw niemieckim garnizonom i oddziałom Wehrmachtu, żandarmerii. Zazwyczaj po takiej akcji UP-owcy ślali przeprosiny i wyrazy współczucia z powodu zabicia, ranienia dwóch, trzech Niemców. Następnie wszystko wracało do normy, tj. do współdziałania.

Głównym celem istnienia i działania UPA było wyczyszczenie metodami terroru, pacyfikacji i fizycznej likwidacji polskiego żywiołu. Od momentu wejścia do akcji terroryści OUN-UPA mordowali pojedyncze osoby, rodziny i całe polskie wsie. Często były przypadki wyrznięcia w pień wszystkich mieszkańców wsi, tak że nie pozostał przy życiu ani jeden świadek.

UPA stosowała najokrutniejsze ze znanych w dziejach ludzkości sposoby uśmiercania. Mordowano kobiety, dzieci, starców, palono ich żywcem, topiono w studniach, zabijano kosami, siekierami, widłami, bronią palną, rozrywano ludzi żywcem i żywcem zakopywano w ziemi.

Ogromne straty z rąk UPA poniosło polskie duchowieństwo świeckie i zakonne, w tym zakonnice polskie. Na Wołyniu rzezie ludności polskiej przez oddziały UPA rozpoczęły się w końcu 1942 r., na południowo-wschodnich Kresach RP – w 1943 r.

Na ziemi wołyńskiej oddziały UPA oraz poszczególni członkowie tej formacji mordowali również osiadłych tu z dawien dawna kolonistów czeskich.

W Małopolsce Wschodniej OUN i UPA nigdy nie prezentowały charakteru antyniemieckiego, lecz jawnie antypolski. Istnieje bardzo bogata dokumentacja poświadczająca współpracę hitlerowskiego Wehrmachtu, SS, policji z oddziałami UPA. Niemcy regularnie dozbrajali UP-owców, organizowali wspólne rajdy na polskie wsie i osady, wspólne pacyfikacje, współpracowali też w zakresie wymiany informacji wywiadowczych na temat lokalizacji, stanu uzbrojenia polskich oddziałów partyzanckich, ich liczebności i kadry dowódców. Służba wywiadowcza UPA oraz osławiona mordami Służba Bezpieczeństwa tej formacji przekazywała

hitlerowcom imienne listy Polaków zaangażowanych w ruch oporu zbrojnym i cywilnym.

Zachowane do dziś materiały służb informacyjno-wywiadowczych Armii Krajowej 3 Obszaru Południowo-Wschodniego ukazują szczegółowo zbrodniczą działalność OUN-UPA i ich powiązania i współpracę z Niemcami w dziele fizycznego wyćpienia Polaków i polskości.

Wśród Polaków, którym udało się uciec z rąk UPA, a którzy doczekali repatriacji w 1945 r. do Polski, głównie na ziemiach zachodnie i północne, zachowała się do dziś pamięć straszliwa zbrodni UPA, pamięć o bestialstwach, które nie dadzą się porównać z niczym w dziejach naszego narodu.

W praktyce na całym obszarze dawnych Kresów Wschodnich realizowała UPA hitlerowską politykę biologicznej zagłady ludności polskiej. Po zajęciu w lecie 1944 r. tych obszarów przez armię radziecką UPA kontynuowała dzieło niszczenia przez cały jeszcze rok, a na ziemiach państwa polskiego, głównie w rejonie Bieszczadów, aż do wiosny 1947 r.

Według zgodnej oceny historyków i badaczy polskich na samym tylko Wołyniu oddziały UPA dopuściły się wobec ludności polskiej aktów ludobójstwa w co najmniej 2000 miejscach i miejscowościach. Zbrodnie UP-owców pochłonęły około 100 tysięcy ofiar.

Najbardziej krwawym miesiącem dla Polaków na Wołyniu był lipiec 1943 r. Zginęło wówczas około 20 tys. ludzi, przy czym w ciągu dwóch dni — 11 i 12 lipca — UP-owcy zamordowali 12 tysięcy osób.

Oddziały UPA dokonywały eksterminacji i rzezi w województwach lwowskim, stanisławowskim, tarnopolskim, poddając totalnej zagładzie Żydów kresowych od momentu wkroczenia na te obszary wojsk niemieckich w czerwcu-lipcu 1941 r. — aż do całkowitej fizycznej likwidacji ostatniego żydowskiego skupiska.

Nacjonaliści ukraińscy śledzili Polaków, którzy udzielali pomocy Żydom i ukrywali ich w swoich domach, wydawali ich w ręce niemieckie, co równoznaczne było ze śmiercią ujawnionych Żydów oraz ich opiekunów — Polaków.

Straty zadane Polakom przez UPA na całych Kresach Wschodnich szacowane są na 300—400 tysięcy zamordowanych, nie licząc okaleczonych, zgwałconych, obrabowanych. Jeszcze w sierpniu 1947 r., na krótko przed całkowitą likwidacją podziemia zbrojnego UPA, zdążono zorganizować „Taniec śmierci” w powiatach Biała Podlaska, Chełm, Włodawa, Hrubieszów, Tomaszów Lubelski. W województwie lubelskim spalono 23 polskie wsie, a w województwie rzeszowskim 10. Mieszkańców tych wsi wystrzelano, zakłuto, spalono żywcem.

OUN i UPA głosiły ideę walki o przyszłą niepodległą Ukrainę, zapowiadały krwawą zemstę każdemu obcemu na ziemiach Ukrainy — Polakom, Żydom i innym — każdemu, kto w porę nie ujdzie ze swojego domostwa, z gospodarki, warsztatu. Od samego początku swej działalności UPA w realizowaniu tej niepodległości stosowała zbrodnicze, ludobójcze metody wyzbywania się obcego żywiołu — „Lachów, Żydów, Moskali”.

Już w kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, na Zachodzie, zwłaszcza w Republice Federalnej Niemiec, w Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii i Francji, zaczęły ukazywać się publikacje ukraińskich autorów-nacjonalistów na temat UPA. Wszyscy ci autorzy podjęli na ogromną skalę akcję dezinformacyjną, uprawiano — i tak dzieje się do dziś — gigantyczne oszustwo na temat działalności OUN-UPA na dawnych Kresach Wschodnich RP, na południowo-wschodnich ziemiach Polski w granicach powojennych. Autorzy tych publikacji zmieniają całkowicie obraz tamtej epoki, obraz OUN-UPA, wmawiają swoim czytelnikom, iż formacje UPA były przeznaczone wyłącznie do walki z Niemcami i komunistami. Ani jednym słowem nie wspominają o straszliwych, na skalę masową, zbrodniach UPA na ludności żydowskiej i polskiej, na wycinaniu całych polskich wsi i osad, na stosowaniu najbardziej nieludzkich sposobów mordowania.

Nie tylko UPA — wszystkie bez wyjątku formacje ukraińskie utworzone za przyzwoleniem Niemców w latach drugiej wojny światowej oraz te istniejące półlegalnie, zaakceptowane i tolerowane przez Niemców, prezentowały charakter zbrodniczy, uczestnicząc wyjątkowo aktywnie w dziele zagłady.

Zachowana w Polsce i w świecie, w archiwach Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, w archiwum jerozolimskiego Yad Waszem, w archiwach państwowych Ukrainy, Rosji i Białorusi dokumentacja potwierdza zbrodnie ludobójstwa dokonane przez następujące ukraińskie formacje: batalion legionowy Nachtigall, batalion legionowy Roland, obydwa podporządkowane departamentowi Abwehry (wywiad, kontrwywiad, akcje specjalne, terror indywidualny i zbiorowy) w dowództwie naczelnym Wehrmachtu, a także wszystkie bez wyjątku formacje, oddziały i komisariaty ukraińskiej policji utworzonej w momencie zajęcia obszarów kresowych na wschód od Bugu i Sanu.

Dziś, po uzyskaniu niepodległości i suwerenności przez Polskę i Ukrainę, w dobie budowania zupełnie nieznanych dotąd między naszymi narodami dobrosąsiedzkich stosunków i współpracy, a być może, kiedyś, w dalekiej perspektywie i przyjaźni, nie wolno nam, Polakom i Ukraińcom, zapominać o straszliwej rocznicy powołania do życia formacji UPA.

UPA bowiem niosła zagładę nie tylko Polakom i Żydom, ale również swoim rodakom — Ukraińcom, którzy pozostali lojalni wobec polskich sąsiadów, przyjaciół, często familiantów. Wcale nierzadkie były przypadki niesienie pomocy Polakom przez ich ukraińskich sąsiadów i nierzadkie były przypadki mordowania przez UPA swoich rodaków za tę właśnie pomoc, za ludzki stosunek do skazanych na zagładę.

Pamięć o udziale UPA w ludobójstwie narodu polskiego stanowić powinna wspólny testament dla umęczonego narodu ukraińskiego i dla Polaków.

Ludzie, których stać na obiektywny osąd tamtych wydarzeń — zarówno Ukraińcy, jak i Polacy — zdają sobie sprawę, że ten jubileusz 50-lecia jest najbardziej tragiczny w dziejach naszych narodów, że tylko wspólnym wysiłkiem wynikającym z nakazu serca i rozumu można będzie położyć trwałą zapórę przeciw złu, głupocie i nienawiści.

Jak można domagać się od nas, Polaków, zapomnienia, wyrwania z pamięci tamtego straszliwego czasu bez prośby o przebaczenie, bez pokuty?

A ze strony ukraińskiej ani razu po wojnie nie padło słowo — przebaczenie — pod adresem narodów polskiego i zamordowanego narodu żydowskiego.

Nie wolno nam, Polakom, naocznym świadkom zagłady naszego narodu, nam, którzy cudem uniknęliśmy śmierci męczeńskiej z rąk Niemców, ukraińskich i litewskich nacjonalistów, pozwolić na to, ażeby mordercy umierali w spokoju. Nie wolno nam milczeć!

Zbiorowym wysiłkiem tych wszystkich, którzy znają prawdę o zbrodniczym charakterze ukraińskiego nacjonalizmu, można będzie uchronić nasz naród, młode pokolenia, przed utratą pamięci. Ogromną rolę ma w tym zakresie — jak się wydaje — do spełnienia utworzone przez kresowiaków we Wrocławiu Stowarzyszenie Upamiętniania Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów.

Elementarna sprawiedliwość, pamięć o krwi niewinnej ofiar barbarzyńskiego nacjonalizmu nakazuje nam, którzy przeżyliśmy piekło pod nazwą OUN-UPA, utrzymywać pamięć dla przyszłych pokoleń, chociażby dla przestrogi.

Nie tylko obowiązek pamięci wobec własnego narodu, swoich najbliższych nakazują nam utrzymywać minione dzieje w dokumencie i literaturze. Instynkt samoobrony biologicznej zmusza nas do tego.

Naród, który traci pamięć, traci życie!

Z prasy ukraińskiej

Nadgorliwość, jaką co niektórzy publicyści ukraińskiej prasy prezentują w trosce o zachowanie tradycji „galicyjskiego Lwowa”, nie wspominając w ogóle o tym, że Austria w 1772 r. zagarnęła miasto polskie, jest chyba wynikiem kompleksów. Pisząc np. o historii XVIII-wiecznego miasta, muszą z konieczności opierać się na pracach polskich historyków, ale stosują wtedy specjalną taktykę i takie manipulacje, by czytający był przekonany, że „nasze miasto”, tj. galicyjski Lwów, zawsze było nasze, tj. ukraińskie.

Oto przykład pierwszy z brzegu. W specjalnym kulturalnym dodatku gazety lwowskiej „Wysokij Zamok”, którego tytuł brzmi „Staryj Lwiv”, w nr 7/92, ukazał się artykuł *Kazanowa u Lwowi*, w którym m.in. opisany został pobyt tego słynnego awanturnika i uwodziciela, Włocha, autora głośnych *Pamiętników*.

Autor artykułu W. Radowski oparł się (bo musiał) na publikacjach historyków polskich. Zacytował m.in. książkę *Wkrólestwie Galicji i Lodomerii* Stanisława Grodzkiego, pisząc „A niezaborem w moich rękach opyniasia knyha Stanisława Hrodzičkoho polskoju mowaju *W korołestwi Haliciji i Łodomeriji* (Kraków 1776)”. No cóż, albo pomyłka dotycząca daty, albo manipulacja, bo praca Grodzkiego, polskiego historyka, została wydana w Krakowie w 1976 r. i było to jej pierwsze wydanie, więc nie może być żadnym starodrukiem!

W. Radowski powołuje się na cytowaną w niej publikację Janiny Bieleckiej *Kontrakty lwowskie w latach 1766–1775*, wydaną w Poznaniu w 1948 r. Ale przytacza ją bez podania tytułu pracy i roku wydania „pislia zahrabannia Hałyczyny Awstrijeju u 1772 roci, jak zaznacza w swojej biografii polskiej historyk Janina Biłicka”. Tak podana informacja niedwuznacznie sugeruje, że przed pierwszym rozbiorem Polski w 1772 r. istniała już Galicja, co jest historycznym kłamstwem. Po zaborze ziem polskich dopiero w 1775 r. na żądanie gubernatora Auersperga wykreślono z litanii loretańskiej formułę „Królowo Korony Polskiej” na „Królowo Galicji i Lodomerii”!

Cytując dalej Bielecką, zrobiono małe poprawki. Zamiast jej tekstu (s. 97): „Po rozbiórce, w najpierwszej w kraju restauracji Pod Trzema Hakami, codziennie po przedstawieniu gromadziło się towarzystwo złożone z Polaków i Niemców”, Radowski podał „Pisla zawerszennia roboty w restorani Pid trioma hakamy (perszji restoran w Hałyczynie) tam szczenodno zbyrały towarystwa polakiw i nimciw”. Niby to samo, a jednak nie to samo. Poza tym praca Bieleckiej nie jest żadną biografią, tylko poświęcona jest dorocznej giełdzie ziemiańskiej, tzw. kontraktów lwowskich odbywających się stale we Lwowie. Tu właśnie znajdowała się „tabula krajowa galicyjska”, tj. urząd ksiąg wieczystych, w których zapisywano transakcje nieruchomości szlacheckimi. Szlachta więc zjeżdżała do Lwowa i dla interesu, i dla rozrywki.

Trzecia publikacja polska wymieniana w artykule *Kazanowa u Lwowi* to Stanisława Schnür-Pełowskiego *Obrazy z przeszłości Galicji i Krakowa (1772–1858)*, wydana we Lwowie w 1896 r. Pełowski anonsonowany jest jako „lwowski publicysta”, ale już Michał Wąsowicz, autor książki *Kontrakty lwowskie w latach 1676–1686*, która ukazała się we Lwowie w 1934 r., przedstawiony został jako „polski historyk z Lwowa”.

A teraz temat historyczny o świeższej dacie. Czytelnik kijowskiej gazety „Neskorena Nacija” nr 16 z 30 IX 92 Stanisław Kłos przesłał redakcji powstańczą pieśń swego dzieciństwa, którą przekazał mu łącznik-powstaniec („związkowy powstaniec”) z rejonu Podkaminia w dawnym województwie tarnopolskim. Ostatnia zwrotka tej pieśni brzmi:

My skarajemo krisom i słowom
Kto zabje w naszu zemliu swij zub
szczob nad Kijewom, Chustom i Lwowom
zasijaw jasnym soncem Tryzub

Inną gazetą nacjonalistycznych ugrupowań ukraińskich jest kijowski dziennik „Nacjonalist” i jego cotygodniowy dodatek

redagowany we Lwowie pt. „Hołos nacji” z hasłem „Ukrajina ponad use” (coś nam to przypomina). W nr 3 z października br. zamieszczono bulwersującą wiadomość w artykule *Ukraiński tank na wulyciach Moskwy w 1605 roci*. Powołując się na wydaną w 1612 r. w Amsterdamie książkę Icaaka Massy *Krótkie wiadomości o Moskwie (Korotki widomosti pro Moskowiju)* poinformowano czytelników, że ukraińscy kozacy będący w służbie cara Dymitra Samozwańca zbudowali „diwowiżnoju bojowoju maszynu”, która bardzo przypominała tank. Do tej pory, jak stwierdzono w artykule, uważano, że pierwszy projekt podobnej bojowej maszyny wykonał wielki Leonardo da Vinci. Ale, cytując: „ciu ideju wperse w switi realizuwały na praktyci nasi predki”.

Z tego artykułu płynie jednak pewna pociecha — megalomania jest zawsze bezpieczniejsza od nacjonalizmu.

Dla dopełnienia tych wyrwykowych prasowych wiadomości dodajmy jeszcze inny głos z lwowskich massmediów. W stałym cyklu regionalnego programu telewizji lwowskiej „Z wysokiego zamku” 17 X br. podano informację o otwarciu wystawy ilustrującej dziecięcą literaturę ukraińską na świecie. Miejsce wystawy: w bibliotece im. Stefanyka, stanowiącej niegdyś dawną bibliotekę austriacką. Tak kasuje się świadomie obecność zbiorów Biblioteki Ossolińskich we Lwowie i jej polską genezę! To już nie megalomania, lecz zabór polskiego dziedzictwa kulturalnego.

S. Kłos pisze, że temu łącznikowi powstańcowi przekazywał z innymi kolegami zebraną broń, granaty, dynamit, zapalniki od przeciwtankowych min, a ten z kolei dostarczał im listy i prasę „Na czatach”. Pseudonim tego łącznika brzmiał „Kuszczowyk”, a należał on do grupy „Pańka”. Wspomnianą pieśń znali koledzy z jego dzieciństwa, m.in. Rosołowski z Czernie (jedna z wiosek należących do rzym.-kat. parafii w Podkaminie — dopisek mój, D.N.).

Otóż wszystko to, co napisał S. Kłos, jest prawdą tylko niecałkowitą. Nie ujawnił on bowiem, przeciw komu użyta została ta przekazywana przez kilkunastoletnich chłopców broń. Jako chłopiec mieszkał on w Podkaminie. Znajdował się tam XVI-wieczny kościół i klasztor oo. Dominikanów z cudownym obrazem Matki Boskiej (obecnie w kościele św. Wojciecha we Wrocławiu). W tragicznym dniu 13 marca 1944 r. ukraińscy nacjonałści przy pomocy Niemców wymordowali całą szukającą w klasztorze schronienia cywilną ludność polską i część zakonników. Poza obrębem klasztoru, w samym Podkaminie i najbliższych okolicach, zginęło wówczas 2000 Polaków.

List swój do redakcji kończy S. Kłos apelem: „Może chto widhuknetsia i zhadaje Staszka z Pidkaminia szczo żywe teper w Oczakowi”.

Gazetę „Neskorena Nacija” sponsoruje Wseukraińskie Bratstwo Wojaków UPA.

ROMANA GRUBER-ZYCHOWA

Fredro

Miałeś stać między topolami
póki się czas nie upora
z Twoim spiżowym frakiem...

Zdążyłeś zaledwie parę pokoleń
prowadzić wzrokiem do szkoły...

Dziś na siwiejące nasze skronie
rzucasz Twój staroświecki cień...

Hrabio, porzuć koronkowy ratusz,
weź nas z sobą — Twoje miejsce jest puste,
topole stoją jak dawniej...

Tylko my mamy u nóg
kamienie cięższe
niż Twój cokół...

WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI
(po wojnie: Wojciech Myślenicki)

Spóźniona polemika z antagonistami politycznymi

Polemika rzeczywiście mocno spóźniona, ale wtedy, gdy byłaby aktualna — nie można było polemizować. Takie były czasy. Warto jednak i teraz polemizować choćby tylko po to, żeby przypomnieć dramatyczne zmagania lwowskiej AK z siłami bezpieczeństwa (a właściwie niebezpieczeństwa) na Dolnym Śląsku w latach czterdziestych. O tym nie pisano i nie dyskutowano.

Ale najpierw — kilka faktów już historycznych ...

W ostatnich dniach lipca 1944 — jak powszechnie wiadomo — po działaniach bojowych nazwanych kryptonimem „Burza” Rosjanie podstępnie wywieźli dowódców lwowskiego obszaru Armii Krajowej i masowo aresztowali jej oficerów i żołnierzy. Wielu z tych, którzy uniknęły aresztowania, szukało schronienia w lasach. Już 1 września utworzono oddziały leśne „Warta”, w których znalazło się około tysiąc sześćset akowców. Zorganizowano z nich cztery bataliony. Komendantem „Warty” został płk Franciszek Rekucki „Topór”, jego zastępcą — mjr Bolesław Tomaszewski „Ostroga”.

Po rozwiązaniu Armii Krajowej oddziały leśne „Warta” podlegały Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj i następnie — Komitetowi Głównemu WiN, czyli Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. (Uprzednie próby włączenia ich do organizacji NIE skończyły się niepomyślnie).

W lipcu 1945 rozwiązano oddziały leśne i najaktywniejsze ich zespoły skierowano do działalności politycznej na Dolnym Śląsku. Miało nie być walk zbrojnych, lecz propagandowa walka o niepodległość. Trwało to rok. Skończyło się aresztowaniami w połowie 1946 r. i w następnym — rozprawami przed sądami wojskowymi przeciwko uczestnikom tej konspiracji.

Dziesięć lat nie wolno było publicznie występować w ich obronie. Ale łagodniał klimat polityczny. Ukazała się nawet książka ...

W październiku 1979 r., po trzydziestu dwu latach od słynnego procesu w Wojskowym Sądzie Rejonowym we Wrocławiu, Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydał książkę Mieczysława Sodela pt. *W walce o ład i bezpieczeństwo na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948*. Tematem znacznej części tego dzieła, opracowanego na podstawie archiwalnych materiałów urzędów bezpieczeństwa i milicji, jest historia legnickiego (jeleniogórskiego) okręgu WiN, którego prezesem i później głównym oskarżonym, skazanym wyrokiem sądu wojskowego na karę śmierci, był mjr Bolesław Tomaszewski-Ostroga.

To właśnie Ostroga, z którym łączyła mnie przyjaźń i konspiracyjna współpraca, przywiózł mi książkę Sodela, abym ją skomentował i polemizował — nie tylko zresztą z autorem, okazało się bowiem, że nie pisał w osamotnieniu.

W ostatnim akapicie wstępu autor serdecznie dziękuje „inspiratorowi i merytorycznemu opiekunowi pracy, prof. dr hab. Marianowi Orzechowskiemu, a także prof. dr hab. Bronisławowi Pasierbowi i doc. dr Ryszardowi Halabie ze niezwykle cenne uwagi, wskazówki i rady”. Przekazał także podziękowania dla grona przyjaciół za doping i zachętę w okresie przygotowania publikacji”.

Z wymienionych w tym czołobitnym podziękowaniu trzech utytułowanych osobistości najbardziej znany jest Marian Orzechowski, absolwent Uniwersytetu im. Żdanowa w Leningradzie, profesor historii najnowszej i nauk politycznych, sekretarz KC partii, zastępca członka Biura Politycznego, minister spraw zagranicznych itd.

Jako „inspirator i merytoryczny opiekun pracy” byłby zapewne większym autorytetem, gdyby nie to, że w czasach, gdy rozgrywały się zdarzenia będące tematem wspomnianej książki, miał zaledwie ... piętnaście lat.

Uwagi polemiczne zacznę od stwierdzenia kilku sprzeczności dotyczących rozmiarów politycznego „podziemia” w okresie powojennym.

Na s. 102 autor pisze: „Już w końcu 1945 roku na Dolnym Śląsku było około 50 nielegalnych organizacji i band rabunkowych”. Na s. 103: „Według sprawozdania KW MO na Dolnym Śląsku powstało w 1945 roku 9 nielegalnych organizacji politycznych i 15 band zbrojnych”. Na tej samej 103 stronie, w innym zdaniu: „Do końca 1945 roku powstało na Dolnym Śląsku ponad 20 nielegalnych organizacji i band zbrojnych”. Na s. 112 i następnie: „Do podziemia poakowskiego zaliczyć należy drugi nurt nielegalnej działalności — organizacje i bandy zbrojne, których w latach 1945–1948 było na Dolnym Śląsku 22”. Na s. 113: „W latach 1945–1948 na Dolnym Śląsku działało 11 nielegalnych organizacji i 13 band w większości Narodowych Sił Zbrojnych”. Na s. 115: „W latach 1945–1948 powstało na Dolnym Śląsku 13 nielegalnych organizacji młodzieżowych [...] stanowiących niejako pokłosie nielegalnego podziemia poakowskiego”.

Prawda, że w ogromnej większości były tam „organizacje poakowskie”. Ale naprawdę, ile ich było — choćby w 1945 r.: pięćdziesiąt, dziewięć czy dwadzieścia? Co są warte zachowane w archiwach i bezkrytycznie publikowane meldunki z takimi wiadomościami? A ponadto — czy w relacjach o tych zdarzeniach powinno się kojarzyć nielegalne organizacje polityczne z bandami rabunkowymi? To już chyba kwestia kultury politycznej efektownie utytułowanych „merytorycznych opiekunów pracy”.

A wreszcie — co to znaczy banda? Zobaczono w pobliżu jakiejś wsi kilku obcych ludzi, uzbrojonych albo i nie, leciał meldunek: banda. W czasach powojennego chaosu i masowego przemieszczania się ludzi zdarzały się napady rabunkowe i porachunki osobiste. Młodzi funkcjonariusze milicji często grzeszyli nadmiarem gorliwości, chcieli mieć sukcesy i narażali się na gwałtowne reakcje. Zdarzało się zwłaszcza w strefach przygranicznych, że i Niemcy przedzierając się w grupach lub w pojedynkę do Niemiec strzelali do każdego, kto próbował ich zatrzymać.

Z lwowskich akowców, działających później w WiN, na pewno nikt nie uczestniczył w zbrojnych rozprawach, nikomu tego nawet w sądach nie udowodniono.

Z wielu fragmentów książki M. Sodela można się domyślać, że — korzystając „z niezwykle cennych uwag, wskazówek i rad merytorycznych opiekunów swej pracy”, a także w przewidywaniu zmiany układu sił politycznych w kraju — uczestników dawnej konspiracji traktował raczej wyrozumiale. Zaraz po wojnie wielu ludzi wadowało się w jakieś konspiracje, a „dziś — jak pisze — wspólnie uczestniczą przy budowie Polski Ludowej. Z tego względu w opracowaniu pominięto nazwiska, zastępując je w miarę możliwości pseudonimami”.

W opracowaniu tym zostałem zapisany jako „kierownik propagandy — Wojtek”. Bolesław Tomaszewski twierdził, że już w śledztwie, zanim doszło do rozprawy przed sądem wojskowym, zostałem „rozszyfrowany” jako redaktor „Wolności”. Żartował: Ale nie masz się czego wstydić ...

Dwutygodnik ten, podobnie jak inne wydawnictwa WiN, odegrał znaczną rolę w kampanii przedwyborczej, popierając premiera Stanisława Mikołajczyka i Polskie Stronnictwo Ludowe.

Powołując się na „zagadnienia aktualne w działalności WiN” autor przypominał, że celem szeroko pojętej propagandy konspiracyjnej było utrzymywanie społeczeństwa w stanie ciągłej czujności wobec zagrożonej wolności obywatelskiej i niezawisłości państwa oraz odwoływanie się do moralności publicznej z przekonaniem, że nie programy polityczne, lecz zalety charakteru i praca każdego obywatela rozstrzygają o losach kraju.

Sformułowanie to trzeba skorygować. O losach kraju decydowały bowiem nie charaktery i praca obywateli (jak powinno być), lecz — niestety — wiadome programy polityczne (jak rzeczywiście było). A poza tym — wszystko się zgadza. Miała ta propaganda być i naprawdę była, jak słusznie pisze autor: „swoistym głosem sumienia, budzącym uśpionych moralnie lub pogodzonych z losem”.

Dopiero z tej książki dowiedziałem się, że w ciągu kilku dni czerwca 1946 r. funkcjonariusze służby bezpieczeństwa aresztowali 36 osób z kierownictwa okręgu WiN, że „organizacja została pozbawiona kadry kierowniczej i musiała przyhamować działalność”. To nie jest prawda. Z kierownictwa legnickiego okręgu WiN aresztowano tylko te osoby, które imiennie wymieniono wśród dziesięciu oskarżonych i sądzonych w procesie wrocławskim.

RECENZJE

Ostatnio ukazała się ciekawa książka ks. infułata dra Wacława Szetelnickiego, pt. *Trembowla — kresowy bastion wiary i polskości*, której recenzję zamieszczamy. Książka ta jest jeszcze do nabycia w biurze Zarządu Głównego TML i Kresów Płd.-Wsch. we Wrocławiu.

LESŁAW JEŻOWSKI

Trembowla ocalona od zapomnienia

Określenie Lwowa jako miasta *semper fidelis* Polsce stało się poniekąd jego synonimem. Nie oznacza to jednak, aby tylko Lwów na przestrzeni stuleci dochowywał wierności swojej Ojczyźnie. Wierne jej były, a nawet pozostały również inne miasta i miasteczka Małopolski Wschodniej, o czym przypominają ostatnio chociażby telewizyjne filmy Stanisława Auguścika z cyklu „Podróże na Kresy”.

Do takich miast należy np. Trembowla w woj. tarnopolskim, wytrwale broniąca się w ciągu wieków przed Tatarami, Turkami, Kozakami i innymi wrogami, wiernie stojąca przy swojej Macierzy — Polsce.

Trembowli poświęcił swoją ostatnią pracę ks. Wacław Szetelnicki, w latach 1941 — 1945 tamtejszy wikariusz w parafii św. Piotra i Pawła. Książka ukazała się drukiem we Wrocławiu w 1992 r. i nosi tytuł: *Trembowla — kresowy bastion wiary i polskości*.

Autor, znany ze swoich wcześniejszych publikacji historycznych ukazujących fragmenty dziejów archidiecezji lwowskiej i wrocławskiej, na 288 stronach swej najnowszej książki obszernie i przystępnie przedstawił to wszystko, co może zainteresować współczesnego polskiego czytelnika, któremu nieobojętne są losy naszych dawnych Kresów Wschodnich.

Praca W. Szetelnickiego rozpoczyna się wyjaśnieniem nazwy miasta, jego opisem topograficznym i urbanistycznym, zaznajomieniem z miejscową ludnością i jej warunkami ekonomicznymi. Następnie podaje zarys dziejów miasta, które w 981 r. zagarnął książę ruski Włodzimierz W. i które pozostawało z krótką przerwą we władaniu dynastii Rościsławów jako stolica odrębnego księstwa do 1124 r. Po wygaśnięciu wspomnianej dynastii i po panowaniu kolejnych władców Trembowla wraz z innymi grodami tzw. Ziemi Czerwieńskiej na mocy dziedziczenia powróciła do Polski za rządów króla Kazimierza Wielkiego w 1340 r. Odtąd nieprzerwanie do 1939 r. znajdowała się w granicach naszego kraju.

W ciągu tych sześciuset lat Trembowla zapisala się w historii Polski wieloma wybitnymi swoimi obywatelami i bohaterskimi czynami. Przykładem może być małżeństwo Chrzanowskich i dowodzona przez nich słynna obrona miasta przed nacierającą armią turecko-tatarską w 1678 r. lub zawiązanie konfederacji szlacheckiej w 1768 r. w celu ratowania niepodległości państwa.

Po naszkicowaniu dziejów miasta opisuje autor parafię trembowelską powstałą w 1425 r. i jej kościoły. Oprócz parafialnego istniały tu do początku XVI w. dominikański i karmelicki do 1945 r. Nowy parafialny kościół, pierwszy — jak utrzymuje ks. Szetelnicki — na ziemiach polskich w stylu bazylikowym z przylegającym atrium został konsekrowany w 1928 r. Przetrwał on wojenne lata, ale po wojnie został zamieniony na Dom Kultury. Rozległą parafię trembowelską zaczęto dzielić w drugiej połowie

XIX w. Na jej terenie powstało kilka nowych kościołów oraz szereg kaplic misyjnych. Stały się one ośrodkami życia religijnego i narodowego.

Trudne do ścisłego ujęcia życie duchowe w tych parafiach, a zwłaszcza w Trembowli, opisuje Szetelnicki, zaznajamiając czytelnika z odprawianymi w kościołach nabożeństwami, rekolekcjami, misjami, z częstotliwością przystępowania wiernych do sakramentów św., z ich praktykami pobożnymi. Nie brakuje zestawienia proboszczów trembowelskich i ich współpracowników, a także wyliczenia instytucji, stowarzyszeń i organizacji katolickich.

Szczególnie interesujący w książce jest rozdział zatytułowany: *Współżycie Polaków z Rusinami-Ukraińcami*. W Trembowli mieszkało sporo Rusinów, a znacznie więcej w okolicznych wsiach. Autor przypomina, że do czasu rozbiorów współżycie obydwu narodów było zupełnie zgodne. Nie mogło to być na rękę zaborczym rządóm Austrii, toteż w myśl zasady *divide et impera* już Maria Teresa rozpoczęła za pośrednictwem gubernatora Pergena akcję antagonizowania Rusinów w stosunku do Polaków. Wytrwała i perfidna praca rozdawania narodów, a właściwie wytwarzania wrogiego nastawienia Ukraińców wobec Polaków, hojnie dotowana finansowo przez Wiedeń, przyniosła zaplanowane rezultaty. Należały do nich później zbrojne walki ukraińsko-polskie po zakończeniu I wojny światowej, inspirowane przez czerwoną Moskwę i brunatny Berlin sabotaże i terrorystyczne gwałty w okresie międzywojennym, a wreszcie przerażające w swym okrucieństwie rzezie bezbronných Polaków podczas II wojny światowej i bezpośrednio po niej. Duchowieństwo grekokatolickie, a zwłaszcza metropolita Szeptycki mieli w części tych tragicznych wydarzeń swój udział.

Chociaż Trembowla terytorialnie leżała raczej daleko od ośrodków życia umysłowego i kulturalnego w Polsce, to jednak była im bliska swoimi zainteresowaniami i działalnością. Na polu oświaty w gimnazjum i szkołach powszechnych pracowało wielu uzdolnionych pedagogów, nie brakowało poetów, pisarzy, kompozytorów, plastyków; przez kilka lat ukazywało się czasopismo poetycko-literackie szerzej kolportowane.

Swoistego charakteru i szyku nadawał Trembowli stacjonujący tam 9 pułk ułanów małopolskich. Jego dowódcami byli m.in. późniejszy generał Tadeusz Komorowski, w czasie okupacji niemieckiej dowódca AK i żyjący do dzisiaj w Anglii gen. Klemens Rudnicki.

Podczas I wojny światowej Trembowla, przechodząc z rąk do rąk walczących ze sobą armii, straciła wielu swych obywateli, trzykrotnie płonęły jej budynki. Prawdziwa tragedia miejscowej ludności, zwłaszcza Polaków i Żydów, nastąpiła jednak w czasie II wojny. Bolszewicy wzięli i wywozili znaczniejszych Polaków

w głąb azjatyckiej części ZSRR, Niemcy do obozów koncentracyjnych i na roboty przymusowe, większość Żydów zostało zgładzonych. Mimo że za pomoc okazywaną Żydom czekała kara śmierci, nie brakowało Polaków ukrywających ich przez całą wojnę. Żydzi ci zachowali ogromną wdzięczność dla swoich wybawców, wyjechawszy za granicę, czasem długie lata szukali ich, aby móc im raz jeszcze podziękować. Miejscowi księża stali się nieoficjalnymi przywódcami i opiekunami Polaków, parafia jedyną polską jednostką administracyjną. Wszystko, co przeżywali wierni, znajdowało swoje odbicie na plebanii rzymsko-katolickiej.

Po zakończeniu ostatniej wojny władze radzieckie przy współpracy szowinistów ukraińskich przystąpiły do masowego wysiedlania Polaków z Trembowli, podobnie jak z całej Małopolski Wschodniej, i deportowania ich na tzw. polskie Ziemie Odzyskane. Wtedy opuścił parafię również autor książki, ale pozostały na miejscu mury miasta z górującymi nad nimi ruinami XVI-wiecznego zamku, a w nich *genius loci*, który sprawiał, że przez długie wieki Trembowla rzeczywiście była kresowym bastionem wiary i polskości, i do dziś nie chce się wyrzec swojej misji.

Od pewnego czasu pracom naszych historyków-kulturoznawców przyświeca hasło: „Ocalić od zapomnienia”. Książka W. Szetelnickiego jest cennym wkładem w to doniosłe dzieło. Dla starszych uratowała od zapomnienia to podolskie miasto, młodszym może po raz pierwszy o nim opowiedziała, zwłaszcza o ostatnim (przed 1945 r.) etapie jego dziejów. Uczyniła to z osobistym zaangażowaniem się jej autora, który pierwsze lata kapłaństwa tam właśnie przeżył. *Trembowla* zawiera wiele szczegółów, opisów sytuacji, zdarzeń, na które W. Szetelnicki patrzył własnymi oczami,

co dla przyszłych badaczy historii Podola w bieżącym stuleciu może stanowić cenne źródło. Znajdują się w *Trembowli* cytaty z publikacji wydawanych w tym mieście, z prywatnej korespondencji autora, z ulotnych pism, a także teksty napisów widniejących kiedyś na budynkach i pomnikach miasta. To wszystko ma wartość unikatową. Swoim zwyczajem uwidocznionym już w poprzednich pracach uwzględnił autor szerokie tło historyczne, obyczajowe, kulturowe, na którym umiejscawia Trembowlę. Szczególnie interesują go losy archidiecezji lwowskiej.

Podziwiać należy wysiłek W. Szetelnickiego w dotarciu do dawnych mieszkańców Trembowli rozrzuconych dziś po wielu krajach w celu zdobycia wiarygodnych informacji, fotografii i wszelkiego rodzaju pamiątek trembowelskich. Dzięki temu książka jest bogato ilustrowana. Tu nawiasowe spostrzeżenie. Autor ma czasem pecha przy należytych opisach zdjęć. Tak było np. w książce: *Podolski Jan Vianney*, tak jest i w *Trembowli*. Fotografia na s. 199 absolutnie nie mogła być wykonana 29 IX 1939. Moim zdaniem pochodzi z lat powojennych. Cała praca jest napisana językiem wartkim, obrazowym, co ułatwia jej czytanie. Co prawda, bardzo rzadko, ale zdarzają się w niej potknięcia stylistyczne, np. na s. 206: „Sowieci z Niemcami zadali nam przysłowiowy cios bagnetem w plecy”. Trafniej byłoby napisać: Sowieci w porozumieniu z Niemcami. Książka nie jest przeładowana tzw. aparatem naukowym, ale też niekiedy wykazuje pewne merytoryczne braki, np. warto było zaznaczyć, przeciw komu zawiązała się konfederacja szlachecka w Trembowli (s. 24). Indeksy nazw geograficznych i nazwisk ułatwiają poznanie treści. Poprawna szata graficzna książki zachęca, aby wziąć ją do ręki i oddać się jej lekturze.

Z ŻYCIA ODDZIAŁÓW

W większości oddziałów i klubów zorganizowano pomoc charytatywną dla Polaków zamieszkałych na Wschodzie. Na szczególne wyróżnienia zasługują oddziały i kluby z Przemyśla, Tarnowa, Warszawy, Lublina, Bielska-Białej i Wrocławia. W akcji wakacyjnej dla dzieci ze Wschodu wzięły udział: Poznań, Rzeszów, Wałbrzych, Bielsko-Biała, Zakopane, Legnica, Gdańsk, Bydgoszcz, Wrocław, Zamość, Tarnów i Nowy Sącz.

Pozostałe ciekawsze inicjatywy i działania

PRZEMYŚL

Oddział był organizatorem budowy pomnika ku czci pomordowanych przez NKWD Polaków – na Cmentarzu Wojennym w Przemyśle. W fundamencie pomnika usytuowano 10 wnęk przeznaczonych do umieszczenia w nich prochów z różnych miejsc kaźni. Komisyjnie sprowadzono prochy ofiar z Solanek Dobromilskich, gdzie NKWD w 1941 r. zamordowało i utopiło ok. 3000 Polaków.

W październiku 1922 r. oddział wyposażył w meble biura Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej we Lwowie, w listopadzie zaś biura w Tarnopolu.

OPOLE

Staraniem oddziału wykonano i wmurowano tablicę upamiętniającą udział Kadetów Lwowskich w III Powstaniu Śląskim. W uroczystościach, które odbyły się 24 X 1992 r., wzięli udział przedstawiciele Zarządu Głównego TML i KPW oraz innych oddziałów i klubów.

WARSZAWA

Oddział warszawski zrealizował wykonanie i zamontowanie tablicy na Grobie Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Obrońców Lwowa.

Polskiemu Teatrowi i Chórowi „Echo” we Lwowie przekazało autokar przejęty z MON.

KRAKÓW

Rzeźby z kościoła w Drohobyczu po odnowieniu przez krakowskich konserwatorów można oglądać na wystawie, której otwarciu nastąpiło 13 listopada 1992 r.

BIELSKO-BIAŁA

Członkowie oddziału przekazali Towarzystwu Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej w Borysławiu projekt kościoła z pełną dokumentacją.

KLUB „TŁUMACZ”

Jedno z najwcześniej zorganizowanych środowisk wschodniaków. W latach 1956–1989 zorganizowało 10 zjazdów i spotkań absolwentów gimnazjum w Tłumaczu, rozszerzając swe grono o coraz młodszych krajanów. Od 1990 r. w czerwcu organizuje wczasy w Kołobrzegu. Zarząd klubu mieści się we Wrocławiu, członkowie mieszkają w kraju i za granicą. Z ich datków ufundowano epitafium w kościele św. Doroty we Wrocławiu poświęcone długoletniemu proboszczowi tłumackiemu ks. Edwardowi Tabaczkowskiemu, który zginął w czasie wojny za udzielanie pomocy Polakom i Żydom. W tym samym kościele znajduje się ufundowana przez tłumaczan tablica ku czci profesorów i kolegów gimnazjalnych, wmurowana w 1979 r.

Cenioną przez wszystkich postacią, cementującą tłumaczan, jest dr Michał Nikosiewicz z Warszawy. Zajmuje się on historią, posiada cenne zbiory fotograficzne i dokumentuje wszelkie przejawy życia mieszkańców tego terenu. Jego praca jest przykładem i zachętą do zbierania wspomnień z czasów ostatniej wojny.

TARNÓW

1 XI 1992 r., podobnie jak w ubiegłym roku, zbierano na cmentarzach tarnowskich datki na odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa. Zebrano blisko 20 milionów zł.

Z okazji 125 rocznicy powstania Sokoła-Macierzy we Lwowie 14 XI br. oddział TML i KPW zorganizował wspólnie z bydgoskim Sokołem uroczyste spotkanie, z częścią artystyczną (wystąpił chór „Halka”), poprzedzone mszą św. odprawioną w kościele garnizonowym.

Dla przybliżenia młodzieży tematyki kresowej (historycznej i kulturalnej) członkowie TML i KPW wygłosili kilka pogadanek w szkołach średnich, ilustrując je przeżyciami.

KLUB „STRZECHA STRYJSKA” WE WROCŁAWIU

W czerwcu br. grupa stryjan odwiedziła swe miasto rodzinne, nawiązując serdeczne kontakty z tamtejszymi mieszkańcami.

13 IX br. odbyło się ogólnokrajowe pielgrzymkowe spotkanie u stóp Madonny Kochawickiej i Łysieckiej w Gliwicach. Zaszczycił je swą obecnością aktualny proboszcz stryjskiego kościoła ks. Jan Nikiel. Spotkanie świetnie zorganizowali gliwiczycy stryjanie i lwowianie: p. Teresa Olszańska, p. Tadeusz Baszak, p. Kazimierz Szuba, p. Eugenia Górkowa, p. Stefania Tillowa, p. Halina Gajewska i wiele innych. Ks. Kowalczyk — ormiańskiego obrządku — uczestniczył w uroczystej mszy św. i wygłosił wspaniałą homilię. Po południu przyjął uczestników pielgrzymki w swoim ormiańskim kościele na nabożeństwie, dając jeszcze raz dowód wielkości swego serca dla spraw kresowych.

W tym samym dniu przeprowadzono w radio wywiad z prezesem „Strzechy” p. Krystyną Roszek-Masiakową, pt. „Taki świat był w Stryju”. Serdeczne podziękowania p. Izabeli Sobkowiczowej za zrealizowanie tego programu z wielkim wyczuciem, z wielkim sercem i zaangażowaniem. Uprzednia zapowiedź w radio o gliwicznym spotkaniu przyczyniła się do wzmożonej frekwencji.

Członkowie klubu nawiązali żywy kontakt z Polakami z Kijowa, którym patronuje ks. Elizeusz — Ludwik Martynów — drohobyčanin; na terenie Wrocławia opiekują się czterema osobami wymagającymi serdecznej troski i znacznej pomocy. Podobna pomoc wskazana jest we wszystkich klubach.

Ukazał się kolejny numer biuletynu „Strzechy Stryjskiej” (V) i ma on nieprzewidziane powodzenie (trzy razy odpukać!).

Najbardziej radosna wiadomość to zalegalizowanie Oddziału Województwa Stanisławowskiego! Doda to zapewne wszystkim sił do przezwycięzania rozlicznych trudności.

III Zjazd TML i KPW

W Częstochowie, stolicy duchowej Polski, w dniach 24 i 25 października 1992 r. odbył się III Zjazd Towarzystwa. Organizatorzy zaprosili wszystkich prezesów oddziałów Towarzystwa w kraju oraz Zarząd Główny, który był współkoordynatorem spotkania. Zaproszono władze miasta, kuratorium, dyrekcję szkoły nr 34, p.t. naszych Dobrodziejów, prasę i telewizję. Zjazd był dobrze rozreklamowany tak w prasie, jak i w Polskim Radio, a także w miejscowej rozgłośni, która nadawała komunikaty z toczących się obrad. W serdecznych słowach zebranych powitał prezes miejscowego oddziału Towarzystwa, wiceprezydent Częstochowy mgr inż. Jan Marek Krykowski, w imieniu Jasnej Góry o. dr Jan Golonka oraz prezes ZG TML dr Danuta Nespiak. Udział w Zjeździe był nadszpodziewanie liczny, mimo jesiennej pogody.

Celem spotkania było nawiązanie bliższych kontaktów między członkami Towarzystwa oraz wymiana własnych doświadczeń w pracy oddziałów. Zebrani wysłuchali kilku referatów historycznych oraz wstępnej propozycji p. mec. Jana Skalskiego, dotyczącej wprowadzenia naszych przedstawicieli do parlamentu.

Część artystyczną rozpoczął młodzieżowy zespół wokalnorecytatorski przy szkole nr 34 z Częstochowy „Lwowski Bajbus”, prowadzony przez nauczycielkę p. Jadwigę Różańską. Patriotyczny program przedstawiony przez dzieci wprowadził zebranych w miły i chwytający mocno za serce nastrój — na wielu twarzach pojawiły się łzy. Następnie wystąpił doskonały zespół „Kapele” z Przemyśla, bawiąc publiczność do późnych godzin.

Jeszcze w drugim dniu zjeżdżali kresowiaci do Częstochowy — przybyła nawet z Florydy pani Czesława Bereźnicka.

Drugi dzień Zjazdu rozpoczęła uroczysta msza św. przed Cudownym Obrazem Najświętszej Panny Marii, celebrował ją w asyście kapłanów lwowian o. Wojciecha Tarka ZP. Wszyscy modlili się w skupieniu, prosząc Boga przez Matkę Bożą o łaskę zdrowia, o pomyślność swoją i Ojczyzny, o siły i aby wszyscy lwowianie, kresowiaci, w tej długiej i trudnej drodze do Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Sarn i Łucka, Stryja i Sambora oraz do wszystkich innych miast naszych Kresów nie ustali. W hołdzie Częstochowskiej Madonnie skłonił się sztandar AK, powstały w 1942 r. we Lwowie — historyczny dowód walk o wolność Zawsze Wiernego Miasta.

W popołudniowym programie po brzegi wypełniła się duża aula Wyższej Szkoły Pedagogicznej, użyczona przez J. M. Rektora tej uczelni. Po prelekcji na temat historii Lwowa, działań AK rozpoczęła się część artystyczna wykonana przez zespoły z Bytomia, Brzegu i Przemyśla.

Za rok, na IV Zjazd już dziś serdecznie zapraszamy!

Prezes oddziału TML i KPW
dr Bronisław Radomski

POSZUKIWANIA

Pan Tomasz DOMARADZKI z Czabarówki, pow. Kopyczyńce, woj. tarnopolskie, poszukuje p. Haliny SKALSKIEJ z Drohobycza. Była ona organizatorką w ramach Rady Głównej opiekuńczej kolonii w Czabarówce (1942 r.) dla dzieci polskich z Borysławia i Drohobycza.

Prośba od księdza z kościoła w Winnikach k. Lwowa
Proszę o nadesłanie zdjęć i opisu dawnego wyglądu wnętrza kościoła w Winnikach.

Adres korespondencji: Stefania Hilewicz
ul. Kleparowska 33/1
29-0007 Lwów

Pan Robert KORNICKI, zam. Fiume, 60 132 Ancona, Italia poszukuje p. Hanki BIEDRZYCKIEJ (studentki AHZ we Lwowie). Ostatni adres z 1942 r.:

Kazachstan SSR Seminolatinskaja Obl., Urdżarckij rejon Sowchoz Tas — Buslah F. 2
Wiadomości o losie zaginionej p. Hanki Biedrzyckiej prosimy kierować pod podany adres lub pod adres redakcji SF.

Jan GŁOGIEWICZ, ur. 12 X 1927 r. w Bratkowicy, pow. Gródek Jagielloński, syn Anieli, poszukuje brata i najbliższej rodziny. Maria GŁOGIEWICZ, ur. 27 I 1927 r. w Wojnylowie koło Kałusza, córka Stanisława i Tekli Grzeszko, poszukuje siostr: Olgi GRZESZKO i Stefani GRZESZKO lub ich rodzin. Informacje proszę kierować na adres: Władysław Głogiewicz, Hoornwerk Str. 5, 48-14 AN Breda — Nederland — Holandia.

Poszukujemy kolegów, byłych uczniów IV Gimnazjum im. J. Długosza we Lwowie, absolwentów kl. 3b w czerwcu 1939 r. Są to:
Czaplicki Leszek Juszcak Roman
Dąbrowski Mieczysław Krański
Dobrowolski Henryk Pichler Roman
Gaydamowicz Tadeusz Piotrowski
Garczyński Wzorek Henryk
Jabłoński Bolesław Zieliński Zbigniew
Jachnicki

Informacje proszę przelać na adres: Antoni Osinski, ul. W. Stwosza 38, 80-312 Gdańsk.

Kto zna losy Cezarego H. MODZEŁOWSKIEGO, do 1944 r. administratora dóbr w Kocku k. Lublina, proszony jest o informację do redakcji.

W czasie okupacji w jego mieszkaniu w Kocku przebywał dłuższy czas niejaki (N.N.) Mościcki.

Rodzina Cezarego Modzełowskiego mieszkała przed wojną w Wysoku, pow. Luboml (Wołyń).

Pani Anna KOZŁOWSKI, zm. 13 429 W. Cleveland, New Berlin, Wi. 53151-3905 USA poszukuje swojej siostry: Janiny BEREZIUK, wywiezionej przez Niemców ze Lwowa ok. 1943 r. Została aresztowana w czasie łapanki, miała wtedy 18 lat. Po wojnie rodzina otrzymała od zaginionej dwa listy z Niemiec Zachodnich, ale adres został zagubiony. Informacja nagrodzona będzie kwotą 300-500 dol. USA.

Wiadomości o losie p. J. Bereziuk prosimy kierować pod podany adres lub pod adres redakcji SF.

dr med. Janusz Lesiński
em. prof. Akademii Medycznej
15-424 Białystok
ul. Lipowa 45 m 3

Proszę o informację o p. Danucie Starak, urodzonej we Lwowie w roku 1922 lub 1923 (?) i zamieszkałej tam do końca 1943 r. Pani Danuta była córką zawodowego majora WP, który służył w administracji wojskowej Dowództwa Okręgowego Korpusu nr VI we Lwowie. Został on w okresie tzw. mobilizacji alarmowej przydzielony do jednej z jednostek na terenie Wielkopolski lub Pomorza (dokładnego przydziału, niestety, nie pamiętam). Od chwili wybuchu wojny w roku 1939 p. Danuta straciła kontakt z ojcem.

Z p. Danutą Starak pracowałem od 15.10.1941 do 28.10.1942 r. w I Miejskim Szpitalu Zakaźnym przy ul. Bilińskich 9 we Lwowie, gdzie zatrudniona była jako pielęgniarka. Po przejściu z końcem października 1942 r. budynków tego szpitala przez niemieckie władze wojskowe i zlokalizowaniu tam niemieckiego Szpitala Etapowego (Reserve Lazarett N° IX in Lemberg) ona pracowała tam nadal. Ja byłem studentem V roku medycyny, zatrudnionym przymusowo na podstawie nakazu pracy, wydanego przez Arbeitsamt, w charakterze Hilfsarzte (lekarza pomocniczego).

W okresie pracy w IX Reserve Lazarett p. Danuta Starak — członek AK (pseudonim jej zapomniałem) była jedną z najaktywniejszych działających uczestniczek niewielkiej grupy polskich lekarzy i pielęgniarek, działających na szkodę okupanta. W tym czasie była niezamężna.

Po aresztowaniu mnie przez gestapo (17 czerwca 1943) p. Danuta Starak zaprzestała pracy w IX Reserve Lazarett. Nadesłała komendzie szpitala zaświadczenie lekarskie o niezdolności do dalszej pracy i prawdopodobnie wyjechała do jednego z województw zachodnich tzw. Generalnej Gubernii.

Nazwisko panińskie matki p. Danuty Starak, której imienia nie pamiętam, brzmiało Bielińska. Pochodziła ona z rozgałęzionej rodziny ziemiańskiej i utrzymywała kontakty korespondencyjne ze swoimi krewnymi nawet w okresie okupacji.

Na przełomie roku 1943/44, gdy udało mi się wydostać z więzienia gestapo przy ul. Łąckiego we Lwowie, rozpocząłem bezskuteczne poszukiwanie p. Danuty. Nie udało mi się jednak jej odszukać nawet po zakończeniu wojny.

Każdy, kto mógłby udzielić informacji o losach p. Danuty Starak lub o miejscu jej pobytu w kraju lub na emigracji, proszony jest usilnie o wiadomość.

Poszukuję współtowarzyszy aresztowania przez NKWD w maju 1945 r., przy ul. Zadwórzeńskiej 49, członków organizacji „NIE” we Lwowie.

O kontakt i wiadomości, zwłaszcza o Irenie SKULSKIEJ (1946 r. mieszkała w Wałbrzychu), prosi Danuta Nespiak — Zarząd Główny TML i KPW, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9.

KORESPONDENCJA

List z Buczacza udostępniony redakcji „Semper Fidelis” przez Klub Buczac przy TML we Wrocławiu.

Buczacz 25 II 1992

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Droży i Kochani Koledzy i Koleżanki!*

Cóż może być bardziej radosnego niż zorientowanie się, że wśród pewnych nadmiernych trudności nie jest się samemu, lecz słyszy się, że wielu wspólną sprawę traktuje tak ciepło, serio i serdecznie.

Jestem Waszym kolegą, urodzonym na Podzameczku, ochrzczonym w kościele buczackim, wychowanym przez niezapomnianą pamięć śp. księdza Dziurzyckiego. Zdałem maturę w Buczaczu w 1937 r. Studia teologiczne ukończyłem w krakowskim Wyższym Seminarium Duchownym i otrzymałem święcenia razem ze śp. Marcinem Niewieściukiem 11 maja 1941 r. Skierowano mnie do parafii Baworów i w 1945 r. w czerwcu wyjechałem z parafianami na Śląsk, do diecezji opolskiej. Tu przepracowałem 13 lat w parafii Szykowie koło Prudnika, wśród parafian w większości pochodzących spod Trembowli, z Podhajczyk. W 1958 r. przeniesiono mnie do Kędzierzyna-Koźla, gdzie przebywałem do wyjazdu na Wschód, do dnia 28 lutego 1991 r. Poprosiłem ks. biskupa o pozwolenie przejścia na emeryturę, by móc zrealizować swe wielkie pragnienie podjęcia pracy w rodzinnych stronach. Tak Bóg pokierował, że 24 sierpnia ubiegłego roku obchodziłem w Buczaczu poświęcenie mego kościoła i moją osobistą uroczystość 50-lecia kapłaństwa. Od Bożego Narodzenia jestem proboszczem na miasto Buczac i Tarnopol. Mieszkam po kilka dni w Buczaczu, Czortkowie, Tarnopolu i Redodzubach (wioska w pobliżu Czortkowa), pracując tam i niosąc w miarę potrzeby pomoc duszpasterską. W niedzielę i święta odprawiam Mszę św. w Buczaczu o godz. 10-tej, w Tarnopolu o 14-tej i 17-tej.

Potrzeby są bardzo wielkie, bo brak księży. Cieszę się, że Pan Bóg darzy mnie zdrowiem i mogę pracować nie ustępując w niczym młodszemu, a przecież 10 lutego skończyłem 75 lat.

Opisałem to wszystko, byście wiedzieli, że mam prawo czuć się Waszym kolegą.

Co do kościoła w Buczaczu.

Jest bardzo zniszczony, ale i tak w lepszym stanie w porównaniu z innymi. Trzeba dokonać wielkiego remontu, aby przywrócić mu dawną okazałość. Zaczynam od dachu, który chcę w całości wyremontować wiosną — wymienić zgniłe belki i przykryć wszystko blachą. Blachę ocynkowaną już zakupiłem i drewno jest w drodze. W kościele przez wiele lat był magazyn towarów przemysłowych (dobrze, że nie nawozów sztucznych), a pod zakrytą i prezbiterium jest kotłownia gazowego ogrzewania części miasta.

Na skutek pęknięcia zbiornika wyrównawczego na strychu kościoła zgniła i opadła część ołtarza głównego. Okna zastałem pozabijane deskami i belkami, trzeba to było uporządkować! Obecnie są już nowe, prawie wszystkie wstawione. Najbardziej z powodu zacieków zniszczone były chór i organy. Organy ponadto zostały bezmyślnie połamane, tak że została z nich tylko drewniana atrapa. Częściowo zniszczone, odarte z obrazów i kilku figurek są również cztery ołtarze boczne. Da się je odremontować.

Tynki na sklepieniu w zasadzie utrzymały się, ale ściany od dołu do ok. 3 m są mocno zawilgocone i tu tynki odpadają. Od zewnątrz mury pozamakały, tynk odpadł na skutek braku rynien i luk spustowych. Zakrystia i boczne kapliczki są zdewastowane i zamoknięte, ale sklepienia zachowane. Z piwnic w związku z budową kotłowni i pomieszczeń na warzywa dla przedszkola mieszczącego się na miejscu dawnej plebanii usunięto grobowce. Z dawnych zabudowań plebańskich nie pozostało śladu. Rozebrano dzwonicę. Grota została częściowo zniszczona, ale można i trzeba będzie ją odremontować. Figurę z groty wywieziono do Polski, gdzieś w okolicy Kołobrzegu czy Szczecina. Takie mam wiadomości, ale czy prawdziwe? Droga Krzyżowa i dwa zabytkowe obrazy są w kościele w Oławie, gdzie umieścił je śp. ks. Franciszek Kutrowski — buczaczanin. Nie orientuję się, czy wywieziono coś więcej i dokąd. Mury wkoło kościoła zachowały się.

Gimnazjum i otoczenie są zadbane. Byłem wewnątrz budynku, chcąc przypomnieć sobie, w których salach uczyłem się.

Ratusz jest w remoncie — prawie na ukończeniu. Kościół Bazylianów od zewnątrz jest odnowiony, wewnątrz zaś w remoncie. Jest czynny podobnie jak cerkiewka św. Pokrowy w pobliżu dawnego starostwa. W budynku starostwa mieściło się NKWD, ofiary ich pracy grzebano w podziemiach cerkiewki Pokrowy. Cerkiew św. Mikołaja i na Nagórzynie zajmują prawosławni. Między prawosławnymi i grekokatolikami panuje zaciekle nienawiść. Prawosławni oskarżają grekokatolików, że ci „upolszczają” się, bo słuchają polskiego papieża. My siedzimy cicho, nie wypowiadając się ani o jednych, ani o drugich, bo jesteśmy bardzo nieeliczną mniejszością. W kościele na Mszy św. jest nas w niedzielę do 80 osób. Czasem przychodzą też Ukraińcy, ale to z ciekawości.

Wszystko, co polskie, drażni ich jak czerwona płachta na byka, więc podkreślamy naszą katolickość, a nie narodowość.

Kościół rzymsko-katolicki odradzający się to nie stwarzanie — jak oni mówią małej Polski — ale praca dla ratowania wiary i zabytków sakralnych, jako dorobku poprzednich pokoleń.

Ktoś z Polski zapytał mnie w liście, czy warto tak starać się o te kościoły i wkładać tyle trudu. My tu nie patrzymy, czy warto, ale pracujemy nad odbudową Kościoła duchowego w tych, którzy się do niego przyznają, i kościołów — domów bożych, by służyły tym wartościom, w których celu były budowane. Wiele z tych kościołów stojących przy drogach jak żebracy proszący o zmiłowanie Boże, nadaje się do remontu — ale z kim i czym?

Robimy, co możemy, starając się odzyskać, co się jeszcze da. Trudności mnożą się ze względu na rosnącą drożyznę i brak materiałów budowlanych. Zabezpieczy się dach, by nie ciekło, pozatyka się okna, drzwi i zaczyna się odprawiać Msze św. Z czasem przybywa ludzi i robi się dalsze remonty. W ten sposób co pewien czas powstają nowe placówki duszpasterskie.

W najbliższych dniach w okolicach Buczacza będą czynne kościoły w Złotym Potoku, Koropcu i Uściu Zielonym oraz Trybuchowcach. W Monasterzyskach staramy się również o kościół, ale zajęli go prawosławni. Jeśli go nie odzyskamy, będziemy remontować kaplicę cmentarną. W Tarnopolu kościół podominikański zajęli grekokatolicy, odprawiam więc Msze św. w kościółku cmentarnym, który może pomieścić do 200 osób stojących. Ten kościółek też wymaga remontu.

Do Tarnopola dojeżdżam autobusem, niekiedy przyślą auto. To jest ok. 80 km — autobusem 1,5 godz. Jadąc, przypominam sobie z lat młodości różne miejscowości. Po drodze mijam Mikulińce i Strużów — czynne placówki duszpasterskie. Od Strużowa do Buczacza (ok. 50 km) nie ma ani jednego czynnego kościoła. W Starych Pytlkowicach jest duży i ładny kościół, ale nie ma go komu przekazać, gdyż brak tam rzymsko-katolików i kościół służy jako magazyn.

W Buczaczu byłem kilka razy na cmentarzu, by powspominać spoczywających tam znajomych. Stary cmentarz jest bardzo zarośnięty, a grobowce przeważnie porozbijane, ale krzyże nagrobkowe z napisami zachowały się. Byłem też na zdewastowanym cmentarzu żydowskim, miejscu zbrodni hitlerowskiej na Żydach. Mimo woli stanęły mi przed oczyma szeregi kolegów i koleżanek, którzy zostali tam pochowani.

Zbocza jaru Strypy są w Buczaczu zalesione — miasto rozbudowane, ale drogi niżej krytyki. Pociąg z Czortkowa dojeżdża tylko do Buczacza. Często z okien pociągu podziwiam piękne położenie Buczacza i okolicy. Przejeżdżam przez most i tunel, niedaleko dawnej bursy, szkoły na Barakach. Ile z tymi miejscami łączy się wspomnień!

A teraz co nam trzeba? Bardzo dużo, i to wszystkiego do remontu. Zdaję sobie sprawę, że Polska to nie Ameryka, choć Ukraińcy tak oceniają. Wasze możliwości jako emerytów są bardzo małe i jest Was niewiele. Każda, choćby symboliczna pomoc byłaby zapewne dla Was radością, że też w tej tak bliskiej sercu sprawie macie swoją cegiełkę.

Bardzo cieszyłbym się, gdyby w lecie ktoś się tu wybrał. Zaproszenia wyślę i tu wśród swoich miejsce się znajdzie.

Wszystkich Was serdecznie pozdrawiam. W kościele buczackim modłę się za wszystkich żyjących i zmarłych, którzy zostali rozproszeni pożogą i zawieruchą wojenną.

Proszę o przekazanie pozdrowień naszym wspólnym bliskim. Szczęść Boże.

Z Bogiem. Wasz kolega ks. Ludwik Rutyna

ALEKSANDER KORMAN

Mit polskiego nacjonalizmu — szowinizmu

W biuletynie-kwartalniku „Lwów i Kresy” nr 69 (XV), s. 45—46, J. J. Korabiowski krytycznie ustosunkował się do niektórych treści artykułu. W. Odojewskiego pt. *Nacjonalizm — szowinizm*, opublikowanego w „Tygodniku Polskim” z dnia 7 września 1991 r.

Przychylając się do krytycznych uwag J. J. Korabiowskiego dotyczących ignorancji oraz nieuzasadnionego i gołosłownego stawiania Polakom zarzutów przez W. Odojewskiego, pragnę zaprezentować inny — rzetelny i bezstronny — pogląd w sprawie nacjonalizmu, wyrażony swego czasu przez wybitnego znawcę Edmunda Jana Osmańczyka, autora pierwszej w świecie *Encyklopedii spraw międzynarodowych*, a mianowicie: „Kiedy byłem w tym roku w USA, pytano mnie, jaką gwarancję może mieć Rosja Gorbaczowa, że demokratyczna Polska Lecha Wałęsy nie będzie dalej wrogo do Rosji nastawiona. Odpowiedziałem: istnieje taka gwarancja. Ale wpraw przypominę, że o polskim nacjonalizmie i szowinizmie mówili komuniści w Europie i świecie cały XX wiek. Tak było między wojnami, tak było w czasie wojny. Manipulował tym mitem Stalin w rozbiorowych rokowaniach z Hitlerem w Berlinie i Moskwie, a potem z Rooseveltem i Churchill-em w Jałcie. Ta propaganda dalej jest kontynuowana, po wojnie. Polacy to ludzie nastawieni od dziecka antyrosyjsko, antyniemiecko, antylitewsko, antyczesko, antyukraińsko, no i antyżydowsko. Ta rasistowska teoria, że my rodzimy się z nienawiścią do innych narodów, jest absurdalną bzdurą, jak każdy rasizm. To tylko ci, co na nienawiści klasowej chcieli zbudować solidarność proletariatu całego świata, mogą głosić takie bzdury.

Nasz naród, jak każdy naród w świecie pragnie ze wszystkimi narodami dobrego sąsiedztwa, solidarności człowieczej. Tkwi to głęboko w naszej kulturze chrześcijańskiej” (podkr. — A.K.).

Papież Jan Paweł II zaaprobował treść następującej modlitwy: „Módlmy się o dobre sąsiedztwo z narodami nas otaczającymi na lądzie i na Bałtyku. Za ich pomyślność, za ich pokój i wolność oraz za ich wkład w ogólnoludzkie dziedzictwo. Za naród rosyjski. Za naród litewski. Za naród białoruski. Za naród ukraiński. Za naród słowacki. Za naród czeski. Za naród Serbołużyczan. Za naród niemiecki. Za narody skandynawskie. Błogosław im, Panie! O to Cię w polskich świątyniach prosimy z wiarą w moc pojednania na wieki wieków. Amen”.

Modlitwa ta po raz pierwszy odmówiona została w Zakrzewie 21.04.1989 r. w obecności ks. prymasa i innych przedstawicieli episkopatu. Ks. prymas polecił umieszczenie tej modlitwy w kolejnych wydaniach modlitewników polskich.

Tak więc jesteśmy pierwszym krajem w świecie, który tragiczną 50 rocznicę wybuchu II wojny światowej upamiętnił modlitwą za sąsiadów.

Ukończyłem 90 lat i obawiam się, aby ta sprawa nie została zapomniana, bo przy życiu pozostało już niewiele świadków tego zdarzenia. Pochodzę z Horpina we Wschodniej Galicji. W Horpinie (pow. Kamionka Strumiłowa) 17 sierpnia 1920 r. wojska bolszewickie dokonały wielkiej rzezi młodych żołnierzy Wojska Polskiego. Do dzisiaj słyszę jęk tych chłopców, których siekano szablami, zdejmując im, jeszcze żyjącym, buty. Zginęło tam 125 żołnierzy polskich. Zabitych pochowano we wspólnych mogiłach

w trzech rzędach. Pojedynczych grobów nie było. Ten wojenny cmentarz znajdował się 2 km na północ od Horpina, po lewej stronie drogi prowadzącej do Kamionki Strumiłowej. Cmentarz obsadzony był brzoźami, a od drogi znajdowała się brama ornaty z godłem Polski i napisem. Po śmierci marszałka J. Piłsudskiego z cmentarza Wojsko Polskie pobrało ziemię.

W 1944 r. UPA paliła polskie domy w Horpinie, mordując wielu ludzi. Po ucieczce pozostałych przy życiu Polaków cmentarz zniszczono i zamieniono go w pole uprawne. W latach następnych zlikwidowano i zaorano drogę do Kamionki Strumiłowej.

Pod Horpinem w 1920 r. oddali swe życie za Polskę młodzi ludzie i zasługują na upamiętnienie tego miejsca.



Pierwszą, po 54 latach mszę św. na Cmentarzu Obrońców we Lwowie w dniu 1 listopada 1992 r. odprawił w koncelebrze kapłan TML i KPW ks. Janusz Popławski przed kaplicą, którą w czerwcu ubiegłego roku poświęcił. Ksiądz kapłan wygłosił do bardzo licznie zgromadzonej rzeszy wiernych wzruszającą homilię. Oznajmił, że zabiera do Warszawy garść ziemi z grobu Nieznanego Żołnierza, którą złoży 22 listopada w kościele św. Krzyża po mszy św. odprawionej za Orleń.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ŻAŁOBNA KRONIKA STANISŁAWOWSKA

Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością. Przeto nigdy nie pytam, komu bije dzwon! Biję on tobie.

John Donne (1573-1631)

Czterokrotnie zabił dzwon dla dawnych i obecnych mieszkańców Grodu Rewery, gdy w 1992 r. odeszli od nas na zawsze krajanie, dla wielu przyjaciele i duchowi przewodnicy. Żałobną kartę otworzył zmarły w połowie maja WŁADYSŁAW MADEJ, harcerz, żołnierz zbrojnego podziemia i działacz społeczny. Urodzony w Stanisławowie w roku 1905 spędził tam dzieciństwo i młodość, przewodząc miejscowemu harcerstwu.

W latach wojny i dwóch okupacji działał w szeregach ZWZ AK, za co aresztowany i torturowany przebywał aż do maja 1945 r. w niemieckich obozach koncentracyjnych. Po kilkuletniej pracy w harcerstwie polskim na Zachodzie (był m.in. komendantem chorągwi „Bałtyk” w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec) wrócił do kraju i osiedlił się w Kłodzku, gdzie mimo trudnych warunków politycznych podejmował wiele cennych inicjatyw społecznych. Od Sierpnia 1980 r. włączył się do działań integracji środowisk stanisławowskich, ofiarowując klasztorowi Jasnogórs-



Władysław Madej

kiemu, przechowywany przez siebie i swoich najbliższych sztandar harcerzy stanisławowskich. Wspierał materialnie pozostałych w Grodzie Rewery Polaków. Ufundował do tamtejszego kościoła tablicę poświęconą pamięci stanisławowskich harcerzy i orla do kaplicy narodowych pamiątek. Jako honorowy członek wrocławskiego Klubu „Stanisławów” wspierał go swą radą i doświadczeniem. Do ostatnich chwil życia związany był ze wszystkim, co dotyczyło Ojczyzny, Harcerstwa i Stanisławowa.

W miesiąc później, 21 czerwca, zmarł w Warszawie w wieku 82 lat **TADEUSZ KWAŚNIEWSKI**, dziennikarz, teatrolog i działacz społeczno-kulturalny. Urodzony w Stanisławowie był absolwentem Lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, ostatnim redaktorem „Kuriera Stanisławowskiego”, współpracownikiem „Gazety Lwowskiej” i tamtejszej rozgłośni Polskiego Radia. Dziennikarską profesję wybrał nie przypadkiem, gdyż wywodził się z rodziny kresowych drukarzy i wydawców. Profesję tę kontynuował w latach powojennych pracując w „Życiu Warszawy”, „Życiu Częstochowy” i „Kurierze Polskim”. Był założycielem Spółdzielni Wydawniczej „Słowa” w Częstochowie (która m.in. wydrukowała debiutancki tomik fraszek i wierszy politycznych Tadeusza Różewicza) oraz kawiarni „Literackiej” i „Klubu Literackiego”. Pod koniec życia przebywał w Warszawie, ale zgodnie z ostatnią wolą wrócił do Częstochowy, która – jak mówił – była mu drugim po Stanisławowie najbliższym miastem. Spoczął na tamtejszym Cmentarzu św. Rocha obok Matki i wielu przyjaciół.



Tadeusz Kwaśniewski

We wrześniu odeszli do Boga dwaj dalsi stanisławowianie: Emilian Doubrawa i ks. prałat Kazimierz Filipiak.

EMILIAN DOUBRAWA, doktor medycyny, pułkownik WP, był synem znanego malarza stanisławowskiego i nauczyciela kilku pokoleń mieszkańców tego miasta. Zmarł w Warszawie 6 września w wieku 75 lat i pochowany został na Cmentarzu Północnym (Wólka Węglowa).

Ksiądz prałat **KAZIMIERZ FILIPIAK**, wikariusz generalny prymasa Polski dla wiernych obrządku ormiańskiego, był osobą szczególnie bliską dawnym mieszkańcom Grodu Rewery jako orędownik kultu patronki miasta NMP Łaskawej oraz krzewiciel i kontynuator kresowej idei wielkiego kaznodziei ormiańskiego arcybiskupa Lwowa Teodorowicza.

Ks. Filipiak urodził się 1910 r. w Tymbarku k. Limanowej, przyjął święcenia kapłańskie w Przemyślu na rok przed wybuchem II wojny światowej, skąd udał się do Stanisławowa, gdzie pełnił funkcję proboszcza kościoła ormiańskiego. W roku 1946 wraz z Cudownym Obrazem NMP Łaskawej opuścił miasto i przez Opole oraz Tymbark dotarł do Gdańska, gdzie w kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła utworzył Ormiańskie Sanktuarium Maryjne.

Utrzymywał stały kontakt z dawnymi mieszkańcami Stanisławowa, których wspomagał radą i modlitwą. Brał udział w pracach środowisk kresowych, w 1987 r. zorganizował w Gdańsku obchody 50-tej rocznicy koronacji Cudownego Obrazu NMP Łaskawej ze Stanisławowa.

Zmarł 26 września po długich cierpieniach i został pochowany na Cmentarzu Łostowickim w grobowcu kapłanów gdańskich.

Spoczął, podobnie jak pozostali, z dala od Kresów Wschodnich, ale podobnie jak oni sercem pozostał w Grodzie Rewery.

Za grono warszawiaków *Adam Rubaszewski*

Za wrocławski Klub „Stanisławów” *Leszek Wierzejski*

ALEKSANDER KORMAN

Słowa pożegnania ppor. rez. Jana Ciska
w dniu 9 lipca 1992 r. na Cmentarzu Grabiszyńskim
we Wrocławiu

Drogi Janku!

Jako współpracownik, będący w przyjaźni wynikłej ze wspólnego interesu mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej, żegnam Cię z bólem i gorczyzą.

Żegnam, jako człowieka oddanego i prawego, jako wielkiego patriotę.

Całe swoje życie poświęcił Jan Cisek pracy i działalności dla dobra narodu i Ojczyzny. Był żołnierzem zawodowym Wojska Polskiego przed wojną. Podczas okupacji radzieckiej i niemieckiej służył Ojczyźnie w pracy konspiracyjnej. Pełnił funkcję komendanta Obwodu Armii Krajowej w Brzeżanach pod pseudonimami „Mak” i „Kres”. Opis swej działalności utrwalił w pracy wspomnieniowej złożonej w Wojskowym Instytucie Historycznym.

Po wojnie pracował m.in. w handlu uspołecznionym. Będąc na emeryturze, żył sprawami narodowymi i kresowymi. Chociaż po wojnie chodził w cywilnym ubraniu, czuł się zawsze żołnierzem na posterunku.

Odchodzisz dzisiaj na wieczną wartę, ale żyć będziesz w naszej pamięci jako Wielki Patriota.

Spełniłeś z honorem swój żołnierski i obywatelski obowiązek, dobrze przysłużyłeś się swojej Ojczyźnie.

Drogi Janku!

Niech ta ziemia, wprawdzie nie podolska, lecz dolnośląska, lekka będzie.

Cześć Jego Pamięci!

LISTA P.T. OFIARODAWCÓW NA FUNDACJĘ KRESOWĄ „SEMPER FIDELIS”
(obejmuje wpłaty od 14 V do 17 XI 1992 r.)

J.E. ks. bp Adamiuk, Opole	100 000	Jakubowicz Antonina, Bytom, Moniuszki 3	20 000
Józef Stan, Etobicoke — Kanada	100 000	Klonowski Ludwik, Jasło, Krasińskiego 8/2	200 000
Antonina Żemantowska, Warszawa	50 000	Preidlów E. J., Zabierzów, Śląska 116	100 000
Zespół Szkół Mechan. — Huta, kl. I B, Gliwice	100 000	Guzek Józefa, Bytom, Powst. Warszawskich 60	50 000
Zbigniew Charłamowicz, Jelenia Góra	100 000	Hersztowska Barbara, Bytom, Drzymały 4	50 000
Władysław Bugiera, Kraków	50 000	Alda Stefania, Kraków, Oś. Urocz. 4/25	100 000
Anna Wójcik, Toruń	30 000	Urczyński Józef, Świdnica, Kniewskiego 3/10	200 000
Józef Bryk, Jędrzejów	50 000	Thiel Irena USA, Ann Arbor (5 399 800 zł)	400 USD
Bogusław Kurkowski, Rabka	60 000	Markowska Irena, Łódź, Boj. Getta Warsz. 5/31	100 000
Adam Bauer, Wrocław	100 000	Kalinowska Zofia, Elbląg, Gieruchów 6/6	200 000
Idzi Głowacz, Osiek	40 000	Stankiewicz Grażyna, Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000
Antoni Bogoria Świątkiewicz, Wrocław	300 000	Makarewicz Roman, New York (25 Dol. am)	339 900
Zofia Bielawska, Cibórz	100 000	TML w Jarosławiu, Osiedle Słoneczne 5/7	78 900
Wanda Szumańska, Wrocław	100 000	Stokłosa Jerzy, Ostrowiec Św., Konopnickiej 1/17	35 000
Wojciech Spólnik, Jasło	50 000	Polański Stanisław, TML — Rzeszów, Jagiellońska 4	100 000
Adam Akielaszek, Żukowice	50 000	Simachowicz Zofia, Poznań, Królowej Jadwigi 32	150 000
Klub Dziennikarza i Menadżera, Wrocław	500 000	Wodziński Tadeusz, Lubliniec, Cyrana 10	70 000
Władysława Tomaszewska, Lublin	50 000	TML, Koszalin, Engelsa 86	100 000
Europejski Fundusz Leasingowy, Wrocław	90 000	TML, Opole, Wrocławska 24 p. 611	200 000
Anna Pawlak, Toruń	100 000	TML, Oleśnica, Reja 10	200 000
Jan Grywiec, Żary	50 000	Królikowski Stanisław, Zabrze, 3 Maja 7b	100 000
Zbigniew Lechowski, Wschowa	15 000	Pietrus Albin, Jasło	200 000
Zakład Produkcyjny „Olimp”, Gołędzinów	200 000	Bolanowska Danuta, Łódź, Inflancka 25/47	100 000
Ireneusz Chojnacki, Łódź	100 000	Suchocki Bronisław, Wrocław, Tkacka 48	50 000
Jerzy Matejka, Wołomin	100 000	Cyniak Józefa, Tomaszów Maz. ks. J. Popiełuszki 24	50 000
M. i D. Barmet, Genewa — Szwajcaria	345 000	MTP, Spółka z o.o., prezes S. Laskowski, Poznań	2 000 000
TML Bielsko	300 000	Mirecki J., Olsztyn, Orkana 17/2	20 000
Maria Piątkowa, Kędzierzyn — Koźle, Harcerska 7/8	1 200 000	Kalinowska Zofia, Elbląg, Gieruchów 6/6	150 000
Wojnarowicz Wacław, Bydgoszcz, Piaskowa 6	20 000	Stankiewicz Grażyna, Czerkasa 13/31	10 000
TML Lublin, Radziwiłłowska 11	700 000	Wojciechowska Krystyna, Śrem, Paderewskiego 7/38	37 400
Wodziński Tadeusz, Lubliniec, Cyrana 10	70 000	Dudziak J. J., Żukowice, kod 67—231	100 000
Bieńko Józef, Kurzyna Średnia 28	200 000	Akielaszek Anna, 67—231 Żukowice	50 000
Łuń Janina, Bielsko — Biała, Bohaterów W-wy 2/9	200 000	Bąkowski Władysław, Karlino, Koszalińska 81/4	100 000
Kawalec Stanisław, Bytom, Leśna 13	100 000	Wodziński Tadeusz, Lubliniec, Cyrana 10	70 000
Stankiewicz Grażyna, Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000	Stankiewicz Grażyna, Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000
Antonina Thiel, USA	2 698 000	Jerzy Węgierski, Katowice	100 000
Świątnicki Tadeusz, Przemyśl, Obywatelska 8	100 000	Stanisław Dustanowski, Kraków, św. Stanisława 3b	100 000
Wojnarowicz Wacław, Bydgoszcz, Piaskowa 6	20 000	Grażyna Stankiewicz, Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000
Stankiewicz Grażyna, Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000	Tadeusz Świątnicki, Przemyśl, Obywatelska 8	100 000
Majewska Danuta z d. Chmickowska, Gdynia, Skwer Kościuszki 17/19 m. 18	100 000	Club Leopolis, New York	3 921 800
Łukomska Janina, Katowice, Francuska 41/2	100 000	Antonina Thiel USA 2136 Georgetown Blvd, Ann Arbor, MI 48105	200 dol. am.
Lechowski Zbigniew, Wschowa, Moniuszki 4b	15 000	I.T. (adres jak wyżej)	330 dol. am.
TML w Jarosławiu, Osiedle Słoneczne 5/7	100 000	Dla uczczenia pamięci dr Ireny Pelczarskiej zmarłej we Lwowie 3 VI 1990 na czasopismo SEMPER FIDELIS składają: Nina i Irena Thiel (adres jak wyżej)	100 dol. am.
Mokrzycka Maria, Gliwice, Brzozowa 63/8	100 000	Adam Kozłowski — Londyn, Anglia	20 funtów ang.
Zw. Komb. Rzeczypospolitej Polskiej, Bolesławiec, Zakłady Chemiczne WIZÓW	200 000	Panu Prof. dr. hab. W.V. za przekazane 500 000 zł do dyspozycji redaktora — serdeczne dzięki	
Ryzińska Ewa, Żagań, Przyjaciół Żołnierza 58/3	100 000	Listę sporządziły	
Łabiniak Jadwiga, Kraków	25 000	Danuta Tabińska-Juhasz i Ewa Waśkowska	
Bohr Władysław, Gliwice, PKWN 18/11	50 000		
Buczacki Leszek, Gdynia, Waszyngtona 18/15	200 000		
Heczkowa Alina, Bytom, Drzymały 4/9	50 000		
Tokarz Janina, Bytom, Drzymały 4	50 000		

**Zadowolony konsument to najlepszy klient
i najpewniejsze oparcie dla kupca
E. Wedel**



Wedel firmą zadowolonego klienta

Tej dewizie firma pozostaje wierna od 140 lat. Od początku swego istnienia zdobywała zaufanie klientów pierwszorzędną jakością wyrobów. Marka Wedla jest dobrze znana od wielu pokoleń nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Wyroby wedlowskie były zawsze najlepszą wizytówką dobrego smaku nabywcy, dawały niepowtarzalne przeżycia smakowe, co jest zasługą starych, sprawdzonych receptur i niezwyklej solidności w produkcji poszukiwanych, cenionych słodczych.

Firma „E. Wedel” ma długoletnią, bogatą tradycję. Jej początki datują się od przybycia z Berlina do Warszawy w 1845 r. Karola Wedla (1813–1902), który w roku 1851 założył własny zakład wyrobów cukierniczych i czekolady przy ul. Miodowej. Tam też otwarto cukiernię, gdzie podawano — jak piszą kroniki — do pięciuset filiżanek czekolady dziennie.

Syn Karola — Emil Wedel (1841–1919) — przeniósł produkcję na posesję przy ul. Szpitalnej. Na parterze rozpoczęły wkrótce działalność „Staroświecki Sklep” i pijalnia czekolady — czynne do dziś. Częstymi klientami sklepu byli H. Sienkiewicz i B. Prus.

Emil Wedel pierwszy rozpoczął w Polsce produkcję czekolady twardej w kilku gatunkach, co na rynku warszawskim było wówczas nowością. Aby zabezpieczyć się przed zakusami konkurencji E. Wedel zainicjował sygnowanie fascymile swego podpisu, umieszczanego na nalepkach projektowanych przez najlepszych warszawskich grafików.

Największy jednak rozkwit zawdzięcza firma dr. Janowi Wedlowi (1874–1960). W roku 1927 rozpoczęła się budowa przy ul. Zamoyskiego nowej fabryki, czynnej w tym miejscu do dziś. Szybko stała się ona konkurencyjna, o czym świadczy fakt otrzymania już w 1929 r. na Powszechnej Krajowej Wystawie w Poznaniu medalu Grand Prix za jakość wyrobów.

Jan Wedel był wzorem nowoczesnie myślącego, dynamicznego fabrykanta. Był gruntownie wykształcony i znał biegle kilka języków. Fabryka była dla niego wszystkim. Codziennie spędzał w jej murach wiele godzin, doglądając całego procesu produkcji. Piękną kartę zapisał w czasie okupacji niemieckiej, wspomagając hojnie znajdujących się w potrzebie.

Po wyzwoleniu Warszawy pośpieszył natychmiast do zniszczonej stolicy, aby pomóc przy uruchamianiu ukochanej fabryki. Długo nie pozostał w jej murach, gdyż wkrótce usunięto go ze stanowiska. Nigdy potem nie przekroczył już bramy fabryki przy ul. Zamoyskiego. Dr Jan Wedel zmarł 31 marca 1960 r.

Pierwszą partię cukierków wyprodukowano w zniszczonej fabryce w listopadzie 1944 r. W 1949 r. zakład, który miał dotąd status spółdzielczy, przejęło państwo. W rok później nadano mu imię „22 Lipca”. Postanowiono jednak zachować część dawnej nazwy, która pojawiła się na wyrobach jako dopisek „d. E. Wedel”.

W 1960 r. nastąpiło połączenie zakładu z fabryką „Syrena”. Jest to również stara firma, sięgająca tradycjami roku 1829. Fabryka Czekolady, Kakao i Cukrów — Franciszek Fuchs i Synowie przez długie lata skutecznie konkurowała z Wedlem. W osiem lat później przyłączono znaną ze świetnych „krówek” Milanowską Fabrykę Cukierków, będącą przed wojną w rękach rodziny Pomorskich. W latach siedemdziesiątych zakład przy ul. Zamoyskiego został w znacznym stopniu zmodernizowany. Największym osiągnięciem tej dekady było wybudowanie fabryki pieczywa cukierniczego w Płońsku. Jest to dzisiaj jeden z najnowocześniejszych zakładów tej branży w Europie.

Po połączeniu zakładów nastąpiła specjalizacja asortymentowa. Z początkiem 1990 r. rozpoczęły się w Wedlu prace prywatyzacyjne. Z końcem roku staliśmy się jednoosobową spółką Skarbu Państwa, a w sierpniu 1991 r. został podpisany kontrakt o współpracy ze znaną amerykańską firmą PepsiCo. W nadchodzącym czasie E. Wedel SA stanie się firmą zdolną rozwijać się jeszcze bardziej dynamicznie zarówno na rynku krajowym, jak i zagranicznym.

E. Wedel®
SA

18.000,-

Odpowiedź na list otwarty do Prezydenta
zamieścimy w następnym numerze — 1/1993